

ALMANACH HUMANISTYCZNY

...bez zgody i wiedzy...

4/86

Warszawa 1986

ALMANACH HUMANISTYCZNY

...bez zgody i wiedzy...

4/'86

Warszawa 1986

Pismo wydano z pomocą
Społecznego Komitetu Nauki

Wszystkie teksty publikowane są
bez wiedzy i zgody autorów

Almanach dziękuje Stowarzyszeniu Pomocy za 500.-

Copyright by ALMANACH HUMANISTYCZNY

Warszawa 1986

SPIS TREŚCI

I SZKICE

Michał Komar - Czym jest terroryzm?.....	7
Claire Sterling - Feltrinelli - Il Padrone /tłum. M.L./	16
Anna Wyka - Czy na pewno anachronizm? /O postawie paternalistycznej/	40
Krystyna Kersten - "Trylogia" Stefana Korbońs- kiego	60
Marta Wyka - W świetle powieści Kundery	73

II ARCHIWUM

Zbigniew Kubikowski - Stalinizm a inteligencja twórcza: /Rozmowa z Jackiem Trznadlem/	82
--	----

III RECENZJE

1. 1984 Kalendarz Entuzjastów /Z.S./	110
2. A. Nowicki: Stosunki Kościół - Państwo w Polsce w latach 1944-1956. Szkic zagadnie- nia /L.Ś./	114
3. M. Poleski: Wolność w obozie /W.A./	123
4. W. Bartoszewski: Dni walczącej stolicy /J.M./	126
5. U. Radomski: Czerwiec 1976. Protest i pro- paganda. /J.K./	130
6. A. Zinowiew: Rosja i Zachód. /L.S./	134
7. W. Groseman: Wszystko płynie. /M.S./	138

8.	W. Wojnowicz: Życie i nieswykłe sprawy sokniersa	142
9.	Literatura flet obecna	147
10.	M. Mieszalski: Wysokie Progi /M.A.P./	156
11.	Z. Oryssyn: Czarna iluminacja; Z. Oryssyn: Madam Frankenstein /J.Z./	164
12.	A. Rudnicki: Sto lat temu zmarł Dostojewski /L.L./	168

CZYNI JEST TERRORYZEM?

Ze stu definicji nie wybiernam żadnej, bo zjawisko, którego dotyczą z brudem jedynak /lub wcale/ daje się wyodrębnić sponiedzy podobnych, zbliżonych, prawie identycznych i takich samych. Ponadto jest zajęciem kłopotliwym objaśnienie świata przy pomocy pojęć, które same objaśnienia wymagają. Paul Wilkinson w pracy Terrorism and the Liberal State rozróżnia cztery typy terroryzmu: sub-rewolucyjny, rewolucyjny, represyjny i epifenomenalny. Terroryzm subrewolucyjny - pisze Wilkinson - nie interesuje do fundamentalnej zmiany rewolucyjnej, skutki zastraszania rządu, wymuszenia częściowych zmian politycznych i prawnych, praktykowany jest przez małe grupy lub indywiduala, niż edy trudno go odróżnić od gwałtu natury kryminalnej lub psychopatycznej. Terroryzm rewolucyjny wynika z a w s z o z istnienia grupy wyosobnionej w kierownictwo, ideologię lub program. Przygotowaniem akcji zbrojnych zajmują się tu konspiracyjne organy para-militarne w tonie ruchu rewolucyjnego. Typ represyjny - oznacza akcje państwa, a znoma terror epifenomenalny jest wytworem długotrwałego stosowania przemocy na wielką skalę. Zapewne Paul Wilkinson, autor n.in. Social Movements, Political Terrorism i Terrorism versus Liberal Democracy, w sprawie ważnych powodów, by taką właśnie typologię zaprezentować czytelnikowi, ale czytelnik może mieć nieco kłopotów z akceptacją takiej typologii. RAF dla przykładu była to grupa dysponująca ideologią i gremium przywódczym - i z tego względu należałoby tu mówić o "terrorze rewolucyjnym"; z drugiej strony praktyka grupy Meinhof-Baader miała charakter "sub-rewolucyjny". Carlos Marighella i jego towarzysze winni być podporządkowani kategorii "subrewolucyjnej" właśnie z uwagi na program działania, ale gdy idzie o cele strategiczne, to należałoby ich nazwać "rewolucjonistami".

x/ Carlos Marighella, do 1967 roku członek Komitetu Wykonawczego /Biura Politycznego/ Komunistycznej Partii Brazylii, po spuszczeniu partii organizator grup terrorystycznych AIN, autor sławnego The Minimanual of the Urban Guerrilla.

Jeszcze więcej kłopotów będzie z przypadkiem ETA, grupy, która sięgnęła po broń wbrew własnej ideologii /"Bóg i stare prawa"/ i dopiero z czasem, pod wpływem praktyki terrorystycznej, poczęła sterować ku marksizmowi-leninizmowi, oraz PFLD /George Habash/, który ewoluował od faszyzmu przez naseeryzm po płomienną fascynację marksizmem.

Terrorysta - w języku potocznym - to bojownik obcej lub wrogiej sprawy; gdy jego działalność sprzyja naszym zamiarom lub sympatiom, nazywamy go partyzantem. Zdarza się jednak, że ów terrorysta okazuje się z punktu widzenia stosownych norm prawa międzynarodowego właśnie **p a r t y z a n t e m**. Zdarza się też, że partyzantami nazywają się terroryści, którym prawny status partyzanta nie może być przyznany /w XIX w. narodowolcy, którzy do tradycji wolnych strzelców odwoływali się w literaturze partyjnej, w XI w. np. RAF lub Czerwone Brygady/ chyba, że przyjmiemy za Carlem Schmittem, że w politycznym świecie współczesnym, gdzie nie ustaje wyrazista granica między wojną a pokojem instans hostis uległo zatamciu właśnie na rzecz pojęcia partyzant.

Terroryzm, jako terminu prawa międzynarodowego, oznacza stosowanie gwałtu dla osiągnięcia celów politycznych lub ekonomicznych w stosunkach międzynarodowych, formę interwencji dokonywanej przemocą przez specjalne oddziały wojskowe lub policyjne, albo organizacje terrorystyczne. W grudniu 1972 r. Komitet Prawny Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych rozpoczął prace nad definicją terroryzmu; projekt definicji roboczej /autorem był Alfons Klafko/ głosiący, iż za akty międzynarodowego terroryzmu uważa się przestępstwa karne o wyraźnych konsekwencjach międzynarodowych spotkał się z wyraźnym oporem państw arabskich i afrykańskich, które w samej już próbie ściślej określenia pojęcia terroryzmu dopatrywały się oznak akcji skierowanej przeciwko tzw. duchom narodowo-wyzwoleńczym. Z drugiej strony niektóre państwa zachodnie próbowały identyfikować z terroryzmem a bandytyzmem działania jednostek zbrojnych ruchów niepodległościowych.

Czy terroryzm jest zjawiskiem nowym? Historycy, w tym między innymi Walter Laqueur /w pracy Terrorism/, przypominają sycarij Żelotów stosujących systematyczny terror wobec okupanta rzymskiego i przedstawicieli skłonnych do ugody kręgów społeczeństwa żydowskiego. Motyw **z a b ó j s t w a t y r e n a** jest trwałym składnikiem europejskiej wyobraźni kulturalnej i politycznej od początku, choć pisząc to wiem, że wyznaczenie miejsca, w którym początek bierze swój początek jest zadaniem tak kuszącym, że niemożliwym: rozpływa się w kalekiej nieskończoności czasu teraźniejszego.

W każdym razie idea tyranoidy i rozpłomienia dusze Bratwa, Johna z Salisbury, Juana de Mariana, Cromwella, jego zwolenników i przeciwników, Jean-Paula Marata i panny Corday, Schillera, Blichnera, Aleksandra Ułjanowa, Włodzimierza Lenina, Fani Kapłan, Clausa von Stauffenberga, Frantza Fanona i setek innych. To słowo: **t e r r o r** nie jest stare; swe miejsce w rejestrze wielkich pojęć bierze dopiero od czasu, gdy Rewolucja kierując się zamysłem ostatecznego zniesienia kary śmierci wprawia w ruch gilotynę. Laqueur pisze, że pojawienie się terroryzmu było związane z narodzinami demokracji i nacjonalizmu; powtarza za Albertem Camusem, który z kolei powtarzał za Maxem Schelerem, że "bunt może się zrodzić tylko w sytuacjach społecznych, gdzie równość wobec prawa osłania wielkie nierówności faktyczne" i że bunt to "problem człowieka świadomego, który zna swoje prawa". Wynikać ma stąd wniosek, że terroryzm gicarii nie daje się porównać z działalnością np. Narodnej Woli lub IRA, nie ma ogólnej formuły obejmującej terroryzm jako jeden z przejawów aktywności gatunku ludzkiego. Książka Laqueura jest imponującym reżetrem najrozmaitszych aggrupowań skrajnych, dostarcza wiedzy o zapomnianych dziś ideologach gwałtu /Karl Heinzen, Johann Most x/, Ragnar Redbeard/... Nie byłaby możliwa bez milczącego założenia, że ogólna formuła mimo wszystko istnieje. A więc, że treść pojęcia **t e r r o r** towarzyszy człowiekowi nieustannie, cokolwiek począł wchodzić w stosunki polityczne z innymi ludźmi, ważąc na przeciwległych szalach wartość wolności i znaczenie władzy, siebie i innych.

Pokusa uprawiania polityki doskonałej w niedoskonałym świecie prowadzi niekiedy myśl o usprawiedliwionym przez miłość ludzkości użyciu gwałtu; niewiele przy tym trzeba, by przemoc z ultima ratio przeistoczyła się w prima ratio, uniemożliwiając sens polityki

x/ Karl Heinzen, demokrat niemiecki, uczestnik powstania w Badenii, emigruje do Szwajcarii, potem do Anglii, od 1850 roku w USA. autor m.in. Mord und Freiheit, zwolennik masowej /million barbarzyńców/ eksterminacji przeciwników ludu.

Johann Most, działacz socjaldemokratyczny, poseł do Reichstagu, po rozpełnieniu przez Bismarcka kampanii antysocjalistycznej emigruje najpierw do Anglii, potem do USA; tam wydaje hiper-radykalny tygodnik "Freiheit".

• jakiegokolwiek /oczywiście, jeśli zgodzimy się, że między trwałym użytkowaniem ościenia, topora lub pały a polityką istnieje mimo wszystko różnica/. Chęć powrotu ku zasadom umiaru każe sięgnąć po broń po raz ostatni i w najokrutniejszych intencjach: niszczycielskiej potędze despoty i niszczycielskim konwulsjom anarchii trzeba wreszcie przeciwstawić budującą siłę Rozumu. Ale też warto pamiętać, że wiarygodnym znakiem spełnienia tych czystych intencji jest zawsze krew, która żąda odwetu. Pamięć to niekoniecznie się pochodź ofiar i oprawców, związanych poręką odrznięcia, zbrodni i nadziei sensu.

Jeśli terroryzm jest, jak twierdzi Stanisław Anderski /nasze Terror w A Dictionary of the Social Sciences/ takim rodzajem tyranii, w której potencjalna ofiara bez względu na skrupulatność w wykonywaniu rozkazów /tyrana/ nie może być nigdy pewna swego bezpieczeństwa, to należałoby uznać, że współczesna technika nadała interesującemu nas zjawisku wymiar szczególnie nowy. Groźbę wynikającą ze stosunkowo łatwego dostępu do broni o dużej skuteczności trzeba uważać przez wartość, jaką dla terrorystycznego szantażu ma globalny system połączeń telewizyjnych i radiowych: z pewnością jeszcze nigdy tak niewielu nie mogło uczynić tak wiele w dziedzinie p u s z o z a - n i a d r e s z o z y na cały świat. Atak terrorystyczny, gdy celnie wymierzony, może mieć daleko idące konsekwencje w stosunkach międzynarodowych, skoro nie należy wykluczać, że ochotnicy gwałtu zachęceni są do aktywności przez siły owe stosunki kształtujące.

Nie sądzę przy tym, by miała rację Claire Sterling, która twierdzi, że tajemnica współczesnego terroryzmu kryje się bez reszty w archiwach wywiadów wielkich mocarstw i ich ukrytych satelitów. I jakże; kryje się! Ale z istotną resztą! Wydaje się, że rzecz polega na wykorzystaniu przez siły trzecie istniejących już grupek zróżnych - zerodkowych ruchów partyzanckich, komunistycznych, nacjonalistycznych, faszystowskich. Możliwe rozbieżności ideologiczne między tak pojętymi partnerami /niektóre zresztą przydatne, jako sposób maskowania niebezpiecznych związków/ są minimalizowane dostawami broni, sprzętu i pieniędzy, wsparciem propagandowym etc. /Tę, Claire Sterling szuka źródeł terroryzmu w biografii: jak wiadomo sławny Carlos ma ojca komunistę, nosi imię Ilich i studiował na uniwersytecie im. Lummby. Interpretację podobną, choć nieco może bardziej złożoną, przedstawia Jillian Becker w poświęconej dziejom RAF pracy Hitler's Children. Wedle niej terroryzm w Niemczech brał się z pomieszania spuścizny nazistowskiej z obywatelską w latach sześćdziesiątych modą na lewicowość./

B.S. Liddell-Hart /Strategy: The Indirect Approach/
zauważa, że w XX wieku szeroko rozumiana guerrilla
przestała być bronią słabszej strony. Równowaga potenc-
jałów nuklearnych przeobraziła ją w formę agresji: w
ten sposób cold war ustępuje miejsca camouflaged war.
Tu warto dodać, że ruch terrorystyczny /partyzancki/
może zyskać osobliwą przewagę nad mocarstwem, które go
wspiera: globalna równowaga wielkich sił i wielkiego
strachu czyni dywersję instrumentem niezastąpionym,
więc pożądanym. Taki szantaż włożony jest jednak w
ryzyko gry i jej ostateczny bilans. Rzeczywiste zwycię-
stwo guerrilli nie jest możliwe bez gwarancji ze strony
mocarstwa. Gdyby nie dostawy broni made in USA, Ernesto
Cuevara nie mógłby sformułować uwag o partyzantce zvy-
cięskiej; nie mógłby wszakże jego traktat zyskać tak
wielkiej popularności, gdyby nie późniejsza pomoc u-
dzielana Kucie przez kraje komunistyczne. Reszta jest w
ironicznym milozeniu śmierci człowieka, który zaczął
niepokoić obie wysokie układające się strony.

Jak głęboko trzeba się cofać w przeszłość, by tra-
fić na granicę dzielącą to, co na pewno n o w e, od
tego co bez wątpienia stare? Ani motywy i zasady, ani
metody nie różnią w zasadniczy sposób np. Palestyńczy-
ków, dokonujących w 1973 r. napaści na ambasadę Arabii
Saudyjskiej w Chartumie, i bojowców krocackich strzela-
jących w 1934 r. w Marsylii do Aleksandra I i Louisa
Barthou. Próby wyrażania pociągów podjęwane były
przez Narodną Wolę, w tym samym czasie terroryści ir-
landzcy planowali budowę i użycie ładzi podwodnych oraz
gazów lub trucizn. Porwania samolotów rozpoczęły się w
zasadzie wraz z upowszechnieniem komunikacji lotniczej.
Decydującą rolę odgrywa tu nie szczególne okrucieństwo
napastników narażających zdrowie i życie podwodnych oraz
ładzi, ale z po prostu istnienie obiektu, który zapewnia
skuteczność akcji. Działania przeciwko osobom, które
korzystają z ochrony prawa międzynarodowego, i zjawisko
eksplozji gwałtu brane były pod uwagę przez konwencje
Ligi Narodów o zapobieganiu terroryzmowi z 1937 r., a
także przez dziewiętnastowieczne porozumienia między-
narodowe. A jednak Lagueur pisze: "... tylko dwie gene-
racje dzielą Sofię Perowską i Emmę Goldman od Ulriki
Meinhof, ale z moralnego i intelektualnego punktu wi-
dzenia ten dystans musi być mierzony latami świetlnymi".
Tymczasem wydaje się, że nie ma ważnych powodów, by
sądzić, że terroryści z Narodnej Woli przewyższali pod
jakimkolwiek względem terrorystów z Rote Armee Fraktion.
Pierwsi cieszyli się współrozumieniem, a niekiedy i
wspieraniem kręgów społecznych, które w wybuchu Rewolucji,
niezależnie od tego co słowo oznacza, widziały spełnienie
swoich pięknych, zacnie utopijnych nadziei. Drugim przy-

szko dziać w społeczeństwie, które zna cenę, jaką trzeba płacić za urzeczywistnienie utopii. Pierwsi pozostawili po sobie manifesty i pamiętniki, w których piękno celu przyćmiewa pamięć o środkach. Drudzy zostali pozbawieni szansy literackiej przez policyjnych strzelców wyborowych. Pierwsi oglądani z zachodnio-europejskiego oddalenia swą legendę zawdzięczają w znacznej mierze sentymentalnej niewiedzy apologetów /szczytu bałamucstwa osiągnął Albert Camus w Człowieku zbuntowanym, a przede wszystkim zafascynowany Nieczajewem Stanisław Brzozowski/. O drugich wszystko było z góry wiadomo. Pierwszym przypisuje się jedynie bohaterką wielkoduszność. Drugim - jedynie bezgraniczny sadyzm. Jan Kalajew odmówił rzucenia bomby w powóz wiozący parę wielkoksiażecą, bo przecież kobieta była niewinna. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku antyimperialistyczni, rewolucyjni partyzanci palestyńscy specjalizują się w ostrzeliwaniu autobusów wiążących dzieci żydowskie do szkół i przedszkoli. Ale może by przy okazji nie zapałować, że terroryści rosyjscy chętnie porywali dzieci dla okupu x/ i organizowali gromy antysemitki. Historia Narodnej Woli nie daje się zapisać jednym słowem: zza otoczonej mrokiem posągowej postaci Żelabowa wychyla się znikczemiały Sergiusz Diegajew. Waryński i Kunicki są odpowiedzialni za upiorną sprawę Helszera i śmierć I etruskiego. Byćcy zresztą rzeczą jałową przenoszenie cech poszczególnych postaci na cały ruch, bez wzięcia pod uwagę konkretnych, określających środki, celów politycznych, i bez analizy ogólnej intencjonalności wrogości i okrucieństwa/ na polu walki.

Zabójstwo jest faktem dającym się wymierzyć i opisać: ktoś zabił, ktoś został zabity. Inaczej jest z pojęciem tyranii i racjami buntu: nie wiadomo, ile trzeba niewoli, ile bezprawia, ile głodu, ile poniżenia, by pojawili się ludzie gotowi chwycić za broń. Powody, dla których Sofia Perowska przystąpiła do organizowania zamachu na Aleksandra II są oczywiste, jeśli uwierzymy, albo nawet i nie uwierzymy, w zasadność diagnoz społecznych i politycznych zawartych w manifestach Narodnej Woli; z tej okazji należy pamiętać o reformatorskiej polityce władcy rosyjskiego: terror grup rewolucyjnych był niechcianym produktem reformy,

x/ Kilkunastoletni Lew Szwaroman, tj. Szestow, został porwany przez terrorystów w 1878 roku; w oczekiwaniu na okup porwacze więzili go sześć miesięcy.

zadecydował potem o ostatecznym odejściu rządu carskiego od jej zasad. Odpływ fali rewolucyjnej po 1907 r. przemoc rosyjskiego zaborcy i praktyczne zwycięstwo koncepcji tzw. realistycznych, czyniły w Polsce społecznie nieprawdopodobnym ponowne podjęcie walki "na ostro", a jednak we wrześniu 1908 r. doszło do akcji bojowej pod Bezdanami; myślenie "realistyczne" w polityce często rozmięka się z materialną rzeczywistością... trafnie zauważa Adam Michnik /Cienie zapomnianych przodków/ - przypominając list pisany przez Józefa Piłsudskiego tuż przed akcją bezdaną: "... walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża - szyszyse - ubliża mi, jako człowiekowi z godnością niewolniczą...". Nie wygłąda na to, by na przekźmie lat tysiąc dziesięćset sześćdziesiątych i siedemdziesiątych rząd kanadyjski poddawał mniejszość francuskojęzyczną czeszcgołim represjom, a rząd francuski stosował wobec Korsykańczyków politykę nieograniczonego terroru, a jednak Front de Liberation du Quebec i separatystyczne grupy korsykańskie przeprowadziły przynajmniej parę groźnych akcji bojowych. Systemy polityczno-prawne Republiki Federalnej Niemiec i Republiki Włoskiej nie sprzyjają dotychczas ambicjom władzy, wszakże przeciwko nim właśnie skierowane zostały w latach ubiegłych najsilniejsze ciosy partyzanckie.

Niektórzy interpretatorzy zjawiska odwołują się do teorii Johna Dollarda dowodząc, iż terroryzm daje się rozumieć jako jedna z form wyrazu frustracji wynikających z gwałtownego przeżycia dystansu między aspiracjami osobniczymi /i grupowymi/ a określoną społecznie możliwością ich spełnienia. Oznacza to, że terroryzm ma przyczyny, które można określić w sposób mniej lub bardziej precyzyjny. Tak mówią inni badacze, analizując np. dziejące zbiorowość konflikty narodowościowe; ideologiczne i religijne, poziom rozwoju gospodarczego danego społeczeństwa, a w tym udział destabilizacji wywołanej przez presję modernizacyjną, niedrożność albo i w ogóle brak kanałów pokojowej artykulacji protestu, słabość lub nieudolność aparatu władzy, a w tym brak legitymacji, tarcia między elitami, niedostateczną lub nadmierną skuteczność policji, wreszcie istnienie i siłę oddziaływania tradycji walki zbrojnej oraz postawy i temperamenty ludzi uczestniczących w działalności konspiracyjno-terrorystycznej. Ten nie poddający się fałsyfikacji koncept generalny ma oczywiście sporo zalet, ale i jedną wadę: każąc pochylić się z wagą nad konkretnymi przypadkami terroryzmu zakłada ich nieporównywalność w czasie i przestrzeni, chyba że przez odwołanie się do kryteriów, które same wymagają poświadczenia; nie bierze

pod uwagę momentu, w którym zabójstwo tyrana z jednostkowego aktu zemsty lub protestu przeobraża się we względnie trwałą formę artykulacji ukrytych pragnień, emocji i napięć społecznych; widzi w terroryzmie prawdę strukturalną, prawdę wszechwładnych okoliczności, pomija zaś milczeniem to, że jest on dziełem i losem ludzi, którzy przecież mogliby się porozumieć i są zawsze czymś więcej, niżby to z sumy okoliczności wynikało.

Literature

1. Jillian Peckers: Hitler's Children. J.B. LIPPINCOTT Company, Philadelphia New York 1977.
2. John Dunn: Modern Revolutions. Cambridge University Press, London 1971.
3. Tad Robert Gurr: Why Men Rebel. Princeton University Press, Princeton 1971.
4. Brian Jenkins: International Terrorism: A New Mode of Conflict /w/ D. Carlton & C. Schaerf: International Terrorism and World Security. Halsted, New York 1975.
5. Abraham Kaplan: The Psychodynamics of Terrorism /w/ "Terrorism /an international journal/" ed. Yonah Alexander, vol. I Grane Russak - New York 1977.
6. Walter Laqueur: Terrorism. Weidenfeld and Nicolson, London 1977.
7. Basil Hiddle-Warts: Strategy: The Indirect Approach. Faber, London 1967.
8. Carlos Marichella: The Mairannal of the Urban Guerrilla. Patrick Arguello Press, San Francisco 1976.
9. Paul Willinson: Terrorism and the Liberal State. The Macmillan Press Ltd. 1977
10. Claire Sterling: The Terror Network. The Secret Map of International Terrorism. New York 1981.

FELTRINELLI - IL PADRONE ^x

15 marca 1970 roku, kiedy Włosi przygotowywali się do długich tygodni retoryki poprzedzającej majowe wybory do parlamentu, gazety poranne donosiły o znalezieniu pod skupem wysokiego napięcia w Segrate, na północnych przedmieściach Mediolanu, spalonych i okaleczonych zwłok mężczyzny. Do ochlapanego krwią i oblepionego strzępami ciała skupa przymocowane były 43 ładunki dynamitu. Wszystko wskazywało na to, że jeden z takich ładunków eksplodował w rękach mężczyzny, przygważdżając go do ziemi. Siła wybuchu rzuciła jedną jego nogę na odległość 10 jardów, a kawałki kości na odległość 50 jardów. Ciało zostało znalezione przez chłopca, którego doprowadził na miejsce jego kundle, Twist.

Śmierć "Vincenzo Maggioni", jak głosiły niezdarnie sfałszowane dokumenty znalezione przy zwłokach, nie wywołała specjalnego wrażenia. Tego rodzaju eksplozje zdarzały się wówczas we Włoszech niemal codziennie, a wypadki chodzą po ludziach. Jednak 24 godziny później cały naród zelektryzowała wiadomość, że trup został zidentyfikowany jako Giangiacomo Feltrinelli. To nazwisko robiło wrażenie, nosił je bowiem wydawca Doktora Żiwago i Lamparta, potomek przebogatej mediolańskiej rodziny i jeden z najzamożniejszych ludzi w Europie.

W mgnieniu oka cała machina państwowa została postawiona na nogi. Zablokowano drogi na północy kraju. Dwanaście tysięcy policjantów i carabinieri przeszukiwało okolice, wkraczając do domów i kryjówek prawicowych i lewicowych ekstermistów Mediolanu, Turynu, Genui i Rzymu. Zatrzymywano i przesłuchiowano dziesiątki ludzi. W policyjne sieci wpadły ponure, zaszyfrowane dokumenty, oznakowane przez terrorystów mapy i ogromne ilości broni - parę tysięcy karabinów maszynowych, trzy tony dynamitu i pół miliona cocktaili Molotowa. Energiczni obrońcy demokratycznego prawa i

x/ Rozdział drugi książki The Terror Network. Tłum. M.L. na podstawie wydania A Berkley Book, New York 1982.

porządku zadbali o to, by przez następne siedem tygodni, aż do dnia wyborów, sprawa nie zeszła z pierwszych szpalt gazet. Za życia Feltrinelli robił wszystko, żeby zniszczyć ustalony porządek. Po śmierci przyczynił się do jego zwycięstwa w wyborach. W rezultacie zginął za ojczyznę. Nie ścierpiałby takiego ewitafium!

Włosi byli pewni, że nigdy nie dowiedzą się, jak to się stało. "Żadna zbrodnia, w którą zamieszana jest władza polityczna, nigdy nie wyjdzie na światło dzienne" - powiedział znany pisarz sycylijski Leonardo Sciascia. Tę zbrodnię również okrzykiem nieprzekonana mgła. Niemniej każdy, kto liczył się we włoskiej elicie radykalnej, skupiającej pisarzy, aktorów, dziennikarzy, prawników, polityków i wykwintnych właścicieli intelektualnych salonów "Milano bene", był przekonany, że z pewnością maczała w tym palce CIA, albo włoska służba wywiadowa, albo jakaś prawicowa konspiracja, lub też wszystkie te trzy organizacje naraz.

Przypuszczano, że Feltrinelli został zabity w innym miejscu, po czym zwłoki podrzucono, albo że zastawiono na niego pułapkę. Komunistyczny dziennik "Unita" pisał o "dramatycznych przejściach" i prawdopodobnie "faszystowskiej infiltracji radykaloidalnej lewicy". Dysydenci komunistów z "Manifesto" wskazywali na "ciemne strony" struktury politycznej zdominowanej przez "amerykański system władzy". Słynny pisarz, Alberto Moravia, zapytywał: "Czym jest prowokacja? Dla lewicy to rzekoma rewolucyjna forma działania, która w rzeczywistości ma usprawiedliwiać represje." Cały szereg wybitnych intelektualistów podpisał list do socjalistycznego tygodnika "Espresso", list mówiący wręcz o "potwornym morderstwie, za którym kryje się międzynarodowa reakcja" / "Jakie mam dowody? - zapytywała jedna z sygnatariuszek listu, dziennikarka Camilla Cederna - Cóż to ma za znaczenie? Dowody zjawiają się później."

Istotnie, dowody pojawiły się znacznie później, przy czym nieco inne niż te, jakich się spodziewano. Ale w tym momencie intencje Feltrinelli nie budziły już wątpliwości. Pojechał do Segrate z pełną świadomością rzeczy, bynajmniej nie pod wpływem narkotyków, i sam wdrapał się na słup na wysokości 12 stóp, o czym świadczą odciski jego palców i ślady krwi. Można, że zamierzał wysadzić słup w powietrze - to miał być tylko początek, bowiem po drugiej stronie Mediolanu, w San Vito in Gaggiano, na innym słupie wysokiego napięcia policja wykryła takie same ładunki /produkt o nazwie Dynamon/. Tylko z powodu awarii mechanizmu zegarowego nie doszło do wybuchu. W minibusie marki Volkswagen, którym Feltrinelli przyjechał do Segrate, znaleziono

mapy północnych Włoch oznakowane krzyżykami i strzałkami w miejscach, gdzie znajdowały się stupy wysokiego napięcia, mosty, lotniska i zabudowania wojskowe. W robotniczych dzielnicach Mediolanu wykryto jego pięć kryjówek; zawierały cały arsenał broni i amunicji, większą ilość dynamitu, fałszywa paszporty, dokładną kopię systemu komunikacyjnego carabinieri, zaszyfrowaną korespondencję oraz długie listy z ręcznymi dopiskami Feltrinelliego, zaadresowały do niejakiego "Saetty" i proponujący mu współodwodzenie podziemną Armią Wyzwolenia Narodowego.

Wkrótce potem policja dokonała o świcie obławy na dwie inne kryjówki. Jedna okazała się również arsenałem zawierającym dość broni, żeby wyposażyc małą armię. W drugiej zaś znaleziono autentyczny paszport Feltrinelliego - miał poza tym pięć fałszywych - oraz setki skradzionych dowodów osobistych, cztery aparaty radiowe nastawione na odbiór fal zastrzeżonych dla policji, przeróżne dokumenty w języku włoskim, i długa lista kandydatów do porwania z kręgów politycznych, przemysłowych i finansowych; pod kłapą w podłodze mieściło się mrowane, wytapcowane i dźwiękoszczelne "więzienie ludowe" o wymiarach 6 na 9 stóp, z ukrytymi mikrofonami, juhaszem i kajdankami. Aresztowano ludzi, którzy pojawili się w tych kryjówkach, odwierając je własnym kluczem, i wówczas okazało się, że należą one do istniejącej zaledwie od roku i mającej znaczącej grupy "Czerwone Brygady".

Następne odkrycia były kluczem do tego, co miało się wkrótce dzieć w całej Europie Zachodniej. Ale w tamtym czasie niemal nikt by w to nie uwierzył. W 1972 r. trudno było znaleźć we Włoszech człowieka, który by odmielił się sugerować, że terrorystyczna przemoc może pochodzić skądinąd niż ze strony neofascystowskiej prawicy. Tortury, porwania i zabójstwa, które rozszły się na całym świecie Czerwone Brygady, jeszcze się nie zaczęły. Akty gwałtu i przemocy - następstwo krwawych eksplozji, jakie rozpoczęły się w roku 1969 - przypisywano powszechnie skrajnej prawicy, która działając w ten sposób chciała obarczyć winą za nie skrajną lewicę, a sobie pozyskać opinię publiczną. Jak było do przewidzenia, w kraju tradycyjnie nieufnym wobec skrajnej prawicy, "strategia napięcia" przechyliła szalę opinii publicznej na lewo. Dopiero sprawa Feltrinelliego wiarygodnie dowiodła, że z lewicą też nie jest najlepiej.

Okazało się, że na lewo od jawnego, ultralewicowego skrzydła mieści się całe tajemniczo podziemie polityczne, składające się z komunistów - byłych członków WPKP, anarchistów, maistów, trockistów i marksiistów-leninistów wszelkich maści, którzy w

swoim kulcie terroru nie różnili się od faszystów i eks-faszystów, lumpenproletariatu i pospolitych przestępców. Wydawało się, że nie ma temu końca: Czerwone Brygady w Mediolanie, Grupa 22 Października w Genui, Anarchistyczne Koło 22 Marca w Rzymie, Sprawiedliwość Proletariacka w Padwie, FARO-ML /Robotniczy Front Akcji Rewolucyjnej - marksisteci-leniniści/ w Turynie i Rzymie. Najruchliwsza i najgroźniejsza była Grupa Akcji Proletariackiej /GAP/, gotująca się do "walki zbrojnej z władzami... i faszystowskimi świniami"²/.

Ulokowani w Mediolanie, Turynie, Trento i Genui członkowie GAP byli uzbrojeni po zęby; utrzymywali się w formie dzięki spartańskiej diecie przepisanej przez towarzysze-lekarza, oraz dzięki długim, forsownym marszom. W odległych, położonych w Apeninach obozach trenowali pod kierunkiem byłych partyzantów i instruktorów niemieckich, którzy posługiwali się mini-podrecznikiem Carlosa Marighelli i oddani byli bez reszty sprawie podkądania bomb, wzniesienie pożarów, wysadzania w powietrze, kradzieży, porwań i zabijanie za karę albo po prostu, żeby nie wyjść z sprawy. To właśnie była grupa Feltrinelliego.

Nikomui nawet się nie śniło, że mógł mieć własną grupę, póki nie ogłoszono tego na wpół legalna Władza Robotnicza /Potere Operaio, bardzo poufale - Potop/. Dziesięć dni po śmierci Feltrinelliego gazeta grupy /również nazwana "Potere Operaio" i - jak się okazało - przez niego finansowana/ oświadczyła z dumą, że rzeczywiście wyrzekł się był swojej klasy. On też okazał się "bojowym komunistą Osvaldo", w randze dowódcy brygady w GAP, do której programu dostosował się "jak skóra do ciała". Czarny tytuł głosił: "Rewolucjonista zginął na polu walki"³/ . Był to jedyny radykalny głos we Włoszech, który tak to wtedy określił.

Siedem lat później, kiedy rozszerzająca się wojna terrorystyczna pchnęła Włochy na skraj przepaści, niepokalani demokraci pożakowali ówczesnej ślepoty całego narodu. "Ledwie parę godzin minęło od śmierci Feltrinelliego, a już demokratyczna, postępową inteligencja i cała lewica rozpoczęły operacje przetrzeźwienia faktów, opóźniając tym samym chwilę, kiedy uświadomiliśmy sobie, jak naprawdę się rzeczy mają" pisał demokratyczny i postępowy "Espresso" w 1979 r. "W tamtych latach my, dziennikarze, nie mieliśmy pojęcia, czym jest uzbrojona lewica" - dodawał popularny felietonista socjalistyczny Giorgio Bocca. "Kiedy wykryto te niewlarygodne bunkry GAP-u z bronią, uśmiechnęliśmy się. A przecież było właśnie tak, jak było: bunkry były prawdziwe; broń także, prawdziwa była również tragiczna gra Giangiorgio Feltrinelli."

Aż do śmierci nie zdołał skłonić swych przyjaciół i rodaków, by brali go poważnie za zawodowego rewolucjonistę. Zarliwego - owszem. Jego płomienne oddanie sprawie przyspieszało puls wielu salcnowcom na całym kontynencie i sprawiało, że tacy jak on zdradzą własnej klasy zjechali się zewsząd w swoich Bentleyach na pogrzeb kolegi. Mimo wielkich sukcesów książek takich jak Doktor Ziwago, wydawnictwo Feltrinelli zawsze miało kłopoty finansowe ponieważ szef uparcie drukował umiśtwo niechodliwych, radykalnych broszur.

Był pierwszym, który wydał po włosku mini-podręcznik Marighelli, oraz pierwszym we Włoszech, który opublikował prosty rysunek pokazujący, jak sporządzić cocktail Mołotowa. Przez długi czas utrzymywał skrajnie lewicowe grupki, które traktowały go tak, jak traktuje się zwykle jeleni... Wielbił Fidela Castro i Che Guevarę, głosił hasła w rodzaju: "Wietnam w każdym zakątku Włoch" i aż do końca nosił się po wojskowemu w stylu urugwajskich tupamaros. W połączeniu ze szczerym spojrzeniem z okularów i krzaczastym wąsem czyniło to z niego pośmiewisko z komiksu. Dla przeciętnego Włocha był lekko kopniętym milionerem, i niczym więcej.

Jakkolwiek zepsuty - a był zepsuty - mógł sobie pozwolić na to, by z ekstrawagancką nonszalaną realizować swe urojenia. Za odziedziczoną po przodkach fortunę nie kupiłby sobie miejsca, jakie chciał zająć w historii; żadne nieniądze nie uczyniłyby z niego Fidela Castro. Wsiadnął się więc do historii tak, jak mógłby go w niej umieścić Tołstoj: jako człowiek sam w sobie niewarty uwagi, który jednak w sprzyjającym miejscu i czasie, dzięki bogactwu i fantazji może - sam o tym nie wiedząc - wpłynąć na bieg wypadków.

I tak się stało. Choć był facetem, z którego się wyśmiewano i - jak wyraził się pewien bezlitosny towarzysz - "krową dojną", to przecież był pierwszym, który zorganizował sprawną terrorystyczną siatkę w Europie, pierwszym, który wykroczył poza granice jednego kraju i przygotował grunt oraz logistykę dla grupy międzynarodowych morderców, którzy mieli niebawem niczym fajerwerk wystrzelić na scenie świata.

Na oko wydawać by się mogło, że w ogóle do tej roli nie pasuje. "Giangi" taki, jakim go znała rodzina i przyjaciele, nie był typem bojowca. Potomek jednej z wielkich włoskich rodzin, dysponujący nieograniczonym kontem bankowym, skazany na pozbawione ciepła dzieciństwo pod pieczę kolejnych niemieckich gubernantek i chłodnym okiem matki, impotent seksualny, człowiek inteligentny, lecz pozbawiony talentu, mitytany poczuciem winy za swe uprzywilejowanie i Bóg wie jakimi jęczącymi furiami, był - jak powiada Leonardo Sciascia - "bardzo hyetry, bardzo nieobliczalny i

bardzo bezbronny".

Od urodzenia /w 1926 r./ cłował się w ceremonialnej samotności. Rodzina Feltrinellich posiadała olbrzymie lasy w Europie wschodniej, stada bydka w Brazylii, nieruchomości, akcje przemysłowe, udziały w bankach, i żyła w wielkim stylu. Pisarz Luigi Barzini-junior, przez parę lat konaty z owdowiałą matką Giangiego, opisał jak źle się czuł w tym "ogromnym, pełnym służby domu, zorganizowanym i funkcjonującym jak jaki dwór... W pierwszych latach życia Giorgi żył w zupełnej izolacji od rówieśników, niczym książe krwi w dawnych czasach" - wspomina Barzini w "Encounterze"⁴/. "To ja posłałem go do państwowej szkoły w Mediolanie, gdzie po raz pierwszy znalazł się wśród chłopców pochodzących ze wszystkich klas społecznych, o rozmaitym poziomie kulturalnym. Przesiębiał się bez przerwy... Ze swego samotnego i pełnego surowej dyscypliny dzieciństwa wyniósł niezdołność do tolerowania jakiegokolwiek kontroli, właściwego oceniania ludzi i traktowania innych jak równych sobie. Uniżony wobec tych, co nad nim górowali, i arogancki wobec niższych od siebie; rzadko bywał uprzejmy i rzeczowy z równymi sobie. W końcu zawsze wolał towarzystwo ludzi niewykształconych i fanatycznych, którzy byli w jakiś sposób od niego za-
leźni."

Jako kilkunastoletni chłopak, pisze dalej Barzini, "Giorgi był zapalonym faszystą. Nosił mundur avanguardisty i oblepił cały dom plakatami stawiającymi Duce. Pewien jeńcem, że zadenuncjowałby mnie bez wahania, gdyby przytapał mnie na słuchaniu zagranicznych radiostacji, toteż kiedy zaczynała się audycja, zamykaliśmy się z jego matką w małym pokoju". Później "ogrodnik nawrócił go na sprawę Rewolucji: przyjął tę nową wiarę z takim samym fanatycznym zaślepieniem... Ogrodnik zaraził go czymś; co z całą pewnością nie było marksizmem czy leninizmem, lecz utopijnym, socjalistycznym entuzjazmem, który - gdy sytuacja rewolucyjna dojrzała - okazał się dobrym przygotowaniem do krwawych jatek: politycznych czystek i skrytobójczych mordów, które Giorgi aprobował i o jakich marzył; kiedy nosił jeszcze czarną koszulę. Zawsze wierzyłem w rozum, toteż ciężko mi było znosić tego rodzaju romantyczną apokalipsę."

Laik nie może ocenić, w jakim stopniu zaburzenia emocjonalne pohnęły Feltrinelliego do politycznej przemocy, czarnej lub czerwonej. Ze miał kłopoty tego typu, to oczywiście. Wychowany bez ojca, stłamszony przez matkę, nieznośnie samotny i spragniony czułości, urodził się w dodatku z niewykształconym członkiem. Za żadne pieniądze Feltrinellich nie mógł sobie kupić normalnej, seksualnej rozkoszy, jaką cieszył się na

przykład jego ojczym czy ogrodnik. W gorączce frustracji żenił się czterokrotnie: wpieryw z surową proletariuską Biancą delle Nogare; potem z dojrzałą, młodą komunistką Aleksandrą de Stefani; następnie z atrakcyjną, radykalną Niemką Inge Schoental /która urodziła mu jedyne go syna i dotąd prowadzi wydawnictwo/ i wreszcie z o wiele bardziej lekkożylną niemiecką modelką Sybilą Melega. Dwie pierwsze rozwiodły się z nim z powodu nieskonsumowania małżeństwa. Dwie pozostałe, co oczywiste, nie chcą na ten temat rozmawiać. Ale kompensował sobie życie płciowe ozuczeniem nagrań muzyki wojskowej i odgłosów strzelaniny.

Niemniej jednak postawa polityczna Feltrinelliego nie była wyłącznie wynikiem stresów. "Dopiero później zrozumiałem, dlaczego taki okropak jak Gianni mógł zaraz po wojnie przylgnąć do ekrajnie lewicowej partii robotniczej" - pisał Barsini. "Takich jak on było wielu. Mało który dokonał świadomego wyboru: jedni szukali wytkumaczenia i pociechy po tym, jak rozwiwały się młodzieńcze marzenia o zwycięskiej Italii, inni buntowali się przeciwko dusznej, buddenbrokowskiej atmosferze panującej w ich rodzinach, przytłoczeni nazwiskiem, jakie nosili i ciężarem bogactwa...".

Kiedy w 1944 r. alianci posuwali się w głąb półwyspu, ojczym wyperswadował paronastolnieniu wówczas Giangiemu przyłączenie się do partyzantów. Ale Gianni zaciągnął się ochotniczo do włoskiej armii wyzwolenczej i odznaczył się w walce.

Według wszystkich świadectw, z wyjątkiem jednego, w 1946 r. wstąpił do partii socjalistycznej, a w 1948 do komunistycznej. Ale finansowany przez niego "Potere Operaio" twierdzi, że faktycznie od roku 1942 pracował w komunistycznym podziemiu, a do partii socjalistycznej zapisał się "jako agent tajnych służb kompartii"^{5/}. Ten wiele mówiący szczegół rzuca światło na wczesne konspiracyjne skłonności Feltrinelliego. Pokazuje też, jak i kiedy spotkał swego długoletniego przyjaciela, bardzo szczególnego komunistę nazwiskiem Pietro Secchia.

Secchia, szef partyzanckiego ruchu oporu, po wojnie rządził całym "równoległym" aparatem komunistycznym, łącznie z wywiadem i grupami paramilitarnymi, jakby zbrojną partią w partii. Parokrotnie wysłał swego przyjaciela-milionera z tajną misją za granicę. Okólnik policji z 1950 r. zawiadamia, że Feltrinelli udał się do Pragi z "ważnymi dokumentami związanymi ze szpiegostwem wojskowym"^{6/}.

Jako członek partii komunistycznej płacący składki w wysokości 200 000 dolarów rocznie i jeżdżący błękitnym Cadillacem, Feltrinelli siłą rzeczy zwracał na siebie uwagę. Powierzano mu szereg partyjnych przedsię-

biorstw handlowych, z czym doskonale dawał sobie radę. Skłoniono go również do założenia fundacji swego imienia - najlepszego w Europie ośrodka dokumentacji ruchów robotniczych, oraz strategicznie ważnego domu wydawniczego.

Nie należał do najsympatyczniejszych wydawców. Bywał arogancki i pogardliwy w stosunku do autorów. Barzini pisze, że wybitny pisarz Giorgio Bassani, redaktor wydawnictwa, został zwolniony niczym "kiepski stangret" po tym, jak Feltrinelli wżądał się do jego biurka i przeczytał prywatną korespondencję. Niemniej był śmiałym homo novus, który otworzył szeroko drzwi lewicowym pisarzom i szybko zrobił furorę na corocznych targach kelażki we Frankfurcie. W 1957 r. wydał Doktora Ziwago, pojechawszy uprzednio osobiście do Moskwy po prawa autorskie Pasternaka. Była to sensacja literacka, która jednak tak bardzo zirytowała Rosjan, że skończyła się ortodoksyjna, komunistyczna kariera Feltrinelliego. Wystąpił z partii w zgileku reklamy, a Ralphowi Chapmanowi z "Herald Tribune" oświadczył: "Komunistyczna partia włoska rozozarowała mnie."

Nie marnował jednak czasu. Prowadzony przez swego szefa i doradcę Pietro Secchia szybko znalazł drogę przez partyjny labirynt do nielegalnej, komunistycznej grupy o nazwie Volante Rosso, albo Czerwona Lotna Brygada... Nie należy jej mylić z tajną, zbrojną milicją partii, którą Secchia miał pouczyć trzymać w rezerwie na specjalne akcje. Volante Rosso utworzyli byli partyzanci, którzy nie chcieli zaakceptować powojennej współpracy partii z kapitalistycznym państwem. W latach 1945-1949 prowadzili walkę w łonie partii, występując przeciwko konstytucyjnym złudzeniom jej przywódców. Od wykonywania wyroków na byłych faszystowskich prominentach i wielkich posiadaczach ziemskich przeszli do siania strachu w fabrykach, "proletariackich wywłaszczeń" /napady na banki/ i mordowania niewystarozajaco, ich zdaniem, gorliwych towarzyszy. Na wzmiankę o nich Togliatti robił się niespokojny; byli doskonałymi prekursorami Czerwonych Brygad, które w dwadzieścia lat później przysparzały partii komunistycznej kłopotu.

W końcu Togliatti wysłał ich do Czechosłowacji, gdzie właśnie zainstalowany został przez wzorowych uczniów Stalina reżim komunistyczny. Dwadzieścia lat później Feltrinelli wpadał tam często do przyjaciół z Volante Rosso. Przekraczał granicę pod własnym nazwiskiem, albo z fałszywym paszportem, jako "Giancarlo Scotti", i zachowywał się jak u siebie. W 1971 r. miał pod Pragę willę stojącą otworem "dla towarzyszy z całego świata, z których wielu, jeśli nie większość, ku-

siąło się ukrywać⁷ /. Wszystko to w okupowanej Czechosłowacji, trzy lata po sowieckiej inwazji. KGB, wszechmocna służba bezpieczeństwa Kremla, nie ma zwyczaju pozwalając komukolwiek na utrzymywanie towarzyszy z całego świata bez jej wiedzy i zezwolenia.

Przez wiele lat było zagadką, jaki to układ mógł mieć notoryczny, komunistyczny renegat Feltrinelli z wywiadem sowieckim w Pradze, skoro w tym ekrupulatnie strzeżonym kraju pozwolano mu grać rolę gospodarza terrorystycznych uciekinierów z jego ojczyzny oraz innych krajów zachodnich. Zagadka wyjaśniła się dopiero w roku 1980.

A wyjaśnił ją generał Jan Sejna, czeski komunistyczny doradca wojskowy, który w 1969 r. zbiegł do Stanów Zjednoczonych. W wywiadzie, jakiego udzielił M. Ledeenowi z Instytutu Badań Strategicznych w Georgetown w styczniu 1980 r.⁸ / mówił o sowieckiej decyzji z 1964 r. dotyczącej popierania terroryzmu za granicą, o znajdujących się w Karlovych Varach obozach treningowych KGB dla początkujących, o sowieckiej specjalnej szkole wojskowej i obozie komandosów położonym 30 mil na południe od tej miejscowości, w ogromnym, liczącym 2000 akrów lesie w Doupovie, gdzie szkoleni byli czochwi terroryści z Europy i Trzeciego Świata. Formalnie odpowiedzialnym za obóz w Doupovie był kolega z wojska generała Sejny, Czech, pułkownik bezpieczeństwa, Burda. Generał Sejna znał nazwiska trzynastu Włochów szkolonych w obu obozach w latach 1964-1968. Feltrinelli przeszedł jeden kurs w Karlovych Varach i dwa w Doupovie, ucząc się sabotażu, poznając rodzaje broni, elektroniczne systemy telekomunikacyjne i taktykę miejskiej guerrilli. Był zbyt impulsywny i nerwowy, żeby można było na nim polegać, toteż czescy instruktorzy uznali go za "trudnego do kontroli". W tych trzech słowach streszcza się cała jego historia.

Zdaniem generała Sejny KGB nie miała zaufania do przywódców włoskiej partii w delikatnych sprawach "alternatywnej", komunistycznej linii politycznej. Wyboru Włochów do szkolenia w czeskich ośrodkach dokonywano na podstawie listy "kandydatów" z Potere Operaio oraz ich radykalnych kolegów z Lotta Continua; listy sporządzonej przez godnych zaufania włoskich towarzyszy wskazanych przez Moekwę. Nazwisko Pietro Secchia samo się nasuwa.

Co się stało z Secchią i jego zbrojną partią w partii, to inna sprawa, o której Włosi może nigdy nie dowiedzą się prawdy. Aż do swej tajemniczej śmierci w 1973 roku /otruty - jak powiedzieli umierając - był symbolem rewolucyjnego napięcia w łonie Włoskiej Partii Komunistycznej.⁹ / Pozostał do końca członkiem partyjnej góry i to mimo, iż ostro krytykował bardziej oswojonych przywódców.

Nie przystał na zarządzone osobiście przez Stalina zarzucenie taktyki rewolucyjnej, a jednak cieszył się niezmiennie względami Kremla. To wszak Stalin zawarłszy w czasie wojny z Churchillem i Roosveltem umowę, zgodnie z którą Włochy znalazły się po złej /kapitałistycznej, Zachodniej/ stronie linii wytyczonej w Jaskcie, narzucił włoskiej partii umiarkowaną linię. Niemniej, nikt w Moskwie, a jeśli już o to chodzi, to i w Rzymie, nie skłonił Secchia - przynajmniej za życia Stalina - do rozwiązania tajnego zbrojnego ramienia włoskiej partii. Mniektórzy twierdzą, że faktycznie zostało ono zlikwidowane dopiero po śmierci Secchia.

Żywe zainteresowanie Secchia formacjami tego typu nie wygasło nigdy. Utrzymywał bliskie kontakty ze starą gwardią z Volante Rossa, a gromkie rozejście się Feltrinelliego z partią nie przerwało ich zażyłej przyjaźni, która w sumie trwała lat trzydzieści. Śmierć wydawcy nie tylko napełniła go smutkiem, lecz również zartwożyła. Gdy się o niej dowiedział - natychmiast wysłał zaufanych ludzi na miejsce, z zaleceniem, by na jego własny użytek zbadali "niewiarygodną pogłoskę o Feltrinellim-terrorystcie" i by odzyskali najwyraźniej tretną korespondencję, którą zdeponował w skrytce Feltrinelliego.

A jednak, to niekoniecznie Secchia musiał zorganizować włamanie i śplądrowanie plemonckiej rezydencji Feltrinelliego. Jeszcze przed pogrzebem Czerwone Brygady wyjechał do Szwajcarii kurierów, celem opróżnienia skrytek w tamtejszych sejfach.¹⁰ Tajne służby dwunastu krajów były jednak zainteresowane w dostaniu jego papierów w swoje ręce: Izraelczycy, Niemcy, zachodni, Szwajcarzy, Francuzi, Boliwijczycy, Amerykanie, a także jego rodacy Włosi. Również NATO, którego sekcja wywiadowcza zwołała pospiesznie nadzwyczajną sesję. A także Rosjanie, których ambasada w Rzymie wpała nagle w popłoch. Tej samej wiosny włoski kontrwywiad, SID, zażądał natychmiastowej ekspulsji dwudziestu sowieckich agentów akredytowanych przy ambasadzie "w związku z ich kontaktami z Feltrinellim i grawitującymi wokół niego ruchami wyrotowymi"¹¹. Premier Giulio Andreotti odrzucił tę propozycję z powodów, które nigdy nie zostały wyjaśnione.

Nie sposób prześledzić wszystkiego, co Feltrinelli robił, by po śmierci cieszyć się aż takim zainteresowaniem. Ale zaczęło się to na Kubie.

Do Hawaj przyjechał po raz pierwszy w 1964 r. i był zachwycony. Zaledwie pięć lat minęło od czasu, gdy Castro wygrał swoją partyzancką wojnę, odznaczając pierwsze, spektakularne zwycięstwo na kontynencie doktryną Lenina i jankesowskiego dolara. Dla Castro były to

złote lata. Czar rewolucji jeszcze się nie ulotnił. Rosjanie nie byli jeszcze całkiem pewni, co z tym dalej robić. Szermancki Che Guevara wciąż jeszcze był u jego boku. Do stolicy napływali zewsząd intelektualis- ci, żeby zobaczyć nowy, fascynujący rozdział komunisty- cznej historii. Feltrinelli o całym godzinami rozmawiał z komunistycznym przywódcą, który w każdym calu odpo- wiadał jego wizji walozącego, rewolucyjnego bohatera. Wrócił do Włoch jako człowiek Castro.

Do Hawany powracał często: na parę dni, tygodni lub miesięcy. Wpierw pojechał tam jako wydawca. Na na- pisanie autobiografii. dał Castro 20 000 dolarów zaliczki i czasem nawet pytał o tekst, aż w końcu wódz po- wiedział, że "jest zbyt zajęty robieniem rewolucji, żeby o tym pisać." I zakupił za te pieniądze rozplodo- wego byka-rekordzistę imieniem Rosafé.¹²

Jednak w 1966 r., wraz z otwarciem Konferencji Trzech Kontynentów, Castro i Kuba stali się czymś wię- cej niż romantyczną atrakcją. Naturalnie Feltrinelli był obecny i spotkał głównych protagonistów przyszłej terrorystycznej dekady.

Wróciwszy do Włoch, rozpoczął bezprzykładną epokę literatury pod gajecą. Sieć księgarń Feltrinelliiego w Rzymie, Florencji, Bolonii i Mediolanie oferowała włoską edycję wydawanego w Hawanie pisma "Tricentena- tal": był to pierwszy oficjalny głos Castro na konty- nencie europejskim, proponujący obok wielu innych rze- czy pełny tekst - wydanego w 1969 r. - mini-podręcznika Marighelli w przekładach włoskim i francuskim. Na witrynach widniała również własna publikacja Feltri- nelliego, Sinistra /Lewica/, oraz masa broszurek dla tych, "którzy chcą robić rewolucję nie samym gadaniem".

Pokolenie dryfujące ku mającej nastąpić za dwa lata wybuchowej contestazione, mogło znaleźć w jego księgar- niach nie tylko prace Che Guevary, Mao i Herberta Mar- cuse, ale i całą kupę samoczków: jak zrobić prymitywne ręczny granat /gumowany papier, blaszane puszki, kawa-łek metalu, proch strzelniczy/, jak skonstruować domo- wymi środkami miotacz granatów z karabinem /zalecany przez Guevarę do strzelania z balkonów, tarasów i po- dwojek w walkach ulicznych/, jak pobić policjanta, jak "pomalować gliniarza na żółto" sprayem do naboja w tychże księgarniach.

Chociaż młodzie je oblegali, to jednak gdy przy- szedł czas konfrontacji okazali się niewdzięczni... W maju 1968 r., kiedy uniwersytety włoskie były okupo- wane przez studentów, z masztów zwisały czerwone sztand- ary długości 30 stóp, a ściany oklejone były maciwetow- skimi Tatzebao, Feltrinelli wygłosił przemówienie na uniwersytecie rzymskim. Odpowiedzia były wrzaski i gwizdy, studenci zażądali zwrotu procentu, jaki zarobił na nich sprzedając im książki:

"Ej, Feltrinelli, zamiast gadać, daj nam milion lirów!"

"Hej, Feltrine! Rzuć ze dwa!"

"Lepiej trzy!"

"Choemy cztery!"

"Zarobiliśmy je! A ty? Daj dziesięć!"¹³ /

W pewnym sensie sam tego chciał. Dalej odstawił modnego wydawcę, ciesząc się z wrażenia, jakie wywiera na mieszczaństwie, i nie wzgardził pozowaniem dla "Vogue'u", gdzie prezentował najmodniejsze męskie futra /dwurzędowe palto w wojskowym stylu z perskich karkułów z odpowiednią rosyjską czapka/. "Nie jestem mediolańskim ~~commendatorem~~, nie potrzebuję do sukcesu wizgu motorówek." Nadal jednak trzymał dwa jachty i w ogóle pod każdym względem żył jak milioner: samochody na zamówienie, biuro w kolorze łóżki cynkowej z fotelami Mies van der Rohe, wspaniała willa nad jeziorem Garda z olśniewającymi ogrodami i ciągnącą się pół mili prywatną plażą, dom weekendowy w Piemontcie, a na czas sportów zimowych - leśniczówka w lasach karyńskich w Austrii.

A przecież daleko wyprzedzał rozjuszonych rzymskich kontestatorów, którzy go wygwizdali. W styczniu tamtego pamiętnego roku Feltrinelli opublikował broszurę pod tytułem: Italia 1968: polityczna wojna partyzancka.¹⁴ /Zastrzeżona do dyskusji w wybranych komórkach partyjnych oraz w małym, elitarnym rzymskim klubie lewicowych intelektualistów San Saba, była pierwszym europejskim apelem o utworzenie Armii Walki Komunistycznej. Włoskie Czerwone Brygady, niemiecka Frakcja Armii Czerwonej, hiszpańska ETA, tureckie i irańskie podziemie jeszcze przez parę lat nie doszłusowały do tego programu.

"Istnieje przemożna potrzeba - pisał Feltrinelli - nie tylko zorganizowania terroru, ale i intensywnej prowokacji, która by odsłoniła reakcyjną istotę państwa." Celem guerrilli jest "otwarte pogwałcenie prawa... podważanie i obrażanie wszelkimi środkami instytucji porządku publicznego. A gdy w r e z u l t a c i e /podkreślenie moje/ państwo wkroczy z policją i sądami, łatwo będzie zdemaskować jego bezlitosne i represyjne, dyktatorskie skłonności." Carlos Marighella, którego myśli nie zostały jeszcze wydrukowane, nie mógłby się jaśniej wyrazić.

Feltrinelli dał też nowy impuls "bojowym komunistom", zachęcając ich do współpracy z każdym, kto próbuje destabilizować państwo: z etnicznymi i religijnymi mniejszościami, a nawet z prawicowymi terrorystami. Oznaczało to akceptację ich metod, "atakowanie bez różnicy pasażerów pociągu itp." - nisselektywne sąbijanie niewinnych ofiar.

Proroctwo jakby samo się spełniło: rok później pr-
wici terroryści przeszli do akcji, podkładając bomb-
w bankach, na publicznych zgromadzeniach, we włoskich
ekspresowych pociągach Italicus. Tymczasem Feltrinelli
napisał dalszy ciąg swej pracy o tym, jak użyteczna mo-
że być przemoc, która wymusza "autorytarny zwrot na
prawo /.../ otwierający nową, bardziej zaawansowaną fa-
zę walki. Brutalna interwencja sił represyjnych /.../
położy kres pokutującej jeszcze idei, że można dokonać
rewolucji socjalistycznej bez sięgania po broń"¹⁵ /.
Prawicowy zamach stanu we Włoszech stał się jego "de-
liryczną obsesją" - napisał Guido Viola, sędzia prowa-
dzący śledztwo w sprawie śmierci Feltrinellego. "Ocze-
kiwał go, pragnął, wprost przyzywał, gdyż miał on nie-
uchronnie prowadzić do guerrilli"¹⁶ /.

Ale Feltrinelli przygotował coś więcej niż tylko
prawicowy zamach we Włoszech. Wkrótce po Konferencji
Trójkontynentalnej zaczął się obracać w dość specjal-
nych kołach międzynarodowych. W 1967 r. spotkał się w
Bejrucie z nieprzejeźdanym palestyńskim nacjonalistą
Georgem Habbashem i namówił go, by się "umiejędnowo-
dził"¹⁷ /: to za pieniądze Feltrinellego Habbash wystąpił
w 1968 r. swe pierwsze komando do Europy zachodniej,
rozpoczynając z hukiem erę międzynarodowego terroryzmu.
Feltrinelli dyskutował również o przyszłości z przywódcą
zachodnioniemieckiej studenckiej Nowej Lewicy, Ru-
dim Dutschke. "Feltrinelli przyzwał do mnie w 1967 r.
i powiedział, że jest gotów wesprzeć mnie finansowo"
- ujawnił Dutschke dwanaście lat później. "Mówiliśmy o
akcjach, jakie należy podjąć, o tym, jak je zorganiz-
zować, i poprosiliśmy go o konkretną pomoc w nawiąza-
niu pożytecznych, międzynarodowych kontaktów"¹⁸ /.

Zaczął też snuć plany z Horstem Mahlsrem, założy-
cielem zachodnioniemieckiej Frakcji Armii Czerwonej,
która wkrótce miała zacząć edukację w palestyńskich
obozach partyzanckich na Bliskim Wschodzie. Utrzymywał
Ulrike Meinhof i jej męża Klaus Rainera Röhl przez
kilka idyllicznych dni, jakie ta para spędziła w
Villadeati latem 1967 r. Tam, "w milionerskim pałacu
z kucharzami, eleganckimi szoferami i godną zaufania
służbą", pisał później Röhl, pili szampan i jedli
kawior, a Gianni dyskutował z Ulrike o rewizjonizmie
i rewolucji. To były pokrewne dusze - wspomina Röhl
- i Feltrinelli niewątpliwie dopomógł Ulrike do-
konać ostatecznego i fatalnego, terrorystycznego wy-
boru.¹⁹ /

Gdy tylko opuściła wraz z mężem Villadeati /wra-
cając do Hamburga Rolle-Roycem i prywatnym samolotem/
Feltrinelli ruszył na Kubę.²⁰ / Po upajającej, tygod-
niowej podróży po wyspie, z Castro jako prywatnym

przewodnikiem, poleciał do Boliwii. Startem depeszował do swego biura w Nowym Yorku, żeby przysłano mu "szalona sumę", jak mówi jego szwartzka żona Sibilla Melega, która się tam wówczas znajdowała.²¹ / Mógł potrzebować tych pieniędzy dla Che Guevary, zakopanego w boliwijskich Andach z garstką wyszkolonych i wyekwipowanych na Kubie partyzantów /50 Kubańczyków, 15 Boliwijskożyków, 15 innych Latynosów/. Ale nie jest pewne, czy pojechał do Boliwii, by pomóc Guevarze. Pikażejski styl wodza wielkiej guerrilli był ciężarem nie tylko dla Castro; jego antysowieckim grał Rosjanom na nerwach. /Faktycznie, Guevarę wydała policji słynna sowiecka agentka Tamara Bunke zwana "Tanią". Feltrinelli, który spędził właśnie tydzień na intensywnych rozmowach z Castro, musiał się w tym orientować.

Mógł pojechać po to, żeby odwiedzić najlepszego francuskiego przyjaciela Guevary, Régisa Debray, który siedział wówczas w boliwijskim więzieniu. Ale Sybilla Melega wątpi: chodziło zapewne o coś bardziej podejrzanego, skoro w czasie dwudniowej wizyty Feltrinelli sam wyładował w więzieniu i był przesłuchiwany przez szefa boliwijskiej bezpieki, Roberto Quintanilla.

To Quintanilla ujął i zastrzelił Che Guevarę w listopadzie tego samego roku. Sam zaś zginął cztery lata później, gdy był konsulem w Hamburgu, od kuli wystrzelonej z należącego do Feltrinelliego Colta Cobra Special.²² / Bronią posłużyła się niemiecka terrorystka Monika Hertl. Ale jak ujawnił później "Potrzeb Operacji", feltrinellowska podziemna grupa GAP wydała na Boliwijszczyka wyrok śmierci: agencji miał dopilnować sam Feltrinelli. Był to początek owocnej, terrorystycznej współpracy włosko-niemieckiej.²³ /

Choć Feltrinelli miał mnóstwo do powiedzenia na temat 48 godzin spędzonych w boliwijskim więzieniu - Moje więzienie brzmiał tytuł jego pamfletu - nie wytrzymał, jak się tam znalazł. Być może prawdziwe powody nigdy nie wyjdą na jaw. Ale okoliczności zdają się wskazywać, że siedział po uszy w rewolucyjnej konspiracji, kiedy rozpoczął się Rok Wielkiego Nie.

Nikt nie twierdzi, że Feltrinelli był mózgiem i spiritus movens nadszyczących wydarzeń roku 1968. "Mógł akurat nie miał" - odnotował niezycielwie historyk-wydawca Indro Montanelli, który go znał z młodości. Za to miał co innego. W każdym kraju dotkniętym buntowniczą falą owego roku była grupa młodych markistów, oczekujących niecierpliwie, by od ulotnej rebelii przejść do zbrojnej rewolucji. Ale nie mieli broni, ani pieniędzy, ani praktycznego przygotowania, co Feltrinelli miał i mógł dostarczyć.

Był gotów. W styczniu 1968 r. znów pojechał na Kubę, na zorganizowany przez Castro Międzynarodowy

Kongres Kultury. Ze swego luksusowego apartamentu w hotelu Habana przybył na obrady przed delegatami, by wygłosić mowę w niezrozumiałej hiszpańszczyźnie. "Ja zrozumiałem - pisał mediolański wydawca Enrico Filippini - chociaż zaszyfrował Kubańczykom, że skończył z rolą wydawcy i widzi samego siebie jako antyimperialistycznego bojownika".^{24/}

Dwa miesiące później w Niemczech Zachodnich zaproponował Rudiemu Dutschke wysiedzenie w powietrze stojącego w Hamburgu amerykańskiego okrętu, dowożącego posiłki dla Wietnamu. Przytargał na ten cel skrzynię materiałów wybuchowych. Dutschke odmówił, twierdząc, że "nigdy nie użyje przemocy wobec ludzi, lecz tylko wobec rzeczy".^{25/}

1 maja w Berlinie, w towarzystwie Ulrike Meinhof i Horsta Mahlera, wygłosił płomienną pochwałę zbrojnej przemocy. Minął zaledwie miesiąc od kiedy postrzelono Rudiemu Dutschke, a Andreas Baader podpalił dom towarowy we Frankfurcie. Orazę Feltrinelli przyjęto owaacyjnie. Z Berlina Zachodniego pojechał do Paryża, żeby przyłączyć się do studentów obrzucających zza barykady kamieniami V Republikę. Bezwzględnie wydłono go z Francji. Parę tygodni później to samo spotkało 115 obcokrajowców oskarżonych o infiltrację studenckich szeregów w czasie paryskiego Maja. Trzech kubańskich dyplomatów tak się w tej sprawie umoczyło, że Hawana ozym przedzej ich odwołała. Ten kłopotliwy epizod nie przeszkodził jednak Castro zaprosić na ku so-konferencje latem tego roku dwóch tysięcy francuskich studentów oraz sześciu tysięcy innych z całej Europy Zachodniej.^{26/}

Wydalając go, Francuzi ostrzegli rodzinę Giangiego, że sprawia on kłopoty: rekrutował młodych Francuzów i Włochów do partyzanckich obozów szkoleniowych Habbasha na Bliskim Wschodzie. Najwyraźniej był w bliskich stosunkach z człowiekiem, który niebawem miał się stać najbardziej nieustraszoną wodzą Palestyńskiego Frontu Odmowy. Pod koniec 1968 r. posunął się naprawę daleko, by tę przyjaźń scementować. Pożyczył milion dolarów od włoskiego finansisty Giuseppe Pasquale, jakoby na produkcję jakichś filmów, a w rzeczywistości na zakup statku pełnego broni dla Habbasha w Bejrucie. Kiedy Izraelczycy przechwycili statek i zajęli ładunek, Feltrinelli powiedział Pasquale, że nie może /lub nie chce/ oddać długu; Pasquale zbankrutował.^{27/}

W tym samym roku otworzył w banku szwajcarskim szynne konto nr 15385, na hasło "Robinson Crusoe".^{28/} Dochodzenie ujawniło później, że konto służyło głównie finansowaniu "centrali" w Zürichu, koordynującej usługi dla Latynosów, Palestyńczyków, Niemców, Hiszpanów, Francuzów, Greków i Włochów. Parę oszków dostał niemiecki terrorysta, który ułożył komando GAP radiokumuni-

kacji. Znaczno sumy szły na niemiecki Ruch 2 Czerwca, działający u boku bandy Baader-Meinhof. Ludzie z 2 Czerwca wysłali beztronskiego Michaela Baumanna, zwanego Bonni-Bombardier, do Mediolanu; gdy tylko wszedł do biura w kolorze żółci cynkowej, Feltrinelli wyjął książeczkę czekową i spytał: "Ile?" 28/

Duże pieniądze wysłano do Francji w celu zbudowania siatki na kontynencie. Jean-Edern Hallier, francuski lewak i również milioner, mówił mi o upartych wysiłkach Feltrinelliego sfinansowania takiej siatki "tuż po Konferencji Trójkontynentalnej". Hallier powiedział, że na początku 1970 r. gościł u siebie przez trzy dni Feltrinelliego, Baadera, Curzio /formującego właśnie Czerwone Brygady/ i liderów francuskiej Gauche Proletarienne /Lewicy proletariackiej/, którzy spotkali się, by "organizować europejski terror".

Feltrinelli miał również szereg - z reguły kosztownych - pomysłów ściśle włoskich. Pomijając utrzymywanie paru ugrupowań trockistowskich i marksistowsko-leninowskich, wspierał szereg wońno zadłużonych publikacji lewicowych oraz "Potere Operaio" - nie mieli grosza, za to przez następnych dziesięć lat byli niewyczerpanym źródłem terrorystycznej rekrutacji.

W lecie 1968 r. usiłował też wzniecić separatystyczne powstanie na Sardynii. Natchnął tym pomysłem osławionego Graziano Mesina, wielokrotnego mordercę i kidnapera, oferując mu sto milionów lirów /wówczas 200 000 dolarów/ w zamian za kierowanie Sardyńską Armią Rewolucyjną na tej nękaną przez wędź i bandytów wyspie. Spotkanie było malownicze. Feltrinelli zjawił się otoczony świtą, ubrany w tweedy, rozdawał hojne datki napotkanym chłopkom. Mesina przybył incognito, po czym całe towarzystwo udało się na polowanie a capriole, sardyńskiego koczła górskiego. Mesina nie chciał jednak rezygnować ze swego kwitnącego interesu na rzecz hipotetycznej Kuby na Morzu Śródziemnym. Feltrinelli wrócił na ląd rozczarowany. 30/

Prasa wykpiła sardyńską eskapadę, ale to duch Feltrinelliego śmiał się ostatni. Jedenaście lat po tej ekpedycji na wyspę tajna banda sardyńskich separatystów gościła 21-osobową delegację cudzoziemskich zbrojnych partii podziemnych - tak w każdym razie twierdzi rzekomo obecny tam Ruairi O'Bradaigh, prezes związanej z IRA, "Tymczasowej" Sinn Fein. 31/

Tymczasem wydawca-milioner pracował z kilkoma anarchistycznymi dynamitardami, zowiącymi się Indywidualiści. Jednocześnie usiłował przekonać na wpół legalne "Potere Operaio" żeby uzbroiło się i zeszło do podziemia. "Niechaj spadną głowy! Jeśli idzie o ryzyko, nikt nas nie przebije!" - pisał do ideologicznego guru grupy, Antonio Negri. 32/ Ktoś obecny na spotkaniu Feltrinelliego z przywódcami Potopu - dziś są to wszyscy odsia-

dającą karę śluzę - powiedział mi, że Feltrinelli zaproponował, żeby pieniądze na aparat podziemny wziąć z konta "Robinsona Cruzoe", broń sprowadzić ze Szwajcarii i - jeśli zajdzie potrzeba - zapewnić sobie schronienie w Czechosłowacji. Było to w 1969, rok po wkroczeniu sowieckich wojsk do Pragi.

Latem Feltrinelli opędził miesiąc na Kubie. 33/ Jego żona Sibilla mówi, że ona "wyjechała na jeden z pracujących w polu obozów młodzieżowych, on zaś ruszył własną trasą, spotykając się z przywódcami kubańskimi". "Parę miesięcy później na dobre zaszedł do podziemia.

Nikt go do tego nie zwieształ. Sędzia przesłuchiwał go w sprawie fałszywego alibi, jakie dał anarchistycznym zamachowcom, ale jego samego nie ścigano. Niemniej 2 grudnia 1969 r. opuścił Mediolan, by nigdy tam nie wrócić jako Giangiacomo Feltrinelli.

Wpadał tam wiele razy jako "Jacques Matras", "Jacques Fisher", "Andreas Pisani", "Giancarlo Scotti", "Bincenzo Maggioni"; zapewne te dwa ostatnie, nielegalne lata jego życia wydawały mu się najlepsze. W tym krótkim czasie założył GAP /1970/, wyposażył dla niego z górną dwadzieścia kryjówek, zebrał cały arsenał broni, i zorganizował paramilitarne obozy w Piemontie, stworzył serię pirackich programów radiowych i patrolował lasydziesiąt podpalenion i zamachom bombowym w fabrykach i koszarach.

W 1971 roku młodego Szwajcara nazwiskiem Bruno Breguet, który wysadził w powietrze izraelski port w Haifie /złapano na gorącym uczynku, Breguet siedzi wciąż w tamtejszym więzieniu/. 34/ Pociął dziewczynę z Mediolanu i wypryjożyła, ały podłożyli bombę pod ambasadę USA w Genewie /porzuciliwali się jednym z jego wadliwych zapalników i smaż wysadziła się w powietrze/. 35/

W październiku 1971 r. zdołał nawet zorganizować w głębokiej konspiracji jedną z pierwszych międzynarodowych konferencji terrorystycznych; w kolegium jezuitów we Florencji. Uczestniczyło w niej 16 podziemnych ugrupowań od IRA i ETA po argentyńskie, trockistowskie EPL, i Palestyńczyków. 36/

Bez przesady podróżował. W grudniu poleciał z Mediolanu do Kajru i dalej, do partyzanckiego obozu treningowego w Jordani. Potem z powrotem do Mediolanu, gdzie Czarni terrorysty dokonali zamachu bombowego w Banku Rolnym, pozostawiając 17 ofiar. Na święta Bożego Narodzenia Reuter doniósł o jego obecności w Czechosłowacji, a wkrótce potem w Korei Północnej, gdzie Rosjanie mieli w tym czasie swoje największe obozy szkoleniowe dla cudzoziemców. Potem ślad się utracił.

Parokrotnie wyprzedził się na powierzechnię w Czechosłowacji. /Po jego śmierci policja znalazła w jego fałszywym paszporcie 22 przestemplowane wizy czechosłowackie/. 37/ 30 maja 1971 r. przyjechał do Pragi

z włoskim uciekinierem Augusto Vielem, który przez następnych pięć miesięcy mieszkał wraz z "innymi towarzyszami" w willi Feltrinelli. ³⁰/ Ponieważ Viel był poszukiwany w związku z zabójstwem dokonany przy "ekspropriacji" banku w Genui, czeska służba bezpieczeństwa i KGB musiały wiedzieć o jego obecności w Pradze. W październiku Feltrinelli znów przyjechał do Pragi i zabrał Viena z powrotem do Mediolanu, gdzie wpisał go na listę płatnej kadry GAP.

Stale też krążył wokół centrali w Zürichu, zatrzymując się w rozmaitych podrzędnych hotelach. Był częstym gościem w Lichtensteinie, największym rynku bronią na kontynencie. Spędził parę miesięcy w Paryżu, ucząc się u wybitnego specjalisty fałszowania dokumentów. Pojechał do Chile, znów wielokrotnie na Kubę, a w 1971 r. z Kuby do Urugwaju, gdzie Tupamaros - dobijający właśnie demokratyczną republikę - przyjęli go gorąco, dali szczodre rady i zapewne wyposażyli w ostatnią wojskową garderobę.

Pod koniec zachowywał się dziwnie. Przyjaciel, który spotkał go w ekspresie Mediolan-Rzym, mówi, że bez przerwy wyglądał nerwowo z przedziału na korytarz. Ktoś inny, u kogo Feltrinelli miał przenoćować, opowiada, że wolał rozbić namiot w ogrodzie. Nie mył się całymi tygodniami, chciał by mu stwardniały ręce i chciał wyglądać jak robotnik. Zawsze miał przy sobie broń i pokazywał ją. Nosił mundur Tupamaros. "Jeżeli przez chwilę nie będziecie o mnie słyszeć, a potem wy-czytacie w gazetach, że znaleziono pod mostem nagiego i okaleczonego trupa, to tym trupem będę ja" - powiedział koleźce z wydawniczej branży. Nic dziwnego, że ludzie myśleli, że całkiem mu odbiło.

Kimkolwiek jednak był Feltrinelli - osobnikiem nerwowo niezrównoważonym, seksualnie niezapokojonym, próżnym, szalonym, władcym, egzaltowanym, sfrustrowanym, grubiańskim, czułym na pochlebstwa, oddającym się irracjonalnym marzeniom i absurdalnym ambicjom - to przecież kształtował historię tego dziesięciolecia.

Dzięki terrorystycznemu atakowi na Europę Zachodnią nie nastąpił dopóty, dopóki nie zaistniały po temu warunki. Główni aktorzy musieli się spotkać, zdobyć podstawowe przygotowanie i broń; nauczyć się kompletowania danych wywiadowczych, zebrać kupę pieniędzy i zapewnić sobie bezpieczne schronienie. Feltrinelli mógł im to wszystko załatwić. Wkroczenie Palestyńczyków na scenę europejskiego teatru operacji było im nieodzowne, i tu pomoc Feltrinelli okazała się bezcenna. Kubańscy ze swym bogatym rewolucyjnym doświadczeniem, oraz kontrolowane przez pułkownika Koczergina partyzanckie obozy treningowe mogły dostarczyć nieocenionego wsparcia i mało kto przekazywał ich posłanie lepiej niż Feltrinelli.

Brak dowodów na to, że Castro kiedykolwiek obarczył wprost Feltrinellię jakimś obowiązkiem czy delikatną polityczną misją. Mamy tylko zdumiewające świadectwo samego Feltrinellię co do tego, jak się rzeczy między nimi miały: "Pewnego miłego wieczoru przy kominu w Hawanie Fidel mówił o nowym dekrete w sprawie reedukacji i likwidacji homoseksualistów, prostytutek i alfonsów" - pisze Klaus Rainer Röhl, wspominając spotkanie Feltrinellię w Villadeati. "Feltrinelli w przypływie odwagi powiedział: »Fidel, nie aprobuję tego« i przytoczył swoje racje. Wszyscy byli zaszokowani, bo Fidel odwykł już od tego, żeby mu się sprzeciwiano. Ale Castro odpowiedział: »Może masz słusność« i kubańscy artyści-homoseksualiści zostali zrehabilitowani" 39/

Castro zapewne przedstawiłby inną wersję tego wydarzenia, jeśli założyć, że w ogóle by o nim wspomniał. Niemniej jest oczywiste, że miał bliskie i częste kontakty z tym z wielu względów niegodnym uwagi człowiekiem, którego bogactwo i szkodzenie, w danym miejscu i czasie, mogły zdziałać cuda i przełożyć zasady Konferencji Trójkontynentalnej w Hawanie na język praktyki w Europie.

Siedem lat po śmierci Feltrinelli otrzymał należny mu hołd. Włoskie Czerwone Brygady, za jego życia mała i ubożachna organizacja, mnóstwo zawdzięczały swemu pryncypałowi-milionerowi. Kiedy zginął, przejęły jego arsenał broni, większość jego aktywnych współpracowników, całą zawartość szwajcarskiego sejfów oraz manę w postaci twardej waluty. 40/ Wiosną 1979 r. podziękowały mu.

Trzydziestu włoskich terrorystów stanęło przed sądem w tzw. sprawie Feltrinellię, dotyczącej jego bliźnich współników. Większość siedziała już w więzieniu z tytułu innych przestępstw, a na ławie oskarżonych znalazł się słuty z założycielem Czerwonych Brygad, Renato Curzio, protegowany Feltrinellię, morderca Augusto Viel. Rozprawa zaczęła się od rytmicznego ostrzeżenia pod adresem sądu: "Zabijemy was jak psy! Nie wyjdziecie stąd żywi!" - krzyczał Curzio. Po czym Augusto Viel wstał i odczytał w imieniu Czerwonych Brygad spóźnioną pochwałę zmarłego towarzysza.

Choć przez cały czas twierdzili, że Feltrinelli został zamordowany przez imperialistyczną reakcję, teraz to wycofali. "Osvaldo nie był ofiarą, lecz rewolucjonistą, który padł w boju." Zginął z powodu banalnej "technicznej pomyłki" - winę ponosił wadliwy zapalnik. "Niezrównany, autentyczny rewolucjonista pośród wielu oportunistów" był pełną chwały figurą w Komunistycznej Partii Walki, a jego najwyższą zasługą było rozwinięcie

kontynentalnej strategii, o długotrwałym i decydującym znaczeniu".⁴¹⁾

Było to przyzwoite ze strony Czerwonych Brygad, że oczyściły imię tak wielu szwarczarakterów w tej sztuce, od CIA i NATO, po całą włoską klasę rządzącą. Ale prawda o śmierci Feltrinelliego była już znana od jakiegoś czasu. Nagrana była na taśmie znalezionej w 1974 r. w korytarzu Czerwonych Brygad w Robbiano de Mediglia pod Mediolanem.⁴²⁾

Historię opowiedzieli dwaj niezidentyfikowani Włosi, którzy towarzyszyli Feltrinelliemu w Segrate. Spotkali się z nim przed kinem Fox w Mediolanie i razem pojechali na miejsce jego Volkswagenem Camper:

Tej nocy "Osvaldo" był bardzo napięty i nerwowy, dwa razy omal nie spowodował wypadku. Zawsze był złym kierowcą, toteż jego niezręczność wówczas nie jest zaskoczeniem...

Najwyraźniej jedzie na wielką akcję, sam, z dwoma niedoświadczonymi dzieciakami; towarzysze, którzy mogliby mu pomóc, są akurat zajęci gdzie indziej /podkładaą Dynamon na drugim końcu miasta/.

Ich wzajemne stosunki są dziwne. "Osvaldo" robi wszystko, by dowieść, że jest bardziej proletariuszem niż oni. Obaj chłopcy są zafascynowani tą postacią, człowiekiem, którego nazwisko jest na ustach wszystkich, ale udają, że nie wiedzą, kim jest... Dojeżdżają na miejsce i parkują wóz 500 jardów dalej. "Osvaldo" ma na sobie eleganckie palto. Wchodzi od tyłu do samochodu, a kiedy wraca, tamci patrzą nań w osłupieniu. Ma na sobie mundur w wojskowym stylu, jak żołnierz Castro. Mnostwo wielkich kieszeni na spodniach i kurtee. Dziwnie to wygląda, ale na charakter - mówią.

Wyciągają rzeczy z wozu. Jest noc, mży deszcz, widzą w oddali światła, ale nie wiedzą, gdzie są. Trudno im przytaszczyć ładunek pod sklep, buty grzezną w błocie... Zaczynają widać laski dynamitu w paczki po osiem sztuk i przymocowywać je do nogi sklepa... Drut elektryczny luźno zwiera, "Osvaldo" widzi, że jest za krótki... Jest wściekły, klnie, postanawia zrobić dwie eksplozje naraz, coś naprawdę dużego... Wraca do samochodu i przynosi dodatkowe materiały...

Postanawiają umocować je wyżej. "Osvaldo" wdrapuje się na sklep. Ciężko mu idzie. Siada na żelaznej belce, ze zwisającymi nogami, 10-12 stóp nad głowami chłopców, którzy podają mu ładunki... "Osvaldo" przymocowuje je wokół nogi sklepa i podtrzymując się prawą ręką próbuje podłączyć zapalnik. Zapalnik nie działa, jest wedliwie zlutowany.

"Osvaldo" klinie, rzuca go na ziemię, każe sobie po-
dać drugi. Próbuje związać laski dynamitu trzymając
je między kolanami. Niswygodnie mu, chce zmienić
pozycję, klinie, bo się uderzył... Przekłada dynamit,
który znajduje się teraz pod jego nogą, tak, lewą
nogą, i w tej pozycji próbuje nastawić zapalnik, po-
łączyć druty z bombą... W tym momencie jeden z chłop-
ców, który wspinał się na skup, słyszy straszną
eksplozję. Wstrząsa nim, ozuje straszny ból w uchu,
pada na ziemię... Rozgląda się, widzi rzeźącego
"Osvaldo"... Łądzi, że tamten stracił obie nogi...
Drugi chłopak ozuje straszny ból w udzie, jakby go
ktoś dźgnął rozżarzonym pogrzebaczem, spada. Ten,
który upadł pierwszy, podchodzi do niego i mówi :
"Osvaldo, Osvaldo zginął..."

Sprawa nóg... Jeden mówi: "stracił obie nogi",
potem przypominają sobie, że prawa leżała pod ciałem,
ale lewej nie było, oderwało ją. Nie rozumieją, jak
to się stało; są przerażeni; uciekają z krzykiem...
10-15 jardów, wracają do "Osvaldo". Ten rzeźi, rzeź
jeszcze nabiera powietrza, po czym nie słyszą już
nic... Wszystko trwało 40 minut...

Tu kończy się taśma.

Sędzia Guido Viola, prezentując pełny tekst znale-
zionej taśmy, wywnioskował, że Feltrinelli sam się zg'a-
dlił próbując urwać się urządzenie wybuchowe "niedo-
władzoną ręką". Całą scenę można było oglądać ze stoją-
cego w pobliżu magazynu należącego do Spółki Wydawniczej
Feltrinelli. Połowa Mediolanu należała do Feltrinellogo.
marł na własnej ziemi.

Przypisy

- 1 "L'Espresso" /Rzym/ z 9 kwietnia 1972 r.
- 2 "Potere Operaio" z 26 marca 1972 r., specjalne wydanie poświęcone śmierci Feltrinelliego.
- 3 Ibidem.
- 4 "Encounter", lipiec 1972
- 5 "Potere Operaio", jw.
- 6 "Il Borghese" z 23 kwietnia 1978 r. opublikował fotokopię telegramu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nadanego przez radio do wszystkich posterunków policji oraz przejść granicznych, opatrzonego numerem 41199, z 18 października 1950 r. Telegram był sygnowany przez Ufficio Affari Riservati, ówczesny urząd bezpieczeństwa publicznego.
- 7 "Criticon", wrzesień-październik 1977 r., s. 243-246. Dom Feltrinelliego opisał Augusto Viel, którego Feltrinelli przywiózł do Pragi w maju 1971 i który spędził w willi pięć miesięcy. Viel, przebywający ówczasie w więzieniu jako członek Czerwonych Brygad, potwierdził przed sądem, że również inni uciekinierzy z Włoch gościli w praskiej willi. Towarzysząc Vielowi do Czechosłowacji Feltrinelli używał fałszywego paszportu nr 58624437.
- 8 Obezważniejsza relacja Sejny została opublikowana w "Il Giorno" s. Nr. ... /Mediolan/ z 18 września 1980 r.
- 9 Przekonanie Secchia, że został otruty, zamieszczono zostało w nocie redakcyjnej na okładce jego książki La Resistenza Accusa: "Pietro Secchia umarł 7 lipca 1973, w kutek zatrucia, na jakie cierpiał po powrocie z Chile w poprzednim roku."
- 10 Mowa oskarżycielska sędziego Guido Viola ogłoszona w całości w La Criminalizzazione della Lotta di Classe, s. 125-126. Sędzia Vila wymienił Giorgio Semerę i Brunę Anselmi z Czerwonych Brygad. Dokumenty, jakie przywieźli ze Szwajcarii zostały znalezione przez policję w kryjówce Czerwonych Brygad przy Via Delfino w Mediolanie. Wkrótce po śmierci Feltrinelliego Semeria został aresztowany wraz z innymi przywódcami. Bruna Anselmi zniknęła.

- 11 General Vito Miceli, dyrektor SID w 1972 r.;
oświadczył to w Izbie Deputowanych, 19 maja 1978 r.
- 12 R. Cantore, C. Rosella, Ch. Valentini: Dall'interne della Guerriglia, s. 52. Feltrinelli zaproponował kontrakt w 1965 r.; Castro ostatecznie odrzucił w 1967.
- 13 Feltrinelli, il Guerrigliero Impotente, s. 81.
- 14 Ibidem, s. 69.
- 15 Socjalistyczny dziennikarz Giorgio Bocca cytuje zdarzenie w Il Terrorismo Italiano 1970-1980, s. 29.
- 16 Viola, w La Criminalizzazione, s. 134.
- 17 Possony i Bouchev, International Terrorism, s. 143.
- 18 Dutschke do Valerio Riva, ongiś współpracownika w wydawnictwie Feltrinelli'ego. "L'Europeo" z 10 stycznia 1980 r.
- 19 Klaus Rainer Röhl: Fünf Finger sind keine Faust, s. 282-294.
- 20 "Potere Operaio" z 26 marca 1972 r.
- 21 Interview, "La Repubblica" /Rzym/ z 8 kwietnia 1979 r.
- 22 Colt Cobra został zakupiony osobiście przez Feltrinelli'ego w Mediolanie /Viola, La Criminalizzazione, s. 66/.
- 23 "Potere Operaio" z 26 marca 1972 r.
- 24 "La Repubblica" z 8 kwietnia 1979 r.
- 25 Wywiad z Riva, "L'Europeo" z 10 stycznia 1980 r.
- 26 Suzanne Labin, La Violence Politique, s. 130.
- 27 Historia Pasquale została opowiedziana po jego śmierci w "Il Giornale Nuovo" z 17 lutego 1978 r.
- 28 Viola, La Criminalizzazione, s. 76-85.
- 29 Wizyty Baumanna u Feltrinelli'ego opisane są przez Jillian Becker w Hitler's Children, s. 294.

30 Feltrinellowskie safari na Sardynii było opisane w "Corriere della Sera" z 4 kwietnia 1972 r. oraz w "Repubblica" z 13 lutego 1979 r. Wskutek kampanii Feltrinelli, by "upolitycznić" i aradykalizować Meining, sardyński bandyta przedstawiany był jako "Pancho Villa" przez włoskojęzyczne audycje rozgłośni Hawana i Radio Tirana.

31 Interview, "Il Giornale Nuovo" z 9 lutego 1979 r.

32 List ten, podpisany "Giangi", smoleziono w papierach Dr Negri po jego aresztowaniu w kwietniu 1979. Por. Processo all'Arbougnis, napisana przez obrońców Negriego, s. 173.

33 Sibilla Melega; interview; "La Repubblica" z 9 lutego 1979 r.

34 Breguet, który wyleciał do Haify z Ticino w Szwajcarii, został aresztowany w Izraelu w czerwcu 1970.

35 Dziewczyne, Marię Angeloni, wymienił sędzia Viola w Il Criminalizzazione, s. 66. Wraz ze swym towarzyszem, greckim Cypryjczykiem George Tsecuris, wysiedzili się w powietrze w parkującym przed ambasadą Volkswagena, 9 stycznia 1970 r.

36 O konferencji florenckiej doniosły wiele lat później gazety włoskie - "La Stampa" /Turyn/ i "Corriere della Sera" z 29 grudnia 1979 r.

37 Richard Burt pisak o tym w "The New York Times" z 28 kwietnia 1978 r.

38 Zeznanie Viola na procesie Czerwonych Brygad.

39 Röhl; Pömf Finger.

40 Viola, Il Criminalizzazione, s. 126.

41 "Il Giornale Nuovo" z 1 kwietnia 1979 r.

42 Pełny tekst taśmy w Viola, Il Criminalizzazione, s. 140-148. Nagrana została przez Antonio Bellavita, który wydawał organ Czerwonych Brygad "Contro-Informazione". Bellavita mieszka obecnie w Paryżu, gdyż sąd francuski odrzucił prośbę Włochów o jego ekstradycję.

CZY NA PEWNO ANACHRONIZM?

/O POSTAWIE PATERNALISTYCZNEJ/

Motto:

A po naszymu, po staropolsku: nasz panie-bracie sąsiedzie! Wielki honor wyświadczyliście niegdyś nam Sarmatom, wy dzieci skąwnego Izraela, że ze wszystkich krajów wybraliście sobie Polskę. I za to my tego króla, który was grzecznie zaprosił /.../ nazwaliśmy Wielkim. To było przedwczoraj, niedawno. Stąd stworzyliśmy miłą przyjaźń z Żydami. Bez nas Rzymian i bez was Żydów ten kraj byłby zbyt smutny /.../ Chcieliśmy was pocieszyć i przeprosić za cesarów rzymskich albowiem wetydziłiśmy się ich okrucieństwa czyli szalonej głupoty. Tak jak sercem przebitym współczujemy zawsze krwi waszej. Niegdyś i obecnie /.../ Tutaj na miejscu jednocześnie narody z nadzieją na przyszłość opieraliśmy się barbarzyńcom brodatym i zębatym.

St. Vincenz: Na wysokiej połoninie

Ostatnie lata zwróciły nas ku rodzimej historii. Ożywa pamięć historyczna, odcytujemy na nowo tradycję. Analizujemy źródła zwycięstw i klęsk. Uważnie badamy naszą tożsamość. Jacy jesteśmy dziś, jacy byliśmy? Co trwa, co się zmienia, co odchodzi w przeszłość? Jakie cechy powinniśmy zwalczać w sobie, nad jakimi pracować, a co starać się uchronić?

Zajmę się tylko jednym rysem naszej możliwej samoświadomości, postawą, wobec której mają zastosowanie wszystkie wyliczone wyżej pytania. Bódcem dla mojej refleksji stała się książka wydana przez "Znak" w 1981 roku 1/, a także apel o badanie naszych zapoznanych korzeni, jakim był monograficzny zeszyt "Więzi" poświęcony kulturze żydowskiej 2/. Poniższe rozważania nie są recenzją. Usilnie podkreślam: przywoływana książka interesuje mnie w y ł a c z -

n i e jako źródło autentycznego materiału językowego; umożliwiające rekonstrukcję postawy, której zgrab postaram się tu zarysować. Celem moim nie jest więc w żadnym sensie ocena osoby autora, ale rekonstrukcja i opie postawy - postawy właśnie, a nie konkretnego człowieka, który ją zajmuje; choć dla jej przedstawienia posłużę się jego słowami. Autor zapisuje czas miniony z najlepszą wolą, tak wiernie i uczciwie jak tylko potrafi, będąc ukształtowany przez swą epokę i najbliższe sobie środowisko społeczne. Postawa generaina, którą reprezentuje, choćby przez sam fakt wydania prywatnych zapisków w formie książki, przestaje być osobistą własnością autora i staje się własnością publiczną. Daje więc prawo do refleksji innym, także tym, którzy urodzili się później i w innych warunkach społeczno-historycznych. Tak jak autor ma prawo do swej postawy, tak my mamy prawo do przyjrzenia się jej z bliska okiem możliwie sprawiedliwego i bestronnego obserwatora.

Książkę swą - zbiór zapamiętanych opowieści, zapisanych rozmów i sytuacji codziennych; których bohaterami są przedstawiciele ludności żydowskiej Polski przedwojennej, autor dedykuje: "Zgarłemu nagle światu Żydów polskich". Taka dedykacja zobowiązuje.

W jaki zatem sposób ocala się Zgasły Świat od zapomnienia? Autor od wielu lat interesuje się Żydami polskimi; stopień swego zainteresowania określając wręcz jako "semitomanie". Rzecz została napisana w intencji przybliżenia Zgasłego Świata i "choćby ułamkowego wypełnienia pozostajej po nim pustki", a także ma być przyczynkiem "do poznania sposobu myślenia i kręgu zainteresowań Żydów polskich". Książka jest jednakowoż, moim zdaniem, co najmniej w tym samym stopniu zapisem mentalności - dokumentem postaw, paternalistycznej, którą chce tu przedstawić. Autor zaadresował ją m.in. do młodego pokolenia Polaków, które świata polskich Żydów przecież nie zna.

Na materiał książki składają się sytuacje i rozmowy codzienne, zapisane w formie osobistych wypowiedzi autora, a także wypowiedzi jedynie przezeń relacjonowane: sądy bliskich autora, opinie miejscowe lub opinie Żydów samych o sobie. Relacjonować można dwójako: bez komentarzy własnych, oraz ustosunkowując się jakoś do wypowiedzi relacjonowanych. Na ogół autor relacji nie komentuje, kierując się zapewne troską o integralność i autentyzm anegdoty, a także swoistą elegancją; pragnie, by estetyczna warstwa opowieści utrzymana została stale w tej samej, zwartej konwencji "slicznych" i "miłych", "dobrych" wspomnień /w tym jednym wypadku cudzysłów nie oznacza dosłownych cyta-

tów; lecz mój dystans wobec obranej konwencji autorskiej/. Brak komentarzy pozwala jednak odbiorcy sądzić, iż dokonuje się w ten sposób powielenia wypowiedzianych przez innych opinii, bez względu na ich zasadność. Być może zatem, roli komentatora winien się być podjąć wydawca. Rzecz przekazywana jest bowiem czytelnikowi współczesnemu, którego ma prawo zacić naturalny dla czasu przeszłego język.

Pierwsze przybliżenie bohaterów: egzotyka

Oto pierwsze sygnały postawy paternalistycznej. Bohater nie jest dla nosiciela postawy przedmiotem autonomicznego opisu, już bowiem w fazie wstępnej prezentacji dokonuje się relatywizacji opisywanych postaci do odczuc, wrażeń i przekonań opisywającego. Popatrzmy - Żyd to: "powinowaty", "członek rodziny", "ktoś bliiski", ale: "taki chodzący własnymi drogami dziwak; mamroczący niezrozumiale pod garbatym nosem", "ktoś może czasami irytujący, ktoś może trochę nieznośny"; ktoś, kto: "drażnił nas; irytował swoją odrębnością, swoim zachowaniem i swoim strojem". Ustalono w ten sposób stopień pokrewieństwa wobec rodziny własnej - "powinowaty", a nie, na przykład brat. Arbitralnie, z góry Dłaczego daleki - poprzez "własne drogi" lub inność; Dłaczego właśnie "dziwak" - bo różny od nas? Których, wszystkich? Dłaczego właśnie "irytujący" lub "nieznośny"? Inne inność nie zawsze drażni. Z bogactwa możliwych cech, dzięki którym można przedstawić człowieka /z założenia w ogóle nie znającego/, i możliwych nań reakcji, nosiciel postawy wybrał bardzo niewiele. Dłaczego próbuje się - wbrew deklarowanej intencji zбору - bogaty świat ludzki ująć w jedną formułkę? Taką formułkę - nawet równie dobrotliwą w intencji - odniesioną do Polaków uznalibyśmy zapewne za obraźliwą. Dłaczego w formułce tej - ponadto - wskazuje się na nieprzyjemne emocje, które bohater rzekomo wzbudzał? Dłaczego mają się one stać cechami definiującymi bohatera? Formułka ta nic nie mówi o tym, kim bohater był. Mówi tylko o tym, jak część Polaków /w tym zapewne nie autor, który przecież chce przekonać odbiorcę o zaletach bohatera/, reagowała na bohatera. I dalej: "Mówiono niekiedy, że ten powinowaty wpływał ujemnie na nasze życie, że je w jakiś sposób odkształcał. A jeśli by nawet!" Zauważmy, jakiego kolejnego wyboru tu dokonano. Dłaczego takiego? Czy nikt nigdy w naszym kraju nie mówił o dodatnim wpływie Żydów? Brak mi tu zdecydowanego zaprzeczenia stereotypu negatywnego. Co więcej, wykrzyknik wręcz wzmacnia wymowę zdania, zawierające-

go stereotyp, i jakby podkreśla jego prawdziwość. Naciszciciel postawy przyzwala niejako na pogląd, jakoby polskie życie było przez Żydów "odkształcane". Zawarta jest tu ponadto sugestia, iż wiadomo niewątpliwie, jaki powinien być wzór - "nieodkształcony" - polskiego życia, a może nawet, jaki powinien być właściwy wzór wspólnego życia na wspólnej ziemi. Bardzo to niebezpieczne stanowisko, w którym zakłada się wyłączność racji lub prawdy. Rozumiem, że w taki swoisty, jakże niezręczny niestety sposób, chce się bronić Żydów przed pomówieniem. Osobiście wolalabym nie być tak broniona, gdyż ochronę powtarza pomówienie i przez to przyczynia się do jego potencjalnego powielania. Dokładnie taką strukturę mają niemal wszystkie zawarte w książce wypowiedzi /autorskie lub relacjonowane/, w których stereotypy negatywne dotyczące Żydów są przywoływane. Jeszcze do sprawy wróć.

Podsumowując świadomie wyostreszam stanowisko własne: po cóż ocalać od zapomnienia kogoś, kto nas głównie "drażnił" lub "irytował" /chceły tylko "czasami"/, a co więcej, rzekomo "odkształcał" polskie życie? Nawet jeśli miał - obok wad - także n. znane zalety.

Miejsce przyznawane bohaterowi we wspólnocie historyczno-państwowej, relacja my-oni od.

Cytat: "Żydzi to integralna część historii Polski. Przecież ten, który był z ojczyzny naszej wchodził b a d ż o o b a d é w skład wielkiej rodziny polskiej /.../ drażnił nas, ale byliśmy do niego s w o i é c i e przywiązani. Przecież w rodzinie /.../ zwłaszcza w starym dworku." Odszedł "j e d n a k ktoś bliski". Zatem znów dystans. Dystans nie ustalany przez jedną stronę: oschłą uważającą się za właściwego gospodarza wspólnej od wieków przestrzeni fizycznej. Co do spraw gospodarza - w pewnym stopniu zgoda. Ale można być gospodarzem na różne sposoby. Czy Żyd to mniej lub bardziej akceptowany gość, przelotny przechodzień, czy także - być może - współgospodarz? Naciszciciel postawy powiada dalej: "dzieci Izraela odegrały p r z e c o i e ż w zawiłych dziejach naszej kultury j a k a ś rolę".

Ów rys mentalności, który zasadza się na hierarchizowaniu gospodarzy przestrzeni fizycznej i kulturowej, można uznać za istotną postawę paternalistycznej. Rodzi się refleksja: czy można być w ciągu minionych stuleci inaczej zamieszkać wspólną przestrzeń fizyczną? Czy relacja dystansu musiała się w konsekwencji ustalić jako relacja symetryczna? Czy po stronie polskiej dystans musiał się wyrażać filo- lub antysemityzmem? Tertium non datur? Można sobie przeciw wyobrazić

/wymarzyć/ państwo wielonarodowe, urządzone inaczej. Co z ideą Jagiellońską Wielkiej Polski, w której to Polsce zmieścić się mogliby najróżnorodniejsi współgospodarze? Właśnie współ-, a nie pod-gospodarze? Co się stało ze spadkobiercami polskiej autentycznej tolerancji? Czy wypada uznać ją za mit? Być tolerancyjnym, to szanować człowieka w całej jego swoistości, a nie d z i w o w a ć s i ę j e j . Czy kartowacieliśmy w miarę stuleci, czy prawa, które nasi przodkowie sformułowali na piśmie, przerosły nas swą dojrzałością, mądrością, szlachetnością, wymiarem ludzkim? Okazuje się, że nie dorastamy psychicznie do nich, czy tak? Nie musielibyśmy być "swoiście", a zwyczajnie, po ludzku przywiązani do współmieszkańców tej ziemi. Żydów, Litwinów, Biakorusinów - w ogólności nie-Polaków etnicznych. A czy umiemy być zwyczajnie przywiązani do Polaków reprezentujących inną niż własną grupę? Wreszcie - czy umiemy być z innymi narodami, gdy znajdziemy się poza Polską? W jaki sposób tworzymy naszą polonijną diasporę i jak od wieków jednakowo układamy współżycie nasze na emigracji? Obserwator Polaków mógłby nas żacno zaszeregować z wyżyn swej kultury jako "dziwaków", "mamroczących niezrozumiale" o czymś tam tylko dla siebie ważnym /jakieś niepodległości czy wolności/. Miewamy garbate nosy, a nawet czarne włosy, i bywamy wysoce irytujący dla innych, gdyż tak bardzo koncentrujemy się na sobie, na własnych kłeskach i krzywdach, z wyjątkową łatwością wchodząc w rolę ofiary. Rzadko myślimy o tym, że - być może nieświadomie - my również jesteśmy zdolni do krzywdzenia innych.

Bohater w przestrzeni społecznej: hierarchia, poczucie własności.

Cytat: "Żyd to był jakiś powinowaty-oficjalista w wielkim dworze polskim" i dalej: "polski szlachcic bez Żyda jest niekompletny", "jest się szlachcicem, dopóki ma się ziemię i Żyda". Dwa ostatnie zdania - będące przekazem poglądów pokolenia dziadków relacjonującego - podane zostają bez cienia dystansu /ze względu zapewne na przewidywane poczucie humoru odbiorcy/. Pomijam już, także nieskomentowany, sposób operowania terminem "Żyd" w powyższych kontekstach, czyli ujmowanie Żydów zbiorczym imieniem "Żyd". Przypomina się funkcjonujące do dziś powiedzenie "każdy Polak ma swego Żyda". To dalekie echa ilustrowanej przytoczonymi cytatami postawy paternalistycznej w werzei zdemokratyzowanej niejako - rozpowszechnionej później poza kręgi szlachty polskiej. Komuś w dłuższej podróży zagranicznej "podobno najbardziej krako-

ważo Żydów". Tym razem znajdujemy opinię własną relacjonującego: "był więc chyba skrajnym filosemitą" /sic!/.

Z przytoczonych kontekstów widać wyraźnie, kto ma być właścicielem przestrzeni fizycznej i społecznej, kto rzeczą posiadaną, ozdobą, egzotycznym dopełnieniem, cieniem tego, kto cień rzuca. "Żydowi" przypisuje się rolę tła lub elementu rodzimego pejzażu, na równi z budynkami dworskimi, przyrodą, inwentarzem żywym. Przyznaje, że za tak pięknym obrazkiem można tęsknić. Przetaje on jednak cieszyć oko i pamięć, gdy pomyślimy, jakim kosztem społecznym go stworzono: komu przyznajemy pełne prawo bycia bohaterem wizerunku, a kto jedynie przestrzeni dopełnia, gdyż po prostu n a l e ż y do polskiego domu. Smutne. Taki sposób sytuowania się w przestrzeni /fizycznej lub społecznej/ możemy potraktować jako kolejny rys postawy paternalistycznej. Dodam - postawy, która nie musi się wcale odnosić do przedstawicieli mniejszości etnicznych, ale do wszystkich klas czy warstw, które wypowiadający się sytuuje niżej od własnej pozycji społecznej. Paternalizm jest zatem klasycznym przykładem postawy wyższościowej.

W stosunkach polsko-żydowskich mieliśmy do czynienia nie tylko z poziomym podziałem przestrzeni fizycznej, ale i pionowym - przestrzeni społecznej. Żydzi wykonywali funkcje usługowe wobec gospodarza przestrzeni fizycznej i społecznej. Oto przykłady z ich wskaźnikową strukturą: "chasyd Faalenbojgen, który szyl m i bryczesy", "zaszedłem /.../ żeby zamówić s o b i e sandały", "reszta m o j e g o obuwia pochodziła od Ioka", "Nuchim reperował m o j e zegarki" itp. Drastyczny cytat: "Chaskiel dosłownie zleciał po schodach, żeby usłużyć dziedzicowi"^{3/}. Sposób zapisu wskazuje na dodatkową cechę postawy wyższościowej: małostkowość, brak swistego gestu społecznego wobec osoby położonej niżej w hierarchii społecznej.

Tak było. Tak się stosunki polsko-żydowskie ukształtowały, m.in. w konsekwencji obowiązującego przez wieki prawa. Rzecz w tym, iż stosunki owe nosiciel postawy zdaje się postrzegać jako porządek naturalny. Chyba niedobrze by się stało, gdyby współczesny odbiorca zapisu miał przyjąć go za taki. Skutki mają swoje przyczyny i warto, być może, posłużwszy się dystansem historycznym, przynajmniej spróbować dziś odróżnić pierwsze od drugich.

Awans przez asymilację, asymilacja

A w jaki sposób przywoływana jest w analizowanym tekście warstwa inteligencji polskiej pochodzenia żydowskiego? Inteligencji są obecni niemal wyłącznie

pod etykietą "inteligencji żydowskiej" bądź "młodzieży żydowskiej", czasem z dodatkiem: "silnie zmimetyzowanej" /sic!/ - czytaj: schrystianizowanej, spolonizowanej lub: "zeuropeizowanej". Naturalny język, siatka pojęciowa, jaką nosiciel postawy w opisie inteligencji się posługuje, krąży wokół takich pojęć, jak np. "prawie goj".

Tu czas na wskazanie kolejnej cechy paternalizmu. Partner może być traktowany jako partner właśnie, czyli ktoś bliski i równy zarazem, jedynie pod warunkiem możliwie wiernego odwzorowywania kultury dominującej. Osobiście nie chciałabym być Polką-Żydówką, o której mój przyjaciel powiedziałby, iż jestem "zmimetyzowana", czyli upodobniona. Poniżałoby to zarówno mnie, jak mojego przyjaciela. Co więcej, nie chciałabym być za taką cenę, cenę "asymilacji", dopuszczona do przyjaźni. Czy tylko droga asymilacji, czyli częściowego choćby zaparcia się tradycji własnej /lub talko nie ujawniania jej wobec etnicznych Polaków/ i przyjęcia hierarchii wartości "polskich", była jedyną możliwą płaszczyzną partnerskiego spotkania? Czy tak rzeczywiście być musiało? Jak szanować i chronić obie - możliwie bogate - tożsamości, w sobie indywidualnie i we wspólnotach narodowych i narodowościowych? Wczoraj i dziś.

Może dopiero dziś, gdy wszystko już się nieodwracalnie stało, dojrzujemy do takiego postawienia problemu. Jest wszak coś uwłaczającego w samym terminie "asymilacja" /"akulturacja" itp./. Tak wyraźnie się tu wskazuje - na skutek psychologicznego mechanizmu postawy paternalistycznej właśnie - iż tylko jedna strona winna się przystosować, ponieść jakies koszty wspólnego życia na wspólnej ziemi. Pamiętając jak było, między innymi dzięki takim jak analizowany, zapisom, możemy dziś próbować przekroczyć sposób myślenia, na który wskazuje zarysowana siatka pojęciowa. W kwestii asymilacji nie byliśmy wyjątkiem. Podobnie rzecz wyglądała w innych krajach, a sama idea asymilacji nie była wynalazkiem tylko przedetawicieli kultur i społeczeństw dominujących. Była propagowana przez samych Żydów. Ale enowu trzeba zapytać o historyczne przyczyny i skutki. Dlaczego właśnie takich rozwiązań poszukiwano wówczas, i jak inaczej /dlaczego?/ dziś na sprawę chce się patrzeć?

Stereotypy: zajęcia "żydowskie" i "nie-żydowskie".

Cechą wszelkich paternalizmów jest operowanie stereotypowymi sądami o grupie nie-własnej. Można rzecz zilustrować następującym cytatem, wyrażającym

zapewne obiegowy pogląd: "studiował bardzo nieżydowski przedmiot". Odbiorcy nie znającemu historii polsko-żydowskiej, wychowanemu w innej strukturze społecznej, sugeruje się jakby, iż istniały typowo żydowskie zajęcia, zawody, ba immanentne zakłócenia prywatne. Rzeczywiście, w pewnym stopniu tak było. Ale dlaczego? Młody odbiorca przyjmuje znowu zapis jako odzworowanie porządku naturalnego, pomyśli, że widocznie Żydzi określone zawody z własnej woli po prostu w y b i e - r a l i. Musiałby dobrze pogrzebać w podręcznikach historii Polski, by się dowiedzieć, jakie zawody, w jakich czasach, Żydom wolno było podejmować, gdzie mogli się osiedlać itp.

Stereotypy musiały być zakorzenione bardzo głęboko i jakoś akceptowane po obu stronach, skoro zakup ziemi przez Żyda wywołał: "ogólny i wspólny katolicko-starożydowski śmiech! Żyd i stadnina /.../ Okazało się, że Żyd potrafi hodować nie tylko kozy, ale i krowy", hodować konie i - co więcej - także jeździć konno. Historyjka "żydowskiego dziedzica" przytoczona jest po to, by zaprzeczyć stereotypowi. Ale skoro zakładamy, że odbiorcami dykteryjki będą osoby nie znające ówczesnej rzeczywistości, może lepiej darować sobie choćby nieznaczoną "kozę" /stereotyp w stereotypie/ i w dwóch słowach skomentować, dlaczego w ogóle rzecz mogła się komuś wydać aż tak bardzo zabawną. Przecież przywołany casus jest wyjątkowo dobrym przykładem społecznych skutków rzeczywistości kształtowanej postawą paternalistyczną, tego, że można było wówczas w ogóle mówić o zajęciach "żydowskich" i "nieżydowskich". Jak naturalne musiało być ówczesne myślenie tymi kategoriami, dowodzi wprowadzenie numerus clausus na uczelniach wyższych Polski międzywojennej, którego celem było ograniczenie liczby wykształconych Żydów-Polaków. Podobne zarządzenia utrwały podziały na zajęcia "nasze" i "nie-nasze", "wyższe" i "niższe". Bez powszechnego panowania nieświadomianej i świadomej postawy paternalistycznej sama idea numerus clausus nie mogła być się narodzić. W tym czasie, czyli w okresie emancypacji społeczności żydowskiej, podobne regulacje mogły być już tylko wyrazem samonapędzanego błędnego koła dystansów, którymi Polacy etniczni usiłowali się odgradzić od Polaków pochodzących z mniejszości, w fałszywie pojętej samoobronie. Żadnej ulgi nie daje wiedza socjologiczna, która głosi nadchodzenie nieuchronnych konfliktów, gdy liczebność "obcych" przekracza tyle i tyle procent. No i co z tego? Wiedza socjologiczna jest uogólnieniem wiedzy potocznej, którą tworzymy my sami. My sami jesteśmy odpowiedzialni za to, jaki jest kształt naszej potoczności. I nie mnie nie rozgrzeszy. Fakt, że

w innych epokach sytuacja mniejszości jest podobna nie obiektywizuje ani nie uniwersalizuje prawdziwości. Wskazuje tylko, że wszyscy chorujemy na tę samą chorobę. Samowiedza i rzeczywista wiara we własną wartość, zwalczanie kompleksów własnych, pomogą, mam nadzieję, chorobę tę przezwyciężyć.

Stereotypy od.: "cechy "polskie" versus "żydowskie".

Wróć tu do przykładu Żyda-dziedzica. Cytat: "Ale czy od takiego żydowskiego dziedzica można się było spodziewać np. honoru czy odwagi?" Historyjka ma do- wodzić, że tak; Żyd ostatecznie wykazał - w domyśle polskie - poczucie honoru i odwagę /można by dodać, że zginął "po polsku", absurdalnie odmawiając hitlerowco- wi sprzedaż ulubionej kiaczy, za co ten zastrzelił bohatera anegdoty na miejscu/. Dowiadujemy się dalej m.in. iż: "D z i w n y zbieg okoliczności sprawił, że cała męska połowa rodziny /żydowskiej/ znalazła się /.../ w lasach świętokrzyskich" - w partyzantce. Czy rzeczywistość postawa paternalistyczna pozwala ów fakt określić wyłącznie jako "dziwny"? Chyba wtedy już nie. Jaki zysk poznaoczy na młody czytelnik z podobnej lektury? Samo zestawienie pojęć Żyd - honor - odwaga w anegdotycznym ujęciu wydrukowane dziś - po Berku Joselowiczu /choćby/, po powstaniach w gettach, po Zagładzie wreszcie, brzmi dla mnie osobiście niesmacznie. Inny cytat: "Znając Jacka, jestem przekonany, że walczył z Niemcami! Skąd ta pewność? Niestety wyłącz- nie stąd, że Jacek był "prawie gojem". Czy podobne wzmianki wzmacniają, czy osłabiają negatywny stereot- yp Żyda? Odbiorca nie znający religijnych czy wręcz mistycznych powodów nie podejmowania walki zbrojnej przez Żydów raczej właśnie stereotyp sobie wzmocni. Przywołano wszak "dziwne" wyjątki od reguły.

Brnijmy dalej. "Mówiło się, powszechnie, że cha- rakterystyczną cechą Żydów stanowi zupełny brak wy- czucia piękna przyrody. W tej opinii tkwiło niewątpli- wie w i e l e p r z e s a d y." Brak zaprzeczenia stereotypu. Powyższy przykład nie re'atywizuje już cech "żydowskich" do domniemyanych "g l e k i c h", ale wy- pcwiada sąd ogólny; podobną strukturę mają także cy- taty dalsze. Kolejny stereotyp: "Lichwiarzem, to Żyd potrafi być. Moja rada jako Żyda dla ciebie: kupuj u Żyda, ale nigdy się u niego nie zadłużaj!" "Mówi się, że Żydzi oszukują, a Cyganie kradną. Trudno zaprze- czyć. Ale czy jest na świecie dużo świadków bicia kogoś tylko dla draki przez p r a w d z i w y c h Żydów albo p r a w d z i w y c h Cyganów." Oba przykłady pojawiają się w tekście jako opinie wypo-

wiadane przez żydowskiego inteligenta wobec przyjaciela-goja. Jeśli zdanie wypłynęło z ust żydowskich, w tak specyficznej sytuacji społecznej, ma być gwarantem prawdy, czy tak? Wygodniej nam, jeśli stereotyp powieła przedstawiciel społeczności żydowskiej, nasze usta pozostają nieskalane, plus cicha satysfakcja, tak?

Wraczcie czas na przykład szczególnie: "Posiadanie ojczyzny jest koniecznym warunkiem pracy konstruktywnej. Ludzie bez ojczyzny stanowią element destrukcyjny każdej społeczności. Według Adlera Żydzi bez ojczyzny rozsadzali spoiwość społeczeństwa żydowskiego i stanowili czynnik dekompozycji państwowości polskiej. Dostarczali żeru faszyzującym organizacjom nacjonalistycznym. Najwięcej krzywdy wyrządzili własnym rodakom, Żydom polskim, rozpinając nad nimi plakaty i firmując żydo-masonerię, żydo-komunę, żydo...". Pięknie. Znowu opinia Żyde wykształconego, na odmianę o pewnym tylko "gatunku" Żydów. Opinia. bzdur Boże, nie nasza, tylko wiernie zrelacjonowana. Aż nadto wiernie. Niestety, nie możemy spotkać się z Adlerem i posłuchać, jak uzasadniałby swe poglądy. Adler - przewodniczący miejscowej gminy, kierownik szkoły żydowskiej, oficer wojska polskiego - stał się bowiem jedną z pierwszych ofiar eksterminacji. Widząc taki pomysł ideologiczny dziś w druku, całkowicie nie skomentowany, można się wręcz przerazić. Można, co więcej, dopuścić, iż przekazujący opinię daje wiarę opiniodawcy. Rzecz wymagałaby zdecydowanego komentarza, nie muszę chyba wyjaśniać dlaczego.

Sprawa polskiego antysemityzmu

W analizowanej książce dwukrotnie powiada się, iż w Polsce antysemityzm był "skąpy" /gdzie jest skala? kto byłby powołany do mierzenia siły pol. wy? / Nadto, odpowiedzialność za zaistnienie zjawiska /oceniającego skądinąd negatywnie/ przesunąć się na samych Żydów, a przynajmniej na znowu ich inny "gatunek", mianowicie na Litwinów k:órzy jakoby: "stopili się zewnętrznie z Żydami p:leśniami, ale nie byli polskimi patriotami". Ta sama argumentacja służy uzasadnieniu antysemityzmu Smoleńskiego. Zostawmy rzecz kompetentnym historykom i powiedzmy tylko tyle, iż znowu mamy tu do czynienia z przywoływaniem kolejnej obiegowej opinii, wyjątkowo korzystnej dla subtelności etnicznych Polaków. Może już czas na jej zrewidowanie? Osobiście wolę na nas patrzeć ostro widząc nasze zalety i wady. Czy nie nazbyt często mamy tendencję do przerzucania odpowiedzialności za nasze brzydkie sprawy na przyczyny i uwarunkowania zewnętrzne?

Inny cytat: "/.../ poskarżył się, że jego krewni zostali p o t u r b o w a n i w Radomiu podczas jakichś ekscesów antyżydowskich". Znajdujemy przypie, osobiste ustosunkowanie się relacjonującego do relacjonowanego faktu: "Były to zresztą drobne ekcesy. Do poważnego i powseznego antysemityzmu nigdy w Polsce przed wojną nie dochodziło".

Co można wyczytać z powyższej szaty słownej? Widoczna jest tu wyraźna tendencja, charakterystyczna dla postawy paternalistycznej i będąca zarazem jej kolejną cechą, do bagatelizowania ocenianego negatywnie zjawiska, gdy jego sprawcami są "swoi". Pięknie być lojalnym wobec grupy własnej. Ale prawdziwa, nie-paternalistyczna lojalność nie pozwala przyrmykać oczu na błędy i świństwa popełniane właśnie przez "swoich". Co to znaczy "słaby" lub "niepoważny" antysemityzm? Co to znaczy "drobne" ekcesy? Bicie ręką czy pałą drewnianą, siedzenie w odrębnych ławkach, specyficzny język używany wobec ludzi uważanych za obcych? Ekscesy były faktem. Do jakiej miary chce się je przykładać - chyba nie do Zagłady? Czy Żydzi często bili Polaków? "Poturbowany" jest eufemizmem słowa "pobity". Po co eufemizmy? By chronić dobre imię Polaków? Można to uznać jedynie odkrywając całą prawdę i bezpośrednio, jednocznie potępiając wszelkie przejawy antysemityzmu. Czyżby było tak, że postawa paternalistyczna w jakiś sposób dopuszcza "antysemityzm dobrotliwy" - by użyć określenia Leszka Kołakowskiego? Jest to zjawisko ze sfery mechanizmów podświadomych? Oby. Patrząc na świat z perspektywy dobrotliwego obserwatora rzeczywistości dopuszcza się tak naturalne zjawisko jak "zdrowe" wyładowanie emocji negatywnych w myśl zasady "kto się czubi, ten się lubi". Może. W każdym razie z taką myślą znacznie wygodniej żyć.

Sposób operowania nazwiskami: dwie dyskreccje.

Postawa paternalistyczna może się przejawiać nawet w sposobie operowania nazwiskami. Nazwiska polskie pojawiają się w tekście albo w autentycznym indywidualnym brzmieniu, albo chroni je dyskreccja opowiadającego /własna, bądź wymagana przez przywoływane osoby/, etąd także nazwiska zmienne. Podobnie rzecz wygląda z nazwiskami Żydów - inteligenckich przyjaciół autora. Nadaje się im wówczas nazwiska o brzmieniu "żydowskim" i zachowuje chrześcijańskie imiona: zatem "X", "prof. Z", "ksiądz J", "dr Honigsfeld" itp.

W stosunku do bohaterów żydowskich, reprezentujących warstwę niższą, operuje się albo nazwiskami autentycznymi, albo są one wymyślane na użytek

anegdota. Obowiązuje tu zasada tworzenia nazwisk będących pochodną zajęcia bohatera historyjki. Malarz pokojowy zostanie więc Goldfarbem, kupiec rybny - Fiszmajem itp., itd. Wymyslnym przykładem jest nazwisko Fluseman, nadane bohaterowi w następstwie jego poglądów na rolę rzeki w życiu człowieka. Wiadomo, jak przynajmniej część nazwisk żydowskich powstała. W zabawach takich powtarza się więc niejako robotę wykonaną wcześniej przez władze administracyjne zaborów. Zdaniem na przykład Normana Davlesa $\frac{1}{2}$, "dziwność" lub "śmieszność" nazwisk żydowskich zawdzięczamy inwencji i wątpliwemu "zyszkowi poetyckiemu" ówczesnych urzędników. Rejestrując obywateli żydowskich bawili się oni dobrze. Stąd w Galicji i zaborze pruskim Apfelbaumowie, Silbersteinowie itd.; a nazwiska będące pochodną nazwy regionu, miejscowości, dają nazwiska po prostu miejscowego właściciela ziemskiego - w zaborze rosyjskim. Nie inaczej się działo, gdy rejestrowano wyzwolonych niewolników w Stanach Zjednoczonych.

Można założyć, że nie wprowadzony czytelnik nie wie, dlaczego niektóre nazwiska żydowskie "pasują" do zajęć bohaterów. Co więcej, sugeruje mu się jakby, iż tak być powinno /znowu porządek naturalny/. Cytat: "Lederowie i Palcowie - jak same nazwiska wskazują - m u s i e l i się zajmować skórniactwem i futrzarstwem"; "nazywał się Mantelmacher i najlepiej szył właśnie płaszcze". Czasem jednakowoż jest "zaskakująco" inaczej: "Chwiałajczyk /także starczakowny; ekąd on wziął takie nazwisko?/", lub: "Herz nosił nazwisko Szneter"; ale "nie był szewcem, tylko owocarzem"; "miał najbardziej nieżydowskie nazwisko - Garbaty". Czasem wyrażałość opowiadającego idzie daleko - przykład: "Prawiasangusko". Dość. Tego typu zabaw lingwistycznych jest w tekście wiele. Większość ma charakter żartu. Panorama Apfelbaumów ma nam przybliżyć różnorodny i bogaty świat rzemieślników żydowskich. Ale jest to świat oglądany z góry. Opowiadający widzi swych bohaterów jako "ludki", oswajając w ten sposób kulturę, którą reprezentują. Opiswane postaci ulegają pomniejszeniu, Gombrowiczowskiemu upupieniu, by nie rzec wręcz urzeczowieniu: "Chasyd Fakenbojgen, który szył mi bryczesy! Cieszę się, że szył dobre spodnie, ale na czym polegał jego chasydyzm? Tego się nie dowiaduję. Zabawy takie nie poszerzają zatem mojej wiedzy o świecie Żydów polskich. Nadto kultura, która nas wszystkich wykarmiła, mówi nam coś o komentowaniu nazwisk. Nazwisko jest osobistą własnością jego posiadacza. Jakkolwiek by brzmiało. Dlatego odmawiam uczestnictwa w takiej zabawie. Dla postawy paternalistycznej charakterystyczna jest też sygnalizowana już tendencja do operowania

nazwiskami "typowymi", przezwiskami, bądź imionami zbiorczymi. Przykład: "Chaskiel, chaskiele". Jeśli przedmiotem zapisu będzie przedstawiciel innej mniejszości, najdzie to następujący wyraz językowy: "jakiś Sułek czy Murat". Cytat wyjątkowo złośliwy z innej strony: "Na wschód od Podlasia imię Waśka przysługiwało tylko kotom." Miałabym poważne wątpliwości. Mówiąc znowu serio - analizowany sposób operowania nazwiskami przez osobę nastawioną paternalistycznie bierze się stąd, iż nosiciel takiej postawy jest zawsze skłonny widzieć przedstawicieli grupy własnej jako odrębne, pełne jednostki, innych natomiast postrzega jako mniej lub bardziej niezróżnicowaną masę, lub też wybiera z charakterystyki człowieka pewne tylko cechy. Bohater ulega więc swoistej redukcji: kupcowa zostanie po prostu "Chałą" itp. Przy czym zawsze opisywana postać jest relatywizowana do osoby opowiadającego. Nie widzimy autonomicznych osób, a jedynie to, w jaki sposób osoby te zaspokajały pewne potrzeby /materialne bądź duchowe/ opowiadającego. Cytat: "takie oto refleksje snuł Muchim reperując moje bardzo stare zegarki". Relatywizowanie do siebie, nazwy zbiorcze. Nawet Korczak napisał: "Jonki, Mośki, Grule", choć, dla równowagi, także "Józki, Jaśki, Franki", ale Korczakowi niejako wolno, gdyż uczynił to z zupełnie innej perspektywy - równościowej, partnerskiej. Vincenzowscy Żydzi są także jakoś partnerami, i widzimy każdego z jego bohaterów z osobna, jako pełnego człowieka, który stoi obok mnie a nie chowa się we mnie, tak pomniejszony, bym zdołała pomieścić go w sobie, by nigdy nie mógł się wydać ni równy, ni większy.

Śmierć, Zagłada

Jeśli mówiliśmy wyżej o swoistej redukcji przywoływanych postaci i dokonywującym się w ten sposób oswojeniu kultury odmiennej od naszej, to analogiczny, choć oczywiście nie identyczny proces psychologiczny daje się zaobserwować także w odniesieniu do Zagłady. Uwarunkowany jest on prawdopodobnie najgłębiej przyswojonym światopoglądem. Światopogląd ten zakłada optyzm, więc tragedię się syntematyzuje - a przez to właśnie oswoja. Owo specyficzne widzenie rzeczywistości pozwala w jakiś sposób chronić samego siebie, gdyż nie dopuszcza jakby pełnej świadomości tego, co się przecież stało. Ktoś: "atosunkowo b a r d z o e z c z ę ś l i - w i e p r z e b y ł o k r e s o k u p a c j i / d w o r y , k l a s z t o r y /". W zestawieniu z pięciami rzeczywistość "atosunkowo" pomniejsza, ale według miary ludzkiej, a nie nieludzkiej? Czasem opisywana tendencja psychologiczna

wyraża się magicznym wręcz negowaniem możliwości śmierci przywoływanych osób: "c o ś mi mówi, że obaj Józkowie żyją"; czasem - tylko dlatego, że "spominający nie otrzymuje znaku życia od opisywanych - znajdujemy stwierdzenia: "p r a w d o p o d o b - n i e" zg. nają; "C h y b a nie żyje. Na pewno dałby znać"; "Nie p r z y p u s z c z a m, aby przeżyli!" Itd. Zagłada była czymś tak wyjątkowym w historii świata, że warto zachować najwyższą samo-kontrolę ledwie tykając sprawy, bez względu na typ relacji. Nawet w zbiorze anegdot, gdy po prostu miło i ciepło sobie wspominamy. Po Zagładzie wyrażanie tylko osobistej wiary w szansę czyjś przeżycia i to w sposób ilustrowany powyższymi cytatami jest dla mnie trudno dopuszczalne moralnie. Cóż to bowiem za lekceważenie i pomniejszanie czyjejs tragedii poprzez owe odniesienia do osoby wspominającego: "odezwałby się, gdyby przeżył". A jeśli by przypadkiem ocalony, przeżywszy, zapomniał przyjacielów i kochance? A gdyby w jego życiu wydarzyły się większe lub inne sprawy? A gdyby z jakichś powodów chciał się odgrodzić nowym życiem od Polski i jej problemów? Nie można mówić "chyba" i "prawdopodobnie", gdy rzecz idzie nie o naszą własną, w istocie niemal pewną śmierć. Ani przeczucia, choćby najszlachetniejsze w intencji, ani sentymenty osobiste nie mogą być traktowane jako próbnik ocalenia. Jeśli mam, jakiegokolwiek wątpliwości, może lepiej byłoby powstrzymać się od wyrażania prywatnego optymizmu? Jak bardzo ów optymizm może zaburzyć odbieranie rzeczywistości, świadczy poniższy przykład. Bohaterem historyjki jest ocalony Żyd, który przed emigracją z Polski chce odwiedzić miejsca Zagłady, gdzie utracił wszystkich swoich bliskich. Powiada rozmówcy: "oaze nasze życie, to takie nerwowe kzębienie się w pokrzywach"; ale jednocześnie przekonuje sam siebie i swego interlokutora, że wobec miejsc Zagłady chce zachować spokój i znaleźć ukojenie: "Ale niech się pan nie bci. Na pewno nie będę robił żadnych scen. Obejrzą sobie te miejsca spokojnie!" Rozmówcy już się ponownie nie spotkali. Komentarz nosiciela postawy do całości sytuacji: "Bardzo żałowałem i nadal żałuję. Miłośnik wielką ochotę na dalszy ciąg pogawędki o życiu w pokrzywach! Niesłychane. Może rzeczywistość ocalonemu udało się skierować uwagę rozmówcy na pokrzywy. Wobec tego doprawdy warto żałować straconej okazji towarzyskiej. To już nie są nietakty wobec samych bohaterów, ale także wobec czytelnika. Taka hierarchizacja, czy też taka struktura tekstu narusza bowiem, na przykład moje, poczucie smaku.

Przykłady podobnego rodzaju: "była wiosna 1939 /.../ Nigdy już więcej się nie spotkałiśmy, Ickowe /.../ sandały odebrałem przez pocztę" - to wspomnienie o szewcu; "jeden z obywateli /.../ ma /.../ do dziś płaszcz roboty Mantelmachera" itp. O przeszłości, sandałach, lub innych przedmiotach dowiadujemy się, że przetrwały. O ich twórcach nie wiemy nic. Rozumiem, że owe nieliczne przedmioty /które przeszły przetrwały po części dlatego, że wykonano je dla niezżydowskich klientów/ są dziś dla nas jedynym materialnym łącznikiem między Zgasłym Światem i nami samymi. Skoro jednak nie wie się o losach ludzi, może ładniej byłoby zlekceważyć losy przedmiotów?

Niezamierzone lapsusy językowe

Jak naturalnie dawniej musiały być pewne obyczaje językowe, skoro w analizowanej książce znajdujemy takie oto określenia lub odczucia, jednoznacznie dziś pejoratywne; konteksty: "umieściłem go za sprytnego /.../ trochę ciemnego Ż y d k a", "czy przechodzący ulicą przeciętny 8gojś mógł przypuszczać, że takie myśli kąbiły się w głowie pejsatego Ż y d z i a - k a". Mówiący w ogóle się nie dystansuje osobiście wobec owego języka. W pierwszym przypadku nie równoważy użytego określenia samokrytyczne wyznanie, iż dziś "Żydka" wspominający uznaje za "żydowskiego proroka", zaś w drugim - ogólnie piękny ton wspomnienia o "pejsatym Żydziałku", czyli dziecku żydowskim. Jeszcze dwa przykłady. Zdolny uczeń był dla pewnego nauczyciela "bezcelnym żydziałkiem", inny zaś bohater "według nie pozhawionego podstawa określenia profesora Z. - nieznośnym i zarozumiałym Ż y d k a k i e m"^{4/}. Współczesny czytelnik odbiera ten spadek językowy z dobrodziejstwem inwentarza, można by powiedzieć. Nie oczekiwałem, że współcześnie ujrzę podobne określenia w druku i to w książce, wydanej przez wydawnictwo cieszące się tak wysokim prestiżem moralnym, które tak wiele robi, by Zgaszy Świat nie został przez nas zapomniany. A jeśli już, to że pojawią się one bez cienia komentarza odpowiednio osadzającego ich negatywną wymowę. Przecież taki język wyraża atmosferę tamtego czasu; jest dlań naturalny; ujawniają się w nim właśnie powszechne, a nie sporadycznie spotykane postawy - uprzedzenia i paternalizm. Parę lat temu spotkałem wielu Żydów z polskim rodowodem, mieszkających od dwóch-trzech pokoleń za granicą. Urazy są głębokie i trwałe. Postawa bezuprzedzeniowa przyjmowana jest z wdzięcznością ^{5/}. Wdzięczność te mnie upokarza.

Jeśli rzeczywiście chcemy ocalić świat Żydów polskich od zapomnienia, musimy to czynić bardzo subtelnie

i ostrożnie. Starać się przynajmniej przekraczać własne ograniczenia, wyrażające się także językiem, którym czasem bezrefleksyjnie się posługujemy. Musimy pamiętać, że każdy zapis jest i n f o r m a c j ą o ludziach, którzy odeszli, i to odeszli w nieporównywalnie tragiczny sposób. Mówimy o nich w nieobecności. Jeśli nie będziemy umieli znaleźć nowego języka, jeśli nie zdystansujemy się sami wobec siebie, może lepiej milczmy, tak jak niemal kompletnie milczeliśmy przez ostatnie czterdzieści lat.

"Lekcje" żydowskie

"Lekcjami" nazywam te historijki, w których znajduję, choćby parę słów o tym, jak Żydzi widzieli po skiego partnera. Lekcji pierwszej - o "ciemnocie chłopów" udzielił młodsiutkiemu wówczas chłopcu żydowski przyjaciel rodziny opowiadającego. Autokrytyczny cytat: "Moje napomknięcie o »ciemnocie« wzburzyło Jacka. Jego zdaniem słowa tego należało używać z zachowaniem wielkiej ostrożności, bo mroki spowijające umysły niektórych wielkich intelektualistów, mężów stanu i przywódców politycznych mogą być znacznie głębsze od mroków, w których toną tak zwane ciemne masy." Lekcji drugiej - o antysemitach - udzielił narratorowi czeładnik krawiecki: "A oni, ci wroczynacze /ekscesów antysemitozkich/ to myślą, że im się uda całe rozmaite zło i swoja własna głupotę utopić w żydowskiej krwi /.../ Oni, ci wroczynacze, są nie tylko bardzo źli i głupi. Oni są także bardzo ś m i e e z n i!"

Lekcja pierwsza uczy mądrości i uczyła na postawę wyższościową, lekcja druga uczy godności, a także tolerancji czy wręcz współczucia dla przywar partnera. Może takie rozmowy właśnie, a nie większość zebranych w tomie wspomnień, lepiej informują o mentalności bohaterów książki, jako że nie są zapośredniczone mentalnością narratora? Safran, charakteryzując humor żydowski powiada, iż był on: "pełen wyrozumiałości i przywiązania do bratnich, jakże często pomiatających nami "narodów". O ileż inaczej sprawę tu postawiono! Mowa tu i o "braciach" i o wyrozumiałości dla ich ukłonności. Może nasz "powinowaty" mimo wszystko chciał być naszym bratem. Nie zdążyliśmy? Nie umieliśmy? Po obu stronach.

Uwagi końcowe

Z analizy wynikają uwagi także ogólniejszej natury. Wyższościowa postawa paternalistyczna, jak już wspominałem, może się przejawiać nie tylko wobec mniejszości etnicznych. Może się ujawniać w stosunku

do każdej grupy nie-własnej, sytuowanej społecznie niżej. Może się odnosić na przykład do "chłopów" czy "robotników". Sądzę, że jest to postawa zawsze destrukcyjna, która uczyniła wiele szkód w naszej historii, i współprzyczyniała się do naszych porażek. Może najdalej od niej byliśmy w latach 1980/81. Ale czy rzeczywiście? Skąd nasze nagłe zachwyty nad "robotnikiem" lub "chłopem"? Przecież właśnie z postawy paternalistycznej, z przyzwyczajenia do patrzenia "z góry" w niezróżnicowany, odległy "dół"? Można próbować widzieć rzeczywistość nie poprzez zbiorcze etykiety, a poprzez konkretnych ludzi. Nie jest to sentymentalne kochajmy się, a po prostu pełne i równoprawne widzenie drugiego.

Paternalizm może czynić swym obiektem zarówno krajana jak cudzoziemca. Bywa też mieczem obosiecznym. Polskie kompleksy powodują również, że łatwo poddajemy się paternalizmowi społeczeństw i kultur stawianych przez nas "wyżej". Jakże aspirujemy wciąż - mimo Gombrowicza - do "europejskości". To ta sama niedojrzała postawa patania tożsamości własnej "wyższym" lub "niższym". Ten sam zaścianek.

Zdarzają się też wciąż wynaturzenia postawy paternalistycznej. Stąd szowinizmy grupowe, stąd - zwłaszcza - przeszczenie przestrzeni fizycznej, społecznej, sfery symboli. Trzeba być bardzo wrażliwionym na sprawę. Badać siebie: wśród jakich paternalizmów, w stosunku do jakich obiektów, współżycie się znajdujemy. Czy nie zaprzepaszczamy pochopnie tego, co już w sferze samoświadomości udało się nam osiągnąć?

Post scriptum

Na koniec jeszcze kilka wyznań osobistych. Tekst ten pisało mi się niełatwo, ze względu na delikatność sytuacji. Celem zrekonstruowania interesującej mnie postawy przywoływałam materiał językowy z jednej tylko książki, choć mogłam się odwołać do wielu źródeł, z których postawa ta także daje się odczytać. Może powstać zatem - mimo moich usilnych zastrzeżeń - wrażenie, że podejmuję atak osobisty na autora cytowanych słów, bądź, że atakuję środowisko, które przez wydawcę reprezentuje. Od lat narzekamy na brak możliwości podejmowania prawdziwych dyskusji ze względu na osobiste uwikłania partnerów potencjalnego sporu. Każde wypowiedzenie opinii w naszym kraju, ze względu na sytuację systemową, wiąże się nieuchronnie z przypisywaniem wypowiedzianemu się intencji "za" lub "przeciw". Rzadko daje się powiedzieć, że rzecz może chodzić po prostu "o" jakąś ważną wspólną sprawę, nie zaś o atak na konkretne osoby lub środowiska. Próbo-

wałam stanąć niejako ponad tymi nawykami i sarkazykami. Śmiem sądzić ponadto, iż pasja, z jaką materiał analizowałam, ma swe źródła we wrażliwości, którą wykształciło we mnie właśnie częste obcowanie z innymi wydawcami Znak. Środowisko to uczy nas, pokolenia powojenne, spraw najważniejszych m.in. dla tożsamości zbiorowej. Stąd moja, być może, nadwrażliwość w potraktowaniu tematu, i tak zasadniczy ton wypowiedzi. Od najbliższych oczekuje się najwięcej i najbardziej boleśnie odkryte nagłe dysonanse.

W stołm'cu do mniejszości etnicznych obserwowaliśmy i obserwujemy wachlarz postaw. O paternalizmie pisano dotąd niewiele. Uważałam, że sprawa jest warta podjęcia. Pro domo nostra.

W przywoływany na początku tych refleksji zeszyt "Więzi" Kazimierz Wójcicki pisał: "Dzisiejszy pluralizm polskiej kultury oznacza między innymi pamięć o wielości źródeł i opływowi, tejże kultury w przeszłości. Miejsce po zapadłej w otchłań Cświęcimia i Trebłinki kulturze Żydów Europy środkowej i wschodniej nie może być miejscem pustym. Nie może też być miejscem poszukiwań historyka egzotycznej specjalności. Miejsce po tej części kultury żydowskiej, która rozwijała się na naszych ziemiach, musi być dziś miejscem pracy dla kultury polskiej. Właśnie. Adekwatne pisanie o formacji kulturowej polskich Żydów musi się moim zdaniem wrnieść ponad postawę paternalistyczną, czyli widzenie problemu wyłącznie z "polskiej", "wyższej" perspektywy. Zapisy dla współczesnej wrażliwości nie mogą być na pewno jedynymi i pozostawać w próżni bez echa. Historii nie odwrócimy, umarłych nie wskrzesimy, ale zastanówmy się, jak rzeczywiście sprawiedliwie oddać hołd ich pamięci 6/.

Występowałam tu nie jako historyk lub ekspozycjonistka, po prostu jako zwykły, mniej lub bardziej wrażliwy człowiek, który przygląda się zarejestrowanym sytuacjom codziennym, słucha codziennych rozmów. Coś go w tych sytuacjach porusza - przyciąga lub odpędza. W powyższych uwagach pokazałam jedynie, co mnie razi lub dotyka. Był to wybór tendencyjny, ale dokonany z ważnych, jak usiłuję to wykazać, pobudek. Przygotowując zbiór autor antycypował polemikę i wyrażał życzenie, by jego polemistami były osoby, które "wiedzą więcej". Otóż ja nie wiem w i e c e j, wiem natomiast i n a c z e j. Dlatego inaczej odbierałam - uważnie, może za zbyt uważnie. Bo chcę w i e d z i e ć. Książka miała być przecież w intencji autorskiej lekturą pouczającą mimo lekkiej, żartobliwej konwencji. Nie zobaczyłam jednak ludzi "w

blasku memory". Mogę jedynie wnosić, jak widzieliśmy lub jak widzimy blask memory, i co w tym świetle zdołaliśmy dostrzec. Jakże inaczej czyta się Safrinowskie Przy szabasowych świecach, lub Vincenza. Nic z opisywanych tu przykrych emocji, nic ze wstydu. Nic mój go śmiechu /a mam poczucie humoru, wbrew pozorom/ nie hamuje...

Analizowany zapis mieści się tylko w jednym nurcie polskiego pisania o Żydach. W nurcie paternalistycznym, w którym, według słów Aleksandra Hertza /"Znak" 1983 nr 2-3 s. 449/ świat żydowski traktowany jest jako "gotowy produkt określonych procesów społecznych i kulturalnych" oraz pokazywany "na tle świata polskiego". Hertza nie pociesza fakt, iż polska niewiedza o innych mniejszościach żyjących w obrębie tego samego państwa była podobna. Nie pociesza mnie również paternalizm przedstawicieli innych narodów, ani tendencje izolacjonistyczne wyrażane przez społeczność żydowską, co również jest faktem historycznym.

Przypisy

1/ M. Strzemiński: W blasku memory. Wydawnictwo "Znak". Kraków 1981.

2/ Por. zeszyty monograficzne miesięczników "Znak" /lutym-marzec 1983/ i "Więź" /1983 nr 4; 1984 nr 4/.

3/ W przypisie autor rozszyfrowuje tożsamość "dziedzica", który stał się przyczyną takiego zachowania Chaskiela. Był to M. Kudelski, zaangażowany w ratowanie Żydów baranowskich; zamordowany przez hitlerowców w roku 1943.

4/ Por. Norman Davies: God's Playground. A History of Poland. Vol. II. New York 1982 s. 242-243.

5/ Postawa wdzięczności nie jest chyba odczłowieczona. "Tygodnik Powszechny" wydrukował co najmniej jeden list od czytelnika-emigranta, w którym autor dziękował za kojenie urazów przedwojennych. List był jedną z reakcji czytelników na numer TP poświęcony czterdziestej rocznicy powstania w getcie warszawskim.

6/ Na fakt, jak powiedzielibyśmy w języku moich refleksji, paternalistycznej orientacji twórców wystawy w warszawskim Muzeum Narodowym "Kultura ocalona", wskazuje Nawojka Cieślińska w felietonie: Kultura samilkła /"Przegląd Powszechny" 1983 nr 7/8 s. 219-227. Przeciw takiej orientacji autorka żywo protestuje i popiera wywód kompetentnymi argumentami. Wspomina o anachroniczności ujęcia, wskazuje stereotypy, sugerowaną peryferyjność kultury żydowskiej traktowaną, jako egzotyczny folklor jedynie itp. Autorka reprezentuje młode pokolenie krytyków i badaczy sztuki. Może więc rzeczywiście nasza, powiedziałabym nadwarażliwość w traktowaniu problematyki, stanowi reakcję pokoleniową?

Podajmy analizę trzytomowego cyklu Stefana Korbońskiego: W imieniu Rzeczypospolitej, W imieniu Kremla oraz W imieniu Polski Walczącej w ramach tematu "książki nieobecne", zastanawiałem się w jakich kategoriach potraktować nieobecność owych ponad tysiąc stron druku, oczywiście nieobecność bardzo względna. Innymi słowy - czego brak tych książek na polskim rynku księgarskim pozabawił rzesze czytelników, do jakiego stopnia ów brak wpłynął na zubożenie wiedzy o przeszłości, przeżyć emocjonalnych, myślenia historycznego i politycznego. Na twórczość Korbońskiego różna patrzeć z wielu punktów widzenia: jako na dzieła literackie, piśmiennictwo reprezentujące pewien nurt ideowy, zapis w postaci wspomnień obrazu wojennej i powojennej rzeczywistości, a więc rodzaj prozy dokumentacyjnej, i wreszcie jako na wyraz kultury politycznej, w której kręgu znajduje się autor i jego twórczość. Ten właśnie aspekt interesuje mnie tu najbardziej.

Zacząć wypada od kilku słów o samym Stefanie Korbońskim.

Należał do rocznika 1901, a więc w chwili wybuchu II wojny światowej był to czkowiek trzydziestoosmioletni. Działal w Stronnictwie Ludowym: przed wojną pełnił funkcję prezesa Zarządu Wojewódzkiego w Białymstoku. Mieszkał jednak stale w Warszawie, a z wsią, rolnictwem, okłepami niewiele go wiązało. Wychowany w zamożnej rodzinie - wspomnienia z dzieciństwa to słońca, krochmalone biało koźnierzyki, aksamitne ubranka - do ruchu ludowego trafił najpewniej przez brata ciotecznego, starszego odeń o kilka lat, Zygmunta Grafińskiego, z którym był blisko związany. Grafiński, wybitny prawnik, wykładowca Wolnej Wszechnicy Polskiej, od 1928 r. zasiadał w Sejmie jako poseł SL Wyzwolenie, radykalnego odłamu ruchu ludowego. Młody Korboński ukończył również studia prawnicze na Uniwersytecie w Poznaniu, po czym podjął praktykę adwokacką. Był jednym z wielu adwokatów o dużych ambicjach politycznych, którzy nastawieni opozycyjnie wobec rządów sanacyjnych

x/ Referat wygłoszony na seminarium Polskiej Akademii Nauk, spisany z taśmy magnetofonowej bez wiedzy autorki.

znajdowali pole działania właśnie w ruchu ludowym, cierpiącym na niedostatek inteligencji. Innym przykładem takiego polityka może być Zygmunt Nagórski, autor wspomnień Wojna w Londynie.

Po przygodach września 1939 r. - wojna zagnała go aż pod Kowel - Korboński wrócił do Warszawy, by od pierwszej chwili znaleźć się w powstającej konspiracji. Jako jeden z nielicznych działaczy SL średniego szczebla, przebywających w tym czasie w Warszawie, współdziałał z Maciejem Ratajem, uczestniczył w tworzeniu podwalin Państwa Podziemnego. Był obecny na pierwszym posiedzeniu Politycznego Komitetu Porozumiewawczego, współpracował z gen. Michałem Karaszewiczem-Tokarzewskim, pierwszym komendantem Służby Zwycięstwu Polski, oraz z jego następcą na stanowisku komendanta Związku Walki Zbrojnej, w który przekształciła się SZP - Stefanem Roweckim-Grotem, wówczas jeszcze pułkownikiem. W kwietniu 1941 r. Korboński objął w ZWZ Kierownictwo Walki Cywilnej. W 1945 r., po przesłowaniu w końcu marca 16 przywódców Polski Podziemnej, przez kilka miesięcy, do swego aresztowania w dniu 29 czerwca, sprawował funkcję p.o. Delegata Rządu.

Temu to okresowi poświęcona jest pierwsza, bez wątpienia najlepsza książka Korbońskiego W imieniu Rzeczypospolitej. Opublikowana w 1954 r. w Bibliotece "Kultury", została przetłumaczona na angielski i pod tytułem The Fighting Warsaw wydana dwa lata później przez Allena w Londynie. Drugie polskie wydanie ukazało się w 1982 r. w kraju /Krag/.

Po aresztowaniu, przesłuchaniach i rozmowach /rozmówcami byli Różański, Romkowski, Radkiewicz/, Korboński - choć nie podpisał, jak mu to proponowano, oświadczenia wzywającego do zaprzestania działalności podziemnej, analogicznego do nieco późniejszej odezwy Jana Mazurkiewicza-Radosława do żołnierzy AK - przeszedł po miesiącu na wolność. Nie należy się temu dziwić: Uwolnienie Korbońskiego, działacza Stronnictwa Ludowego, było związane z ogólną sytuacją w kraju. Właśnie Stanisław Mikołajczyk jako wicepremier nowo utworzonego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej powrócił do Polski. Korbońskiego dowiedzieli o z więzienia na rozmowę z Mikołajczykiem.

Na wolności Stefan Korboński podjął działalność polityczną, która stanowi kanwę drugiej pozycji cyklu: W imieniu Kremla /też Biblioteka "Kultury", też tłumaczenie angielskie Warsaw in Chains 1959/. Tytuł angielski bardziej przystaje do treści tej książki, która winna się raczej nazywać Przeciw Kremlowi. Korboński wziął udział w powstawaniu Polskiego Stronnictwa Ludowego, wchodził do Rady Naczelnej Stronnictwa, zaj-

• mował się zagadnieniami prawnymi, między innymi to on opracował statut przedstawiony na Kongresie w styczniu 1946 r. Od 5 stycznia 1946 r. stał na czele stołecznej organizacji PSL. Był to ciągle działacz oscylujący między klasą wyższą i średnią. W wyborach 1947 r. został posłem na Sejm. W tym samym roku jesienią, oskarżony, jak twierdzi, o rychły aresztowaniu, uciekł wraz z żoną z Polski, by niebawem wyłudować w Stanach Zjednoczonych. Tam nie szczędził trudu, by walczyć dalej o - cytuję - "wyzwolenie ujarzmlonych narodów", działając w Zgromadzeniu Europejskich Narodów Ujarzmlonych Polski, Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii, Węgier. Działak też w organizacjach polskiej emigracji politycznej w Stanach Zjednoczonych, manifestacyjnie nie przyjmując amerykańskiego obywatelstwa. Człk się działaczem polskim, nie polonijnym. Jego żona była spłerkką "Głosu Ameryki". Odbiciem tej epoki życia Korbońskiego jest trzecia, najobszerniejsza, a zarazem najstarsza książka W imieniu Polski Walczącej /1963, angielskie wydanie Warsaw in Exile 1966/.

Pora na pytanie o charakter owych trzech książek, nierównych poziomem i wartościami poznawczymi, reprezentujących natomiast ten sam rodzaj piarstwa, ten sam typ mentalności i kultury politycznej. Trudno je jednoznacznie zakwalifikować do jakiegoś gatunku piśmiennictwa. Ani to dzienniki, choć W imieniu Kremla udaje dziennik, notując informacje i komentarze pod datami dziennymi; ani wspomnienia, ani publicystyka, piarstwo polityczne czy esesytka. Często sięganie do formy zbelstryzowanej, fikcyjne dialogi, przeplatają się z ubranymi w kostium dziennika reportażami z podróży. Reportaże zajmują szczególnie wiele miejsca w ostatniej książce, gdyż działając "w imieniu Polski Walczącej" Korboński podróżuje po różnych kontynentach jako wysłannik ACEN. Korespondencje drukowane w zachodniej prasie posłużą jako kanwa opisu rewolty poznańskiej w 1956 r. Oto próbka - zamieszczona w jednym z pism fotografia rozentuzjowanej dziewczyny natchnie Korbońskiego do napisania: "Na teren Targów Międzynarodowych przybyła procesja, niosąca biało-czerwoną flagę, umaczną we krwi poległych. Na czele jej młoda dziewczyna, z wyrazem twarzy, którego nikt nie zapomni, kto go raz widział. Tak musiały wyglądać furie bojowe, unoszące się nad głowami walczących wojsk." Obok Poznania znajdziemy w książce opis polskiego Października, Słubów Jasno-górskich, wizyty Nixona w Warszawie. Na dobro Korbońskiego można zapisać, że oddalony od Polski, skazany na wyrwkowe i tendencyjne informacje, uniknął istotnych przeinaczeń. Nie można natomiast

uczyć się z tej książki historii, choćby z racji jej literackości, której efektem jest między innymi zanik proporcji. Wiedza Korbońskiego jest też ogromnie uboga, nawet w porównaniu z tym, co może dziś wiedzieć mieszkaniec Polski, interesujący się choć trochę najnowszą historią.

I oto doszliśmy do problemu: jaką wartość poznawczą przedstawiają książki Stefana Korbońskiego. Także i tu trudno o jednoznaczne stwierdzenie. Obraz narodzin podziemnego państwa, znany zresztą z innych źródeł, stanowi dosyć wierne odbicie dziejących się zdarzeń, wierne w przedstawionych fragmentach, jest to bowiem obraz mniej niż niepełny. Najwięcej do powiedzenia ma Korboński kiedy relacjonuje, jak organizował i prowadził cywilną łączność radiową kraju z Londynem. Była to jego pasja i duma. W wydaniu krajowym, z dwustron prawie jedną trzecią - 65 - zajmują sprawy radia; na pozostałych 135 stronach mieści się tak obazerna problematyka jak narodziny Państwa Podziemnego, wszystkie aspekty działania Kierownictwa Walki Cywilnej; Powstanie Warszawskie, sytuacja po Powstaniu i wreszcie działalność samego Korbońskiego jako Delegata Rządu. Korboński zresztą przyznaje, że "radio" pasjonowało go bardziej niż inne dziedziny pracy konspiracyjnej. "Prowadziłem jak gdyby podwójne życie. Z jednej strony obracałem się w górze konspiracyjnej jako szef KWC; z drugiej strony codziennie dawałem nura w doły konspiracji, bezpośrednio kierując łącznością radiową i stykając się z właścicielami mieszkań, telegrafistami i obserwatorami. Muszę stwierdzić, iż KWC dawało mi większą satysfakcję, ale z całą pewnością więcej wrażeń dostarczała robota radiowa." Wypadnie do tego tematu powrócić dalej, analizując książki Korbońskiego pod kątem reprezentowanej przez nie kultury politycznej.

W krótkim omówieniu nie sposób dokonać pełniejszej konfrontacji: trylogia Korbońskiego - historia. No i - ogólniej można stwierdzić, że niewiele jest w tych książkach ewidentnych błędów czy przeinaczeń. Natomiast dobór informacji jest nader dowolny. Nawet nie tendencyjny, po prostu przypadkowy. Nominalnie klucz ma stanowić osoba autora, jego obecność w danym czasie w określonym miejscu, ale jest to klucz tak różnie stosowany, że trudno go traktować poważnie. W istocie, przez pośrednictwo gazet, radia, a później także telewizji, Korboński czuje się obecny w każdym zakątku Polski i świata. Pisze więc i o poznańskim Czerwcu 1956 r., i o Warszawie w gorące dni Października 1956 r., nawet o Ohruszowowie, czekającym w samolocie na pozwolenie lądowania na Okęcie. Ten ostatni obrazek jest wielce malowniczy, niestety bardziej wiarogodne relacje go nie potwierdzają. Chruszczow istotnie wy-

siedział z samolotu w najwyższym stopniu polityzowany, co między innymi znalazło wyraz w tym, że w pierwszej kolejności przywitał się z personelem ambasady radzieckiej, a nie z oczekującym go I sekretarzem KC PZPR, Edwardem Ochabem, ale przytaczana przez Korbońskiego wersja o przetrzymaniu samolotu wymagałaby potwierdzenia.

Przypalkowść doboru ilustruje zestaw tematów z jednego miesiąca, z których każdy tworzy osobny obrazek - dla przykładu wybrałam maj 1946 r. Mamy więc pochod 1-majowy, w którym króczą smutni, ponurzy ludzie; ani słowa o tym, że toczyła się wówczas ostra walka polityczna, że obok smutnych i ponurych, szli także zwolennicy komunistycznej władzy, że nieśli szturmówki, transparenty, kukły wyszydzające Mikołajczyka itp. Dalej Korboński opisuje czerwonoarmistów będących z wizytą w czyimś domu na Wielkanoc, co stanowi dlań punkt wyjścia do rozważań o ludzkie rosyjskim. A następnie jakiś przytyk Drobnerowi, "tajna rozmowa" z szefem misji UNRRA /zakrapiana obficie alkoholem/, pogrzeb Mieczysława Niedziałkowskiego, proces organizacji Ruchu Cporu AK, rozbiórnie ruin w Warszawie, manifestacja 3 maja w Krakowie, cele śmierci w siedzibie Gestapo w tymże Krakowie, wizyta z Józefem Niecką w sprawie Batalionów Chłopskich u min. Spychalskiego, wizyta w MNP w sprawie aresztowanych ludowców i informacje na temat tajemniczej osoby gen. Malinina /Sierowa/. Pełne materii pomieszczenie, bo nie jest to nawet wybór pomyślany tak, by poprzez migawkę przekazać obraz codziennej rzeczywistości Polski i Polaków w maju roku 1946. Nie mówiąc już o sposobie narracji, który tę rzeczywistość maksymalnie spłaszcza.

Są naturalnie i błędy - drobniejsze i bardziej poważne. Są twierdzenia tendencyjne, są też opisy wręcz fantaetyczne, jak ów opis "tajnego" rządu, który zbiera się u Gomułki. Podobne informacje znajdują się w książce Mikołajczyka, wydanej wcześniej, być może z niej zaczerpnął je Korboński i jako sensację zamieścić w swym W imieniu Kremla. Zależność polskich komunistów od ZSRR to fakt, którego nikt rozsądny nie może podważać, natomiast opowiadki o "tajnym rządzie", sterowanym przez Sierowa mieszczą się nie tyle w historii, co w literaturze a la Szpanow. W latach pięćdziesiątych wyszła w Polsce taka książka, tłumaczona z rosyjskiego w której Hitler i Churchill, nie mówiąc o pomniejszych postaciach, knuli episki przeciw pokojowi, tłumili ruchy wyzwolenicze, etc. Styl tej książki przychodzi na myśl, kiedy się czyta owe wymysły Mikołajczyka czy Korbońskiego na temat kapturowych "rządów".

Jak już wspominałam, forma dziennika jest w W imieniu Kremla pełną mistyfikacją. Sam Korboński nigdzie

zresztą nie pisze, że źródłem jego książki jest autentyczny dziennik, czy kalendarz, bądźienne zapiski, które udało mu się wywieźć z kraju. Dlatego, gdy pod datą 29 VII 1945 znajdujemy zapis, że konduktor w tramwaju wziął od Korbońskiego pieniądze, nie dając mu biletu, z komentarzem: "trudno o lepszy łowód, że ludność obecny stan uważa za przedłużenie okupacyjnego", możemy założyć, że taki wypadek zdarzył się rzeczywiście któregoś dnia po wyjściu Korbońskiego na wolność, ale mógł to być dowolny dzień w sierpniu czy wrześniu ... O komentarzu - później.

System konstrukcji tekstu w oparciu o daty dzieńne na najpierw swe źródło w materiale z jakiego korzystał autor. Wszystko bowiem wskazuje na to, że w Zmieniu Kremła było pisane przy pomocy "Gazety Ludowej" - organu PSL. Dlatego na przykład wiadomość o aresztowaniu p. Jana Rzepeckiego, Delegata Sił Zbrojnych, a następnie prezesa WIN, zostanie podana wówczas, gdy Radziwicz poinformuje o tym fakcie podczas sesji KRN /28 IV 1946/, więc kilka miesięcy później. Jest absolutnie wykluczone, by Korboński w listopadzie 1945 r. nie wiedział, że nastąpiła wielka wycpa, w której wyniku prawie cały I Zarząd WIN znalazł się w ręku UB. I nie względy polityczne /ukrywanie kontaktów PSL z podziemiem/ tu decydowały; Korboński pisze o swych rozmowach z ludźmi z konspiracji, poza tym posiadanie informacji o aresztowaniu nie dowodziło związków z podziemiem, zwłaszcza, że Korboński Rzepeckiego znał osobiście.

Przykładem nonszalancji w operowaniu datami jest fragment opisu jazdy przez Dolny Śląsk w 1946 r. Korboński spędzali tam urlop. Oto pod datą 27 kwietnia - podkreślam, kwietnia - można przeczytać: "Opuszczone pola poroście wysoka, /gdy nie widziana przez mnie trawę, i ostami wzrostu człowieka. Ziemia wyzwolona spod ludzkiego jarzma wraca do dawnej dzikiej postaci. To już nie były Dzikie Pola, a prawdziwy step, taki jaki musiał być przed paruset laty." Dalej jest opowieść kierowcy, który widział dwie kobiety idące w zaprzęgu i ciągnące pług. We fragmencie tym przejawia się jednak nie tylko nonszalancja wobec kalendarza /trawa wysokości człowieka w kwietniu/, ale także wypaczająca rzeczywistość tendencja. Prawda, że liczba odłogów wiosną 1946 r. była wciąż bardzo duża, prawda też, że zdarzały się wypadki, iż ludzie ciągnęli pługi /często-ciej zaprzęgano krowy/, a przecież w sumie jest to obraz fałszywy, powstały przez zgeneralizowanie jednego z wielu składających się na całość fragmentów. Półprawda może być całym fałszem, obojętnie kto ją głosi, Korboński czy Putrament. Nawijając do tytułu, myślę, że byłoby bardzo niedobrze, gdyby z książek Korbońskiego, nawet z tej pierwszej, najwartościowszej, uczono

się historii tak, jak w pokoleniu naszych dziadków, a może i nie tylko dziadków, uczono się jej z Trylogii Henryka Sienkiewicza. Szczęściem pióro i nie tej rangi.

Koncentrowałam się dotąd na faktach, wydarzeniach. Ale poznanie historii nie ogranicza się do ustalenia faktów. Historycy, nawet wówczas, gdy dysponują obfitością dokumentów, sięgają do pamiętników, relacji i wspomnień. Kryje się w tym ogromne niebezpieczeństwo. Dwadzieścia lat temu pisaliśmy z Tomaszem Szarotą: "pełne przejęcie spojrzenia współczesnych jest równoznaczne z mniejszym lub większym wypaczeniem obrazu epoki /.../ niewłaściwie, mało krytycznie wykorzystany pamiętnik prowadzi bowiem do wypaczenia prawdy, a nie do jej poznania". W konkluzji stwierdziliśmy: "Gdyby ktoś zamierzał zahamować proces poznania historycznego, mógłby palić archiwa i pisać pamiętniki - a my jak wiemy w historii działa się i jedno i drugie." Wygłaszając taki sąd mieliśmy na uwadze przede wszystkim Wspomnienia ludowe starosty, W stołecznym Lublinie itp., ale istota sprawy pozostaje niezmienną. Na marginesie można dorzucić, że jeszcze większe niebezpieczeństwo kreowania historii przez pryzmat współczesności i tendencji, przyswieszcających badaczowi, kryje proces zbierania relacji. Przykładem manipulowania relacjami są rozmowy J. Ciechanowskiego z J. Bokszczaninem i J. Rzepickim, opublikowane w "Zeszytach Historycznych".

W książkach Korbońskiego, by do nich wrócić, szczególnie w dwóch pierwszych, wiele miejsca zajmuje atmosfera, koloryt, oczywiście ograniczony do środowiska, w którym się autor obracał. W okresie wojny będzie to konspiracja, po wojnie opozycyjna "Warszawka". Widzimy knajpy i kawiarnie, wysokie buty, modnie ubrane kobiety; komuś w knajpie wypada z kieszeni rewolwer; płynie wódeczka i bimberk. W Zakopanem większość lokali podupałke; panu Karasińskiemu jeszcze powodzi się nieźle, ale "panie, czy to człowieka cieczy, niech pan spojrz na salę, a zobaczy pan dla kogo się teraz gra. Hołota na hołocie siedzi i hołota pogania." Dowiadujemy się, że u "Jędrusia" były wprawdzie kwiczoły na zakąskę, ale sama knajpa opuszczoła, wygląda na stołówkę. I tak dalej. Utkana z materii dobranej przez Korbońskiego, a może c'bita przez pryzmat świadomości tego człowieka, rzeczywistość jest płaska. Daremnie doszukiwać się w niej problemów dnia powszedniego, ówczesnych dylematów, narodowego dramatu, ludzkich tragedii. Dodać tu można, że Zofia Korbońska założyła w tym czasie w Warszawie restaurację, o której ludzie ówczesnego podziemia mówią zgoła niepochlebnie, sam Karboński też nie cieszył się estymą w środowisku powojennej konspiracji, i to nie tylko

dlatego, że przeszedł do legalnej działalności. Czytając W imieniu Kremla można, jak sądzę, pojąć te animozje.

Problem mentalności, znajdującej wyraz w książkach Korbońskiego, to już pogranicze kolejnego zagadnienia: ideologii i kultury politycznej, jaką wyraża owa "trylogia". Celowo sięgam do terminu "trylogia", albowiem duch Sienkiewicza jest wszechobecny na kartach książek Korbońskiego; szczególnie pierwszej - W imieniu Rzeczypospolitej. Czytając tę książkę, której scenariem jest okupacyjna Warszawa, trudno się oprzeć porównaniom z Ogniem i mieczem. Bo Korboński nie przemilcza grozy, pisze o psach zagryzających ludzi, i ludziach, zachowujących się jak psy, ale o jego narracji można powiedzieć to samo, co o narracji Sienkiewicza napisał Aleksander Świętochowski, krew leje się jak wino z dzbanków. A na pierwszym planie jest wielka przygoda i krzepienie sero.

Stefan Korboński to ozkowiek inteligentny, myślący, ale we wszystkich trzech książkach razem wziętych znaleździemy może kilka stron, na których padają istotne pytania dotyczące polityki polskiej. A przecież to polityk, nie tylko organizator łączności radiowej z Londynem. Na marginesie procesu Laval'a Korboński napisze: "A nas jaka nagroda spotkała za to, że Polska Quislinga nie wydała? Gruzzy Warszawy, omentarz pod Monte Cassino i dowcip, że na pokazie skoczków w Anglii Polacy skooczyli bez spadochronu by zaimponować obcym. /.../ Gdybyśmy np. w naszej polityce częściej używali spadochronów, może wszystko wyglądałoby nieco inaczej. Ale muszę przerwać - kończy - bo złośliwy chochlik podszeptuje: a może ty sam też skakałeś bez spadochronu?" Cała trylogia Korbońskiego jest właśnie a_otezoą skakania bez spadochronu. Wątpliwości, refleksje, polityczny rachunek nie mogą się przebić przez pokłady głęboko zakodowanej w mentalności autora postawy "wpiersw walczyć, potem myśleć".

Nie tylko zresztą autora. Książki Korbońskiego wyrastają ze zbiorowej mentalności narodu, który raz po raz znajdując się w sytuacji bez wyjścia, stojąc wobec tragicznej deville alternative, kiedy nie było rozwiązania nie pociągającego katastrofy, rezygnował, może nawet musiał rezygnować, z logiki, z racjonalnego myślenia, by bronić wartości podstawowych dla swego istnienia jako narodu. Znamienna jest recenzja Lechońa z W imieniu Rzeczypospolitej, która ukazała się w "Wiadomościach" 20 maja 1956 r., tuż przed tragiczną śmiercią poety. Lechoń, oddzielony Atlantykiem od walczącej Warszawy i z oddali przeżywający tragedię Powstania, jest porwany opowieścią Korbońskiego o powszechnym bohaterstwie konspiracyjnych chłopców i dziewcz-

czyn, robotników i adwokatów, lekarzy i profesorów uniwersytetu. Wie zarazem, że nie wolno kwitować patriotyczną egzaltacją ogromu strat, jakie Polska, a szczególnie Warszawa, poniosły wskutek tej powzechności konspiracyjnego działania. Nie przesądza otwartości sporu, czy wszystkie poniesione przez nasz kraj ofiary były niezbędne, zwłaszcza czy "nie było rzeczą przywódców ruchu podziemnego rozważyć lepiej możliwość udania się Powstania Warszawskiego i szans gwarantowanej zdawałoby się honorem naszych sprzymierzeńców ich pomocy". Dla Korbońskiego ten problem zdaje się nie istnieć. Poczucie odpowiedzialności przesłaniają mu inponderabilia. Analizując przyczyny wybuchu walk w Warszawie, a raczej ukazując konieczność Powstania, mówi o godności i dumie narodowej, pomijając argumenty racjonalne, uzasadniające decyzję podjętą przez dowództwo AK i polityczne kierownictwo Państwa Podziemnego. A takie argumenty były: radiostacja Kościuszko wzywała do Powstania, zza Wisły dobiegł odgłos radzieckiej artylerii, Niemcy cofali się, zamach na Hitlera mógł spowodować pełne załamanie Niemiec, a Stalin i propaganda radiecka głosiły, że w Polsce nie ma żadnego ruchu opoza komunistami, reszta to tylko bandy mordujące komunistów. Cała konspiracja była przez 4 lata nastawiana na powstanie w decydującym momencie - wszystko zdawało się wskazywać, że taki moment właśnie nadeszedł. Unikając walki, AK narażała się na to, że zostanie przez komunistów oskarżona o zdradę, współdziałanie z Niemcami, itp., co skłusnie podnosił gen. Okulicki w liście, który w listopadzie 1944 r. zabrał ze sobą "kurier z Warszawy" - Jan Nowak-Jeziorański. Od takich oskarżeń nie uchroniły zresztą Armii Krajowej nawet owe tragiczne dwa miesiące bohaterkiej walki, której zza Wisły przyglądali się Sowietci. Borowi-Komorowskiemu zarzucano na przykład w jednym z pism wychodzących w Lublinie, że dwukrotnie zdradził naród polski: kiedy podjął walkę w Warszawie, i kiedy oddał Warszawę Niemcom. To nie o honor i dumę narodową szło, a w każdym razie nie tylko o honor i dumę. Niezależnie od skutków Powstania /wielka liczba ofiar, zniszczenie miasta, którego być może udałoby się uniknąć, rozbitcie najsilniejszego ośrodka konspiracji, nastroje pokłeskowe, spadek oporności społeczeństwa wobec tworzącej się władzy komunistycznej/ zaniechanie tej walki pociągnęłoby zsa sobą następstwa jeszcze bardziej tragiczne. Nawet wówczas, a już na pewno, kiedy rozpatrujemy Powstanie Warszawskie w kategoriach długiego trwania.

Myśli politycznej nie znajdziemy w żadnej z książek Korbońskiego. Nie ma jej także w W imieniu Frejma. Doremnie czytelnik będzie unikał wyrobić

sobie pogląd na taką podstawową kwestię jak cel, ku któremu zmierzał Mikołajczyk, założenia jego polityki, czy szerzej, polityki PSL. Bez odpowiedzi pozostaną pytania: czemu miała służyć walka jaką podjęło PSL? Jakiego wyniku tej walki oczekiwano? Na jakich sprzymierzeńców liczone? Zamiast tych problemów mamy obrazki, w których groza miesza się z groteską. A pisze to - powtórzyć wypada - nie dziennikarz, a polityk, który w tym czasie w hierarchii PSL zajmował miejsce dosyć wysokie. Korboński ucieka od myślenia politycznego w emocje, czy to będzie patos patriotyczny, czy pogarda i nienawiść do komunistów, do Rosjan, a nawet do ludzi z tzw. dóków społecznych. Bardzoż smutną pogardą nie nienawiść, bo sam Korboński nie jest człowiekiem nienawistci. Oto co pisze o ludziach rasyjskich: "Dziwny to rodzaj człowieka. Z jednej strony zdolny do tak dalekich wybryków, że zmusza do pytania czy to ludzie czy zwierzęta. Dla nich zabić bez powodu człowieka to tak jak dla innych zapalić papierosa. Trzeba jednak przyznać, że jak ich zabijają, np. w bójkach pijackich, to nie robią z tego ceregieli i o żadnych zbiorowych represjach a la hitlerowskie nie ma mowy. Zginą, koniec i basta /.../ dobre serca, dobroduszy, nawet dziecinni. Mnie przede wszystkim ich żal, szczególnie gdy są zażenowani i onieśmieleni, np. nigdy niewidzianym przedmiotem lub nożem i widziałem przy stole."

Korboński - działacz ludowy - pełen jest wgardy dla tego wszystkiego, co się zawiera w pojęciu awans społeczny. Dyskuszje, czy w latach 1944-45 w Polsce dokonała się rewolucja, pozostają w moim przekonaniu całkowicie jałowe, jeżeli nie uzgodniony język, jakim się posługujemy, i znaczenia podstawowych pojęć. Gdy przez rewolucję rozumieć zmianę układu wielkich grup społecznych, wypadnie stwierdzić, że występowały w tym czasie zdeformowane elementy rewolucji. Otóż stosunek Korbońskiego do ludzi "z awansu" jest mniej więcej taki, jak dygnitarzy obecnego komunistycznego establishmentu do Wałęsy czy Bujaka. Wystarczy przypomnieć wywiad Rakowskiego w "Spieglu" /czy "Sternie"?, lub jego wystąpienie w Stoczni Gdańskiej. Lekoważenie i pogarda. Korboński będzie opisywał jak to "pan premier /Osóbka Morawski - KK/ się bawi", jak jeździ na nartach. "On jest powodem - stwierdził - dla którego lansuje powłędzenie, że nadeszła era pisarzy gminnych i nauczycieli ludowych." Moczars to "goźbiarz, koniokrad i roznośiciel węgla z Bałtu w jednej osobie." Cokolwiek o Osóbce Morawskim i Moczars można powiedzieć złego, trudno przyszkoby podpisać się pod zdaniem: "Tysiące takich, gotowych zamordować ojca i matkę dla utrzymania tego, co zdobyli, tworzy te wielkie kohorty pretorianów, na których opiera się nowy

system" który same PSL tak widziało ówczesną rzeczywistość, musiałoby przegrać, nawet gdyby wojska radzieckie opuściły Polskę, a Stalin przestał się interesować sprzysiężkami polskimi. Korboński nie dostrzega, że ciążąc od "rewolucji" narzuconej przez komunistów, w Polsce barastał głęboki nurt przemian społecznych, że nastąpiło owo "przesunięcie światopoglądów w lewo", o którym pisał Bór-Komorowski w depeszy do Londynu wiosną 1944 r.

Wadziwostek myślenia w kategoriach polityki odczuwa się szczególnie w ostatniej książce, W imieniu Polski Korbonskiej. Pisząc o swojej walce "o wolną i niepodległą", Korboński miał obowiązek odpowiedzieć na podstawowe pytanie: jaki był w tym czasie stosunek rządów, wówczas rząd amerykański, do sprawy polskiej. Nie ten deklarowany ustami senatorów i prezydentów, lecz realizowany przez odpowiednie agendy rządowe. Nie wspomina - być może nie wie - o serii rozmów przeprowadzonych przez Departament Stanu z polskimi przywódcami politycznymi, Stanisławem Bieleckim, Stanisławem Mikulajczykiem, Janem Wszelakiem wiosną 1949 r. w związku z reformacją Komitetu Wolnej Europy, chociaż o samym Komitetzie pisze dosyć obszernie. Ani razu w książce nie jest staże problem wagi karty polskiej w polityce amerykańskiej. A przecież trudno wyobrazić sobie, by sam Korboński nad tym się nie zastanawiał. Amerykańska polityka była zresztą dosyć przejrzysta. Dał jej wyraz dyrektor Biura Spraw Europejskich w Departamencie Stanu, w rozmowie z Janem Wszelakiem mówiąc: "Ciel ostateczny USA to wyzwolenie Polski i przywrócenie jej niepodległości. Ale nikt nie wie, ile czasu zajmie realizacja tego celu. Tymczasem Amerykanie pragną, by wszelkimi środkami skłonić Polaków do zachowania nadziei na ewentualne uwolnienie spod obcej dominacji, bykoby bowiem niepożądane, by popadli w samą siebie apatię" /30 III 1949/.

Wskłoniony do politycznego myślenia, jest też Korboński pozbawiony poczucia odpowiedzialności za swój, który przecież stanowi przedmiot jego działania jako polityka. By jeszcze raz odwołać się do tekstu, tym razem W imieniu Kremla. Wracając samochodem z pogranżu Włosa Korboński, Bryja i Wójcik spotykają odwrócić "leśnych". Boją się prowokacji, przyspieszają, gwałtowniej dowiadują się, że owi leśni ochcieli jedzenia. A oto komentarz Korbońskiego: "tragedia rozgrywająca się na ziemiach polskich, której na imięagonia podziemia. Po niezliczonych polskich lasach błąką się niedobitki zbrojnych oddziałów z orłami na czapkach, z rygnętymi na piersiach, nie pogodzone z przegraną, walczące z zaciętymi zębami o głódzie i chłódzie, już tylko dla honora, dla protestu, bez nadziei na zwy-

ciężstwo, same i opuszczone. Ni to zakon rycerski, ni to banda wydziedziczonych, zmuszona głodem do wytawania po drogach." Dyskutują jak ich ratować. "Sprawa oglądana z każdej strony miała w kraju jedno tylko rozwiązanie - ujawnienie, czyli w języku urzędowym amnestia, poza tym nic. Westchnąłem głęboko i powtórzyłem raz jeszcze - Bóg z nimi." To pisał człowiek, który kilka miesięcy przed owym spotkaniem był Delegatem Rządu, członek władz opozycyjnego PSL. WIN przynajmniej próbował szukania innej drogi niż amnestia z jednej strony, a kontynuowanie szbrojnej konspiracji z drugiej. Chciał umożliwić ludziom "z lasu" powrót do normalnego życia, do pracy lub nauki, przerzucając ich w inne rejony kraju, dostarczając nowych dokumentów, itp. A Korboński: "Bóg z nimi". Nieważne przy tym, że taka była rzeczywistość jego reakcja ową jesienią 1945 r. Opisana scena ilustruje właściwą Korbońskiemu politykowi postawę niefrasobliwości. Przypomina się w tym miejscu wiersz Mitosza do polityka:

Kto ty jesteś człowieku - zbrodniarz czy bohater
Ty, którego do czynu wychowała noc
Ojc dziecka i starca w ręku dzierżysz los

/.../

Czy obróciłeś w popioły miasto czy ojczyznę?
Stój, zadrzyj w sercu swoim, nie umywasz rąk!
Nie oddawaj wyroku niespełnionym dziejom
Twoja jest waga i twój jest mioc,
Ty ponad ludzką troską, gniewem i nadzieją
Ocalasz albo gubisz pospolitą rzecz.

Długo można by ciągnąć rejestr krytycznych zastrzeżeń wobec książek Korbońskiego, które zaliczyłabym do gatunku prozy z pozoru dokumentalnej, w rzeczywistości zaś mitotwórczej. A mit to niedobry, choć zakorzeniony w polskiej kulturze politycznej. Przez to aresztą tym bardziej może być niebezpieczny, gdyż utrwała istniejące stereotypy myślenia, podsyca postawy irracjonalne. Mit niedobry także i z innego powodu. Przynależność Korbońskiego do ruchu ludowego, jego opozycyjność w okresie rządów przedwreszniowych, działalność w PSL kazałyby widzieć w nim człowieka lewicowy. Prawda, że znaki lewicy, prawica całkowicie się w ostatnim czterdziestoleciu pomieszały, komuniści realizują program prawicy, narodowcy opowiadają się za niektórymi hasłami lewicy, tym nie mniej istnieje nadal określony zbiór wartości, które cechują postawę lewicową. Bezpośrednio po wojnie sytuacja pod tym względem była jeszcze znacznie bardziej jednoznaczna.

Korboński w swych książkach nie jest ani enkwielikiem lewicy ani prawicy, jest przede wszystkim *bon vivantem*, który przeżył wspaniałą okupacyjną przygodę w konspiracji, dzień po dniu naratająco życie, a potem prowadzi wygodną egzystencję, podróżuje, jest przyjmowany przez możnych tego świata, służąc sprowadzonej do buska idei: uwolnienia Polski spod jarzma rodzimych i obcych komunistów.

Może my - Polacy jesteśmy skazani na życie w kręgu mitów, a logika zbyt często zawodzi w sytuacjach, w jakich się znajdujemy. Myślę jednak, że po pierwsze winny być zachowane pewne proporcje między racjonalnymi i irracjonalnymi pierwiastkami, po drugie zaś - są mity płaskie i mity głębokie. Przetrwaniu kulturowej tożsamości służą zarówno jedne, jak i drugie; natomiast przewaga mitów sprymitywizowanych grozi sprymitywizowaniem owej narodowej kultury, którą pragniemy uchronić.

Krystyna Kersten

W ŚWIECIE POWIEŚCI KUNDERY X

Niemal od momentu swoich narodzin powieść spotykała się z fatalną wróżką dotyczącą jej przyszłości: podobnie jak istota ludzka miała ona u swojego kresu, bliżej zresztą nieokreślonego w czasie, spotkanie śmierci. Miała zostać unicestwiona fizycznie - jako gatunek, który zginie - oraz moralnie: rezygnacja z misji, która przynosi do podtrzymywania inwencji poznawczej, skoro jej wyjątkową ambicją nie miało być tylko opisywanie rzeczywistości. Kwestionowano również dobre intencje powieści: jak pamiętamy, zazwyczaj ona swoje życie jako rozrywkowa czytelnika ma do wybrednego, miała więc być i dążyć do dystrakcji dla niekwalifikacji najlepszego towarzyszka; potem miała wychowywać /nie każdy to lubi/, potem przeżyć swój piękny wiek eksperymentu, ale jednocześnie nie być on wiekiem dojrzałego rozumowania; wiadomo już było bowiem, że żadna piękna forma nie jest niezniszczalna, i doskonała twarz powieści zaczęła się jak gdyby na oczach czynnego czytelnika starszego, deformować, pokrywać zniekształceniami, ha, nawet - chociaż brami to okrepnie - rozpadać. Z niegdyś istniejącej pewnej siebie odkrywczyni nowych światów zaczęła się zmieniać w bezkształtną staruchę. Jej forma uległa więc całemu posuniętych przeliczonościom. Pisarka w dalszym ciągu sączyła jednak: czy powieść zginie? - ale w niej życie wciąż istnieje i nie pozwala rozpaść się w proch formie. Podobnie jak inni współczesni pisarze zadaje to pytanie również Kundera i jego odpowiedź chciałabym tutaj opisać.

Kundera odpowiada na to pytanie w dwojakim trybie: teoretycznie i praktycznie. Zawsze, rzecz jasna, odpowiedź praktyczna, czyli po prostu konkretna książka, jest tą odpowiedzią najistotniejszą. Ale nie tak często z kolei powieściopisarz zapoznaje nas ze swoją teoretyczną świadomością i dlatego o niej słów parę. Powiem od razu, iż nie przekonały mnie do końca, jako wywód myślowy, niektóre uogólnienia Kundery. Z drugiej strony są one niezmiernie ważne dla jego realizacji powieści-

x/ Referat wygłoszony w Krakowie. Tekst przepisany z nagrania magnetofonowego bez wiedzy autorki.

ślowych, nie sposób więc udawać, że nie istnieją. Kundera powiada tak: "Ja również kiedyś uważałem, że jedynie przyszłość może być kompetentnym sędzią naszych czynów. Dopiero później zrozumiałem, że flirt z przyszłością to najgorszy rodzaj konformizmu; tchórzliwe schlebienie silniejszemu. Gdy przyszłość jest zawsze silniejsza niż teraźniejszość. W rzeczy samej to ona osądzi i na pewno bez żadnych kompetencji. Ale jeśli przyszłość nie przedstawia dla mnie żadnej wartości, do czego zatem jestem przywiązany: do Boga? do ojczyzny? do narodu? do jednostki? Moja odpowiedź jest równie śmieszna jak smoczera: nie jestem przywiązany do niczego z wyjątkiem lekceważonego dziedzictwa Cervantesa."

Nie jest to bynajmniej wyznanie nihilisty. Kundera, wolno sądzić, chce nam zasugerować, iż operuje - by tak rzec - na szczególnych pograniczeniach; mówiąc bowiem o Cervantesie przywołuje najpierw powieść swoiście rozumianej przygody /tak, jak w epoce Don Kichota można było o niej pisać/, dalej: prozę, opartą na określonej strukturze przeciwieństw, prozę antynomii - ironii i powagi, lekkości i ciężaru, śmiechu, który wyswala, i wreszcie prozę, w której narrator panuje nad swoim światem i nie daje mu się omamić i zniewolić. Gdyby więc tak rozszyfrować owo enigmatyczne dosyć "dziedzictwo Cervantesa" istniałoby ono, na pewnych warunkach, w powieściach samego Kundery. Oczywiście, akceptacja dziedzictwa nie oznacza, iż kapuje się je na własny użytek wraz z całym doborczyństwem inwentarza. Ale obowiązek odkrywczości dla powieściowego gatunku jest w umiarkowaniu i działaniu Kundery owym najważniejszym, powtarzającym się rozkazem, jaki pisarz sam sobie wydaje. Pojęcie przygody ma wiele znaczeń i cała ta wielość daje się odczytać w prozie Kundery. Zanim jednak o tym, jeszcze jeden cytát:

"Wydaje mi się tylko, że wiem, iż powieść nie może dłużej harmonijnie współżyć z duchem naszych czasów, jeśli chce nadal odkrywać to, co nie zostało dotąd odkryte; jeśli chce nadal robić postępy jako gatunek, może to osiągnąć jedynie wtedy, jeśli przeciwstawi się postępowi świata."

Pisarz, i to bardzo zdecydowanie, mówi w tym fragmencie, że jest przeciwny terrorowi tych wszystkich teorii, które nakazane w dziedzictwie wieku XIX-go, oparte są na przeświadczeniu, iż ludzkość, a wraz z nią różnorakie jej wytwory, w tym również literatura, najwięcej zawdzięczają determinacjom ciężkiego doskonalenia się. Bez wątpienia, daleki przyszłość, ale wciąż słyszalny głos XIX-go wieku wybija się w tym przeświadczeniu. Drabina postępu zdaje się występować wprost do

nieba i kroczą po niej, twórca mógł zapewnić sobie coś na kształt zarówno nieśmiertelności, jak doskonałości. Był to również optymistyczny głos zachodnich demokracji - zanim mogły one zobaczyć, iż w tym euforycznym pochodzie do przodu, zawsze naprzód, niepówtarzalność jednostki może zostać zdeptana. Kundera więc należy do tych, którzy odczuli zdżudzenia postępu, a także zdżudzenia demokracji. Paradoksalnie zaś - odczuli je wtedy, gdy doświadczyli totalitaryzmu, zniewolenia umysłu i ducha, deprawacji przez politykę. Inaczej wolno by powiedzieć, iż w tym, co mówi nam Kundera dyskursywnie, tkwi ziarno postawy konserwatywnej, w bardzo oczywiście szerokim jej rozumieniu. Jeżeli więc ludzkość mogłaby się doskonalić i przekształcać /a to jest wątpliwe/, to w każdym razie w obrębie pewnych konstant egzystencjalnych. Jednostka tylko w konfrontacji z nimi może doświadczyć własnej tożsamości. Konstanty te byłyby następujące: śmierć, miłość, a także - do pewnego stopnia - filozofia, jako naturalna konsekwencja przeżycia pierwszych dwóch stałych punktów. Nie sposób w tym miejscu nie zauważyć, taka uwaga w każdym razie nasuwa mi się nieodparcie, jak bardzo przypomina Kundera Witkacego. W swoim geście antydemokratycznym; w pesymizmie cywilizacyjnym; wreszcie w tragicznym widzeniu sprzężenia sił napędowych istnienia poszczególnego: śmierci i miłości erotycznej.

Popatrzmy teraz, na czym polega Kunderowski widzenie naszych czasów, pojmowanych jako pewna oskość, widzenie, które - co wydaje mi się bardzo ważne - nie zostało zdeformowane przez sytuację szczególną Kundery /czyli sytuację pisarza, który wyemigrował z obozu wachodniego/. Oto odpowiedni fragment pochodzący z ostatniej powieści: "Zródkiem kiczu jest autorytatywna zgoda na byt. Ale co jest podstawą bytu? Człowiek? Walka? Miłość? Męczyzna? Kobieta? Poglądy na to są różne, i dlatego różne są kicze: katolicki, protestancki, żydowski, komunistyczny, faszystowski, demokratyczny, feministyczny, europejski, amerykański, narodowy, internacjonalistyczny. Od czasów Rewolucji Francuskiej jedna połowa Europy nazywa siebie lewicą, gdy tymczasem druga oznacza się mianem prawicy. Jest niemożliwością zdefiniowanie którejkolwiek z nich na pomocą jakiejś wspólnej zasady teoretycznej. Nie ma w tym niczego dziwnego: ruchy polityczne nie opierają się na racjonalnych zasadach, ale na wyobrażeniach, obrazach, słowach, archetypach, które wspólnie tworzą ten czy inny polityczny kicz. Wizja Wielkiego Marszu, którą tak upajał się Franz, jest politycznym kiczem łączącym lewicowców wszystkich czasów i orientacji. Wielki Marsz to wspaniała droga naprzód,

poohód ku braterstwu, równości, sprawiedliwości, szczególności i jeszcze dalej, przez wszystkie przeszkody, albowiem przeszkody muszą być, jeśli marez ma się stać Wielkim Marszem. Dyktatura proletariatu czy demokracja? Niezgoda na społeczeństwo konsumpcyjne czy wzrost wydajności pracy? Gilotyna czy zniesienie kary śmierci? To w ogóle nie jest ważne. Prawdziwego ośkowieka lewicy poznaje się nie po takiej czy innej teorii, ale po jego zdolności przekształcenia każdej teorii w element kiozu zwanego Wielkim Marszem naprzód."

Ta gra przeciwieństw stała się czysto werbalną zabawą z tego również powodu, że historyczna równowaga Europy została przekreślona w sposób brutalny, wymierzony przeciw jej tradycji, podcinający jej korzenie. Korcie tej tradycji wiąże się z przesunięciem punktu ciężkości równoważącego Wschód i Zachód. Pojęcie Mittelenuropy, wciąż godne ożywienia, utraciło swoją rację bytu. Mówią o niej Kundera: "W rozumieniu historii kultury - Europa Wschodnia to Rosja, z jej szczególną historią, zakotwiczoną w świecie bizantyjskim, Czechy, Polska, Węgry, tak samo jak Austria, nigdy nie były częścią Europy Wschodniej. Od początku uczestniczyły w wielkich przygodach zachodniej cywilizacji - z jej gotykami, renesansem, z jej reformacją - ruchem, który miał swą kolebkę dokładnie w tym rejonie. To tutaj właśnie, w Europie Środkowej, kultura współczesna znalazła swoje najpotężniejsze impulsy: psychoanalizę, strukturalizm, dodekafonię, muzykę Bartoka, nową estetykę powieści Kafki i Musilla. Powojenna aneksja Europy Środkowej /a przynajmniej jej większej części/ przez cywilizację rosyjską sprawiła, że kultura zachodnia utraciła żywotny środek ciężkości. To najbardziej znaczące wydarzenie w historii Zachodu w naszym stuleciu i nie można wykluczyć możliwości, że koniec Europy Środkowej oznacza początek końca całej Europy."

Warto więc zastanowić się nad tym - pytano o to Kunderę - czy jest on katastrofista i co stanowi przedmiot jego kulturowego pesymizmu. Doświadczenie katastroficzne pisarza sycylika XX-go wiek - zmienilo czy wiole /jak to widać w przytoczonym w/zej fragmencie/ swoją merytoryczną zawartość w porównaniu z katastrofizmami "historycznymi" - a więc XIX-wieczny, czy też poprzedzającym drugą wojnę światową. Ale pewne jego elementy zachowały się, być może można by je należało za trwałe wyposażenie katastroficznego umysłu. Należy do tego wyposażenia, jak sądzę, głos ostrzegający przed skutkami totalizmów, lęk przed zamknięciem doświadczenia ludzkiego w ciasnym kręgu starsotypów /jak chociażby stereotypowo rozumiana przynależność do

lewicy czy prawicy/, wreszcie - dla Kundery szczególnie to ważne - odebranie prawa do wyboru postawy wobec świata /ironia, śmiech/. Śmiech obronny wieści się zresztą jak najlepiej w takim modelu świadomości katastroficznej, który w literaturze polskiej na przykład nazywano katastrofizmem buffo, a któremu Kundera wydaje się bliżki.

Zaś ten zupełnie nowy dotyczy właśnie kulturowych skutków rusyfikacji Europy Środkowej. Jeżeli przewidywał je niegdyś Witkacy, nie wiedział, rzecz jasna, jakie kształty konkretne proces ów przybierze. Dla Kundery jest to doświadczenie osobiste, kształtujące jego światopogląd, w którym nie tylko Europa Środkowa czeka na swój ostateczny koniec; wraz z nią bowiem obumiera Zachód niby organizm pozbawiony jednego z organów zapewniających życie /nawiasem mówiąc, jest to jeden z kluczowych problemów esesistyki Stempowskiego-Hostowca/.

Zaczęliśmy od powieści jako formy. Gdy spojrzeć pod tym kątem na oszytą dorobek Kundery, okazuje się on przejrzystą i czytelną ilustracją domniemań teoretycznych pisarza. Zart /1967/ sytuuje się jakby w połowie drogi między wymaganiami gatunku wywodzącymi się z jego przyczynowo-skutkowej, czyli realistycznej genealogii, a podejmowanymi już próbami odchodzenia od niej. Walo pożegnany /wydany już na emigracji/ - moim zdaniem szabsza spośród powieści Kundery - ukazuje swą istną dezynwolturę pisarza, który chce pokazać, iż k a ż d y pomyśl, nawet psychologicznie nieprawdopodobny, uprawdopodobnia się poprzez sugestię /a więc również cię k reacyjną/ powieściowej fikcji. Realizacja jednak nie sprostała tutaj założeniu; a Kundera postępuje w Walu /z czytelnikiem, rzecz jasna/ 'ro' jak uczeń, któremu nareszcie wszystko wolno, i oszczędnie wykorzystuje swoje nowe prerogatywy.

Inaczej w Księdze śmiechu i zapomnienia. Ta powieść, pozornie amorficzna, zbudowana z epizodów /łączonych przecież wspólnymi postaciami/ ukazuje już pełnię możliwości pisarskich Kundery. O dwóch jej punktach warto tutaj powiedzieć. Pierwszy to konsekwentnie przez pisarza stosowana "technika obronnego śmiechu". Posługuje się nią Kundera zarówno na planie światopoglądowym, jak i tam, gdzie poddaje analizie swoich bohaterów. Plan światopoglądowy, zorganizowany przy pomocy tej techniki, dałby się tłumaczyć tak: śmiech może posłużyć jako antidotum wobec powagi i jednoznaczności totalitaryzmu. Nie tylko więc strach i obrzydzenie - ale również powaga prześmiewcy, ba, czasem prześmiewcy karanawałowego i rubasznego. Nie bez powodu zatem Kundera wymienia Rabelaisa jako

jednego ze swoich ulubionych pisarzy. Sprawa druga : plan kreacji. Rozgrywa się na nim historia Taminy na wyspie dzieci, okrutna i przykuwająca, kończąca się śmiercią bohaterki. Ten świat osobny przywodzi na myśl zarówno Lewisa Carolla jak Goldinga. I jeszcze pewnie Swifta - Tamina jest po trosze Gulliwerem wśród Liliputów. Tak więc najznakomiteza tradycja prozy angielskiej odezwiwie się u Kundery, nie odejmu-
jąc mu, rzecz jasna, oryginalności.

Ostatnia powieść Kundery - Nieznosna lekkość bytu - sumuje jego dotychczasowe doświadczenie pisarskie. Chociaż odżegnuje się on zarówno od realizmu /bo ta technika związana była przecież silnie z optymistycznym światopoglądem XIX-go wieku/, jak i od skrajnego awangardyzmu, jedno można stwierdzić na pewno: powieści Kundery opowiadają konkretne historie, relacjonują wydarzenia, śledzą perypetie bohaterów, ocenniają je. Powieściakom: powieści opowiadają... a więc jak gdyby wczesniej założyła tezę o samodzielności i wyłączności ich świata przedstawionego. Widzę jednak, iż założenie to należałoby ekorygować. Bowiem Kundera -autor, Kundera-narrator nie ukrywa się jednak poza obiektywnym universum powieściowym, to znaczy nie pozostawia mu pełnej swobody. Kontroluje je, podpatruje, kieruje nim. Cóż za staroświecki chwyt: autor nie maskuje swoich działań, mówi wprost w pierwszej osobie, już na samym początku książki powiada : "Pyszę o Tomaszu już od wielu lat. Ale dopiero w świetle tych rozważań zobaczyłem go jasno. Widzę go stojącego w oknie i patrzącego przez podwórko na ścianę przeciwległej kamienicy. Nie wie, co robić."

Historia Tomasza i jego żony Teresy rozpoczyna się w jakimś przypadkowym - z punktu widzenia techniki powieści - momencie czasowym, rozpoczyna się spontanicznie i nagle, jest jedyna i niepowtarzalna, i chociaż na jej bieg wpłyną również wydarzenia zewnętrzne, to przecież nigdzie wczesniej nie została ona w żadnym trybie zapisana ani przewidziana. "Jeśli sekunda naszego życia miałyby się powtarzać w nieskończoność byłibyśmy przykuć do wieczności jak Chrystus do krzyża. Takie wyobrażenie jest straszne. W świecie wiecznego powrotu na każdym geście kładzie się ciężar nieznosnej odpowiedzialności. Dlatego też Nietzsche nazwał ideę wiecznego powrotu najcięższym brzemieniem" - czytamy. A więc nie ma również arche-
typu, nie ma wzoru? Jesteśmy skazani na siebie i sami musimy znaleźć sposób na przeżycie własnego życia. Wobec takiej tragicznej konieczności ustawia Kundera swoich bohaterów i o tej konieczności pisze powieść. Tomasz i Teresa mieszkają w Pradze, on jest znanym i

wybitnym chirurgiem, ona najpierw kelnerką, potem fotoreporterką. Inwazja roku 1968 i następujące po niej represje, przejmując zrelacjonowane przez Kunderę, powodują stopniową degradację ich egzystencji. Tomasz decyduje się na emigrację i wyjeżdża do Szwajcarii, gdzie pragnie w swoim zawodzie. Ale gdy Teresa postanawia nagle opuścić Szwajcarię i wrócić do Czech, Tomasz podąża za nią. Następne lata ich życia, tak, jak pokazuje je Kundera, są przykładem stopniowego, ale nieodwracalnego pozbawiania jednostki jej właściwości w warunkach politycznego zniewolenia. Odjęta jej zostaje wolność przekonań, prawo wykonywania zawodu, stopniowo wyrzeczona zostaje na margines życia, które trwa i toczy się dalej, choć zdawać by się mogło, iż nie ma po temu moralnego prawa. Trwa akcja wymienia-
nia ludzi, bowiem następców nie brakuje. Kundera ukazuje nieunikloną psychologiczną degradację tych, którzy zdecydowali się odejść za wszelką cenę. Ukazuje, jak wpędzano ich w pułapkę bez wyjścia. Tomasz w efekcie pracuje jako pomywacz okien, Teresa wraca do zawodu kelnerki. Bowiem, jak pisze Kundera, największy terror rozpoczyna się dopiero w cztery lata po inwazji, i wszelkie optymistyczne złudzenia upadły wtedy ostatecznie. Tyle na bardzo ograniczonym planie fabuły - ograniczonym do dwóch tylko postaci.

Ale, jak już wcześniej powiedziano, swoistość jednostki jest według Kundery wynikiem jej wewnętrznego systemu wartości. Opiera się na dwóch fundamentach: Erosie i Thanatosie. Nie bez powodu mówię tak właśnie, omijając określenia w naszej epoce częściej używane i bardziej, by tak rzec, funkcjonalne: seks i poczucie śmiertelnego zagrożenia. Kunderze chodzi bowiem o połączenie do pewnego stopnia mitologiczne, do pewnego zaś egzystencjalne. To są punkty twarde i niezmiennie w psychice jego bohaterów, ale zawsze występujące razem: nieustanna pogoń Tomasza za kobietami to jednocześnie ucieczka przed śmiercią, ucieczka niendana, bezsensowna, absurdalna. Można by wręcz mówić o Kunderowskiej fenomenologii śmierci, tak silny jest jej udział w problematyce powieści.

Historie bohaterów są natomiast owym odkryciem powieściowym, na którym pisarzowi tak zależy. Są one niepowtarzalne, co podkreślone zostaje między innymi przez zabieg zerwania z logiczno-przyczynową i czasową ciągłością powieści. Życie Tomasza i Teresy kończy się równie nagle, jak rozpoczęła się ich historia, informacja o ich śmierci pojawia się w tyle jakim miejscu powieści, potem dopiero zostaje powtórzona i poszerzona. Kundera nazywa tę technikę wariacjami, odwołując się do wzoru muzycznego.

Kiedy zastanawiałam się nad ostatnią powieścią Kundery, ściślej zaś mówiąc, nad dominującym w niej obecnym tonem tragicznym, przyszedł mi na myśl aforyzm Simone Weil wykorzystany prawie dosłownie przez Miłozę w Gdzie słońce wschodzi i kedy zapada. Brzmi on: "Życie niemożliwe, ale było znoszone". Oczywiście należałoby intuicję porównawczą rozwinąć i udowodnić. Jeżeli podobne - to byłby Kundera potomkiem takiego właśnie egzystencjalizmu, kontynuatorem przeświadczenia, iż świat pozbawiony Boga i wydany na pastwę determinizmu i popędów, że taki świat jest nie-do-zniesienia? Sądzę, iż warto byłoby nad tym pomyśleć.

Czas na konkluzję. Niestety, powieści Kundery mają to do siebie, iż są przekorne. Nie pozwalają się przyezpilić, nie chcą się dać opracować w stosownym języku interpretacyjnym. Takie w każdym razie niewygodne uczucie towarzyszyło mi podczas ich lektury. Na różnych swoich poziomach, wtedy więc, gdy są lekkie i pobudzają do śmiechu, i wtedy, gdy są poważne i ciężkie; nieznośne do zaakceptowania, żyją własnym życiem, życiem fenomenu nie do opisanego.

Ale - odpowiadają one na cztery podstawowe spele gatunku, na które Kundera jest szczególnie wrażliwy. Są to zaś: apel gry /czyli apel Diderota/, apel snu /czyli apel Kafki/, apel myśli /czyli apel Musila i Brocha/, wreszcie apel czasu.

I chyba dlatego między innymi Kundera nie został tylko jednym z wielu pisarzy emigracyjnych. Myślę, że jego uniwersalność wyznacza jakąś nową drogę dla wciąż skazywanej na śmierć powieści.

ARCHIWUM

Jak wiadomo, w ustroju socjalistycznym archiwa, szczególnie zaś dotyczące dziejów najnowszych, otaczane są szczególną opieką nie tylko Ministerstwa Miłości, lecz wręcz samej Partii. Dowodem choćby fakt, iż Biuro Polityczne na jednym ze swych posiedzeń obradowało właśnie nad sprawą archiwów. O czym można przeczytać w "Trybunie Ludu" z właściwej środy.

Nie znamy tekstu podjętej na tym posiedzeniu uchwały, ale możemy założyć, że archiwista rewolucyjny to taki, który jeśli nawet nie niszczy i nie przerabia, to w każdym razie starannie zataja. Stąd wniosek, że archiwista kontrrewolucyjny to taki, który ujawnia.

Przekazujemy dziś czytelnikom spisany z taśmy tekst rozmowy dwóch ogniów kolegów uniwersyteckich: Zbigniewa Kubikowskiego, zmarłego sekretarza Związku Literatów Polskich, oraz Jacka Trznadla. Nagranie dokonane zostało 4 sierpnia 1981 r. Nie jest to całość rozmowy, co wynika z pierwszego zdania oraz z zaznaczonej w zakończeniu luki. Źródłem tych braków są wady nagrania. Publikując to, co pozwalamy sobie nazwać Taśmą Kubikowskiego zachowaliśmy w maksymalnym stopniu kolokwialny charakter tekstu, dokonując skreśleń jedynie tam, gdzie - jak to w normalnej rozmowie - słowa powtarzane są kilkakrotnie lub tam, gdzie składnia wypowiedzi mówiczej, zrozumiała dzięki intonacji, w słowie pisanym wymaga uporządkowania.

Tea Hoffman

Archivarius der Bibliothek

Zbigniew Kubikowski

STALINIZM A INTELIGENCJA TWORCZA

/rozmowa z Jackiem Trznadłem/

4 sierpnia 1981 r.

ZBIGNIEW KUBIKOWSKI: Rozmawialiśmy o tym, dlaczego grupa inteligencji, przede wszystkim inteligencji twórczej, włączyła się w Polsce w stalinizm. Ale może najpierw zakres chronologiczny: myślę, że jeżeli mówimy o historii Polski, to musimy mówić o latach 1949 - 1955. Nie ma sensu rozpatrywać, jaki jest stosunek stalinizmu do leninizmu, myślę, że stalinizm po prostu jest pewnym stylem leninizmu, pewną formą uprawiania leninizmu, i wiadomo, że wszystkie te rzeczy zostały już wymyślone przez Lenina.

JACEK TRZNADEŁ: Jak to wynika z książki Besancona Intelektualne rodowody leninizmu w treści głębszej nie ma istotnych różnic.

ZK: Jest to tylko nadanie pewnej formy organizacyjnej leninizmowi, i zaczęło to funkcjonować u nas w latach 1949 - 1955. To było coś szalenie chytrego, bo to był pewien proces. Bo po roku 1945, po tym całym walon, który przeszedł przez tę ziemię, istniał taki powszechny mit nowego świata. Każdy piewsz miał to głębokie przekonanie, że w gruncie rzeczy po tym, co się stało, po zniszczeniu wszystkich norm, w skompromitowaniu się wszystkich norm świata mieszczańskiego, i moralnych, i politycznych, trzeba zacząć coś robić zupełnie inaczej. I ta idea chodziła po całym świecie. Że po tym wszystkim musi wszędzie zapanować nowy ład. Tą ideą był owładnięty Roosevelt, który dlatego tak łatwo nas sprzedał w Teheranie.

JT: Kompromitacją generalną była okupacja hitlerowska. Wojna, jej straszność.

ZK: Tak, okupacja, to co się stało, obozy... Ale pamiętajmy o jednej rzeczy: znakomita większość tych, którzy przeszli przez obozy sowieckie, przeszli przez tą stronę, w zasadzie została na Zachodzie.

Był tutaj pewien przedziwny podział: że Polacy w kraju mieli doświadczenie okupacji hitlerowskiej, natomiast w gruncie rzeczy nie mieli doświadczenia rosyjskiego. Wyjątkowo casus Aleksander Wat. Ale to doświadczenie mieli przede wszystkim ci, którzy objęli władzę. Wszystkie Putramenty, wszystkie wschodnie... A ta cała masa, która została wywieziona w 1939 roku, poszła na Zachód z Andersem. Oczywiście, część przysłała tutaj z I Armią. Ale to byli ludzie, po których przeszedł ten cały walec i już byli uformowani, przepuszczeni przez system. Żadna z tych zasad nie działa w 100%, rzecz jasna. Ale statystycznie rzecz biorąc cała Wielkopolska, cała Kongresówka, cała zachodnia Galicja, czyli w zasadzie cały tron Polski nie miał doświadczenia sowieckiej okupacji. Cokolwiek się potem stało było lepsze, bo było lepsze. Rzeczywiście było lepsze. I to nie tylko dla tych z chozów koncentracyjnych czy dla warszawiaków, ale w ogóle dla wszystkich było to w pierwszym tym okresie lepsze. I teraz to przekonanie, że musi być zupełnie inaczej...

Pisarze, roczniki dziesiąte... To wtedy byli ludzie trzydziestoparoletni, ale mieli jakby spóźniony debiut po wojnie. Kazimierz Brandys, Zukrowski, Dygat, trochę starszy był Breza, ale Breza, autor przed wojną dwu książek, też właściwie dopiero wtedy wchodził tak na serio w życie literackie książką napisaną w czasie wojny, cyklem Mury Jerzyka. Andrzejewski podobnie, też miał debiut przed wojną. Ta cała generacja to nie była młodzież. I u nich wszystkich było to przekonanie, że teraz dopiero trzeba będzie zrobić coś nowego, coś wymyśleć. To będzie lewicowe, bo oni wszyscy byli mniej więcej tak zorientowani przed wojną. Było to, jak myślę, szalenie mgliste. I zaczęło być manipulowane, jestem o tym głęboko przekonany. Bo kiedy się działo na przykład bierze i czyta "Kuźnicę" - kiedyś ułowiliśmy przeczytać kilka numerów - to ten pierwszy okres "Kuźnicy", to jest normalne pismo o orientacji lewicowej. Polemizuje się ostro na przykład z "Tygodnikiem Powszechnym", równocześnie zakładając jako rzecz oczywistą, że ten partner istnieje, ma prawo głosić swoje poglądy, i że to wszystko tak ma funkcjonować. Walczyliśmy z przeciwnikiem bronią polemiki, ale go nie rozetrzeliwujemy. Ale już wtedy, jak sądzę, istniał plan powolnego, a potem gwałtownego przeorientowania tego wszystkiego w kierunku właśnie systemu stalinowskiego, który przecieł przez te pierwsze lata nie obowiązywał w Polsce. Ten model, jaki istniał, miał już w sobie ten cały system stalinowski, ale jeszcze jako jakby jeden z elementów życia społecznego, a nie jako wszechobejmujący system. Dzięki policja polityczna, toczy się walka z oddziałami AK przede wszystkim, z

banderowcami, to wszystko się działo, a swoją drogą funkcjonowały jeszcze różne inne rzeczy, cały ten model gospodarczy, jaki istniał.

JT: To nie wciśnięto się wszędzie, ale było oczywiście narzuconym bytem politycznym państwa, które od początku nie było wolne...

ZK: I otóż myślę, że oni wszyscy byli przekonani, że to tak pozostanie. To znaczy, że ta danina, którą musimy zapłacić, już została złożona. Są tkwiące we wszystkim elementy tego systemu, ale tylko elementy, bo to przecież Polska, bo to przecież kultura śródziemnomorska, bo chyba chodzi Rosjanom o to, żeby tu mieć państwo sojusznicze, żeby tutaj trzymać tylko rękę na pulsie, ale to wszystko będzie funkcjonować tylko częściowo, jak w latach 1945-1948.

JT: Ale to pokolenie lat dziesiątych, o którym mówiliśmy - przecież oni pamiętali, w przeciwieństwie do nas, lata przedwojenne, procesy moskiewskie...

ZK: Dobra: to Wat chyba napisał zdanie niesłychanie trafne - jest rzeczą przerażającą, że w gruncie rzeczy rację tak naprawdę, nie w dziedzinie ideologii, ale w ocenie sytuacji, ma najczarniejsza prawica. To znaczy, że wszyscy, co przed wojną najczarniejsza prawica mówiła o komunistach, było prawdą. I otóż okazuje się, że tak, choćby z Wata, że oni byli rzeczywiście na usługach ambasady i konsulatów moskiewskich, że byli normalnie piątą kolumną, używani do celów szpiegowskich; że cały ten ruch komunistyczny i te wszystkie pośrednie jego fazy, pisma inteligencji lewicowej, były finansowane i sterowane z ukrycia przez ambasadę rosyjską. I teraz: ci ludzie wiedzieli o tym wszystkim, po wojnie, ale wiedzieli też, że są to zarzuty skrajnej prawicy, wobec której byli w bardzo ostrej opozycji. I oni wtedy nie mogli tego przyjąć za prawdę. Po prostu sądzili, że oczywiście prawica przesadza, że tam było niefajnie, to wiadomo, ale to przecież tam, a nie tu, a tutaj mamy państwo niezależne, jest Mikołajczyk, są alianci, są jakieś umowy, wierzono wtedy w układy. Przypuszczam, że byli przekonani, że to będzie takie socjalistyczne państwo z elementami stalinowskimi, dla którego będą właśnie daniną.

JT: Dużym współzynnikiem siły przyciągania był pogląd - okazał się ostatecznie mylny - że to będzie państwo nierasistowskie, bo duża część tej lewicowej inteligencji, to byli Żydzi z pochodzenia, którzy odczuli naciek szowinistyczny przed wojną. A twoje zdanie o agenturach: w pewnym dopiero momencie zdałem sobie sprawę, że zakaz partii komunistycznej w Polsce

przedwojennej był motywowany po prostu konstytucyjnie zdradą stanu.

ZK: Tak strasznie proste... A wtedy to przecież tylko skrajna prawica to mówiła. Bo lewica mówiła: no nie, jednak, skąd... Jeździli, pisali książki... Szonimski, Wańkowicz.

JT: Można znaleźć w wydanych u nas po wojnie pismach Leńskiego nawoływanie z lat wojny polsko-bolszewickiej, że Armia Czerwona powinna wkroczyć; zdrada stanu...

ZK: Myślę, że ludzie typu Żółkiewskiego, wtedy, na początku, byli jeszcze przekonani, że społeczeństwo będzie pluralistyczne i chodzi o to, żeby lewica zdobyła władzę nie tylko na bagnietach rosyjskich, ale żeby zdobyła także władzę duchową. Przewagę duchową. Ale nie ma tam zapędów jakiejś oazkowej uniformizacji, likwidatorskiej, z początku. Natomiast była grupa ludzi, do których - jeśli już pozostajemy przy nazwiskach z kręgu literatury - można zaliczyć właśnie tych, którzy przyszli stamtąd w mundurach i którzy - nie ma cudów - wiedzieli. Ważyk przyszedł w mundurze, Putrament przyszedł w mundurze, Borejsza przyszedł w mundurze. Co do Borejszy, który jest tutaj świetlaną postacią, uważam, że był to po prostu wądry enkawudysta. Normalnie. I że tym wszystkim w kulturze sterował w pierwszej fazie Borejsza. Ale on był za dobrym enkawudystą i potem już przestał być potrzebny.

Początek tego był właśnie taki. Był sterowany przez ludzi, którzy wiedzieli, w jakim kierunku to zmierza. Może nie wszyscy w tym samym stopniu, nie można generalizować. Bo to na pewno było określone ich osobistymi doświadczeniami, bo inny był pogląd ożkowskiego, który był w Łagrze, a inny tego, który w nim nie był. Byli i tacy, którzy nie byli. Ale każdy przyszedł ewoję... Nie wiem, w jakim stopniu wiedział Ważyk, jak będzie, natomiast na pewno wiedział Putrament. Na pewno. To już wiadomo po tym, jak się zachowywał w 1939 roku, i w 40, we Lwowie, i tak dalej. Z tym, że on tuż po wojnie był w służbie dyplomatycznej.

JT: Grubiński pisał o Putramencie z tamtego okresu jako o świadku w jego procesie. Za napisanie sztuki o Leninie został skazany na śmierć.

ZK: Tak, ale pisał nie tylko Grubiński, jest do tego sporo różnych materiałów.

JT: Nie wiem, czy masz w pamięci Zdobycie władzy Miłozęba? Które z tych postaci on zaszyfrował? Dis

anie oczywiście jest zaszyfrowanie w dwu rozdziałach Bolesława Piasokiego.

ZK: Piaseckiego pamiętam, jest chyba i Borejsza... Ja w ogóle myślę, że to jest powieść z kluczem niemalże w całości.

JT: Temat na seminarium ze studentami...

ZK: Ale nasi studenci nie znają tej sytuacji. Ja to mówię nie z belferską zgrozą, tylko z innym typem zgrozy, że my - będąc w końcu jeszcze ludźmi nie-starymi - jednak mamy tak całkiem inne doświadczenia historyczne, jesteśmy całkiem inną formacją. Ci ludzie tego nie wiedzą, ponieważ to się dzieło na dzie-sięć, piętnaście lat przed ich urodzeniem. To tak, jak by nam ktoś opowiadał o zmachu Piłsudskiego z maja 1926 roku.

JT: Albo o Pierwszej Kadrowej... Oni jednak nie wiedzą także dlatego, że nastąpił zanik informacyjny. Że nie mogli sięgnąć po materiały.

ZK: Oni żyli także w takim okresie, że nie było to jakby takie dla nich istotne. Początkowo. Teraz zaczyna być. Ja teraz pieczę tak szkie o prozie po wojnie i wprowadzę tutaj jedną z kategorii, których tam użyłem. Mianowicie odróżniem między innymi trzy podstawowe rzeczy: sytuację historyczną, świadomość historyczną oraz mitologię obiegową. Co to znaczy? Sytuacja historyczna, to jej taki układ, który jest znany ex post, to znaczy pewien zamknięty etap. Drugie, to jest świadomość historyczna, czyli w jaki sposób ludzie rozumieli swoją sytuację historyczną. Przeważnie rozumieją ją zupełnie inaczej, niż potem. To się okazuje, gdy się już zamknie ten etap historyczny. I trzecie: to jest właśnie mitologia obiegowa, czyli pewne stereotypy, które kursują w sferze świadomości, i które zawierają jakby skrótową ocenę tej sytuacji, i jakby sposób na tę sytuację. Pierwszy okres po wojnie: sytuacja historyczna była taka, że przejdą trzy, cztery lata, a później padnie na to łapa stalinowska. Historyczna świadomość społeczna absolutnie sobie z tego sprawy nie dawała. Zdawało się, że model już powstał, że to jest ten model...

JT: Czy wszyscy tak myśleli?

ZK: Chodzi tutaj raczej o pewne wielkości statystyczne. Bo na pewno inna była świadomość oficerów AK, których aresztowano w 45 czy 46 roku i albo zesłano na Kołomyżę... o tym już nie mówię... albo siedzieli w ubeckich więzieniach. Ich świadomość była inna, oni wiedzieli dokładnie, co się dzieje. Inna była na

przykład wtedy świadomość Kazimierza Moczarskiego, inna była świadomość polityków, którzy potem uciekli razem z Mikołajczykiem, i tak dalej. To jest zupełnie oczywiste. Ale myślę o świadomości przeciętnego Polaka, inteligenta, drobnomieszczanina, warstw średnich. Ta świadomość była kształtowana przede wszystkim przez liderów. Zanim Mikołajczyk i jego otoczenie uciekło z Polski, to jednak przedtem wylansowali pewne tezy, które były wyznawane również przez całą opozycję. Tezą podstawową było, że ta ich walka polityczna i obecność ma sens, bo doprowadzimy do państwa pluralistycznego, w którym będą mogły działać obok siebie różne partie polityczne. Taki NEP w kulturze także, ale to jest nasz specjalny polski przypadek, bo inaczej nie da się zrobić w kraju o takich tradycjach. Zresztą działają już wiadomo, że się nie da tego zrobić, wtedy też niby było wiadomo. Ale próbowano. Sądzono także, że Rosja się zmieniła, że musiała się zmienić po tej wojnie, że ten naród, który się tak wykrwawił straszliwie, bo się wykrawił rzeczywiście, którego armie przeszły przez pół Europy, który nagle znalazł się w sojuszu z Amerykanami, Anglikami, Francuzami, że to jest już jakby trochę inny kraj.

JT: A te "błędy", które spowodował Jagoda, Jeżow...

ZK: To już jest historia, nie ma o czym mówić...

JT: Czy nadejście totalitaryzmu typu sowieckiego nie zostało ułatwione doznaniem totalitaryzmu hitlerowskiego, przyzwyczajeniem się pewnym do jego zbrodni? Zostaliśmy jakby odczulenii...

ZK: Myślę, że nie. Jestem nawet głęboko przekonany, że nie. To w ogóle działa inaczej. Przecież te dwa totalitaryzmy działały innymi metodami. Mimo, że tu były obozy, tam były obozy... Ale wewnątrz epokozeństwa, w naszym wypadku, było to coś innego. Gdyby się odbywały egzekucje publiczne, gdyby były łapani, gdyby były znane obozy, gdyby było wiadomo, że mordują...

JT: Ale mordowali...

ZK: Mordowali, ale jak to było! Przypomnij sobie, jeśli możesz, takie sprawy, o których dowiadaliśmy się dopiero później, w 56 roku, o rozstrzelaniach oficerów, o mordowaniu AK-owców. Wcześniej się jednak tego nie wiedziało. To krążyło gdzieś tak podskórnie. W latach 45-49. Ja mówię o opinii publicznej, takiej przeciętnej. Oczywiście, że byli ci, co widzieli bardzo dokładnie, byli także ci, co to robili. Byli ci, których rozstrzelivano. Ich rodziny i ich koledzy. Ale przecież wtedy wielkie tuby propagandowe głośiły,

że z AK jest w porządku. Wszyscy się ujawniają, jest fajnie, koniec, wszystko jest zamknięte, do pracy idziemy, jest front narodowy, prawda? Ale w tych latach 1945-1949 działał już system stalinowski, bo tutaj żadnej informacji nie było. Choć poza tym był dość luźny przepływ informacji, wszystko było w porządku, gazety były dosyć ciekawe...

JZ: A radio Londyn i tak dalej?

ZK: Londyn tego wszystkiego nie mówił. Nie zapominał o jednej rzeczy. To należy do tego, co się określa ciągle jako winę Zachodu. Nastąpił podział na sfery wpływów i im w gruncie rzeczy nie zależało na tym, aby tu ludzi i wywoływać niepokoje. Owszem, potem, jak już była zimna wojna, ale to w ramach ogólnej antykomunistycznej propagandy. Ale nie po to, aby tutaj były jakieś rozruchy. To zostało podzielone. Walczyło się z blokiem. I nagle nastąpił ten spazm, kiedy już uznano, że pora.

A sytuacja historyczna była wtedy taka: znowu za cztery czy pięć lat określone funkcje systemu miały się rozprzeżyć. Natomiast świadomość historyczna społeczeństwa była inna, taka, że tutaj niestety zamknęły się jakieś żelazne drzwi i nagle znaleźliśmy się w normalnym łagrze. Koniec. I to się nie zmieni, bo będzie trwało. Lata 1949-1950. Wtedy nagle ludzie zrozumieli, jakim fałszem były wszystkie słudzenia lat 45-49, że wszystko szło do tego... Ciągłe mówię o przeciętnej świadomości historycznej społeczeństwa, w tej jego średniej warstwie. W warstwie także inteligencji, na tym średnim poziomie społeczeństwa, ludności miast. I tę świadomość w znacznie wyższym stopniu niż przeciętna narodu miała właśnie lewicowa inteligencja twórcza. I się nagle wszystko skojarzyło, bo więcej widzieli: że i procesy moskiewskie, że nic się nie skończyło. Ani wojna tego nie zmieniła, ani nie. Oni najprędzej zrozumieli, co się dzieje. I oni najbardziej ulegli panice, i pierwsi, jak myślę, byli przekonani, że to się już prędko nie skończy. To już jest nasze życie. Wpadliśmy w zasadzkę. I teraz się zaczyna pewna bardzo specyficzna historia. Planowicie poczucie konieczności udziału. Bo z chwilą, kiedy się zorientowali, co się działo, dobrze wiedzieli, że w stalinowskim systemie są tylko dwa wyjścia: albo brać udział, albo być przedmiotem tego wszystkiego. I z tą chwilą każdy chciał brać udział, prawie każdy.

JT: Ale to, co mówisz, to jest świadomość cyniczna...

ZK: Nie, nie, ja nie sędzę, żeby to była świadomość cyniczna.

JT: Oni nie robili wrażenia przerażonych, raczej wniebowziętych...

ZK: No tak, ale to jest właśnie udział, na tym polega poetyka soorealizmu. Przecież okółki różnego rodzaju redaktorów pokazywały im bardzo dokładnie, co trzeba usunąć w każdym ioh tekście, na każdej stronicy... Jest taki jeden charakterystyczny przykład, na którym się skupię, mianowicie Wojciech Żukrowski. Żukrowski jest w ogóle charakterystyczny. Wiesz, jak on wystartował, jakimi książkami. Z jaką postawą etyczną, humanistyczną, i tak dalej. Ta perspektywa jednostkowa, katolicka. I po pierwszych jego książkach przyszedł soorealizm. I on jako pierwszą wtedy swoją książkę napisał Madre ziola. Ja byłem wtedy na studiach jako młody chłopak. I przyszedłem do niego z taką pierwszą swoją powieścią, akową właśnie, w której oczywiście nie takiego nie mogło być, a która mnie zupełnie jeszcze w ioh oczach pogrążyła. Nawet nie Żukrowskiego, ale potem Kotta i tych, którzy to czytali. Z miejsca spisali na straty. Iniejsza z tym. W każdym razie on był wtedy moim mistrzem, chodziłem do niego, czytał mi różne swoje teksty, a ja dawałem mu swoje, które on osądzał i po prostu mnie uczył. I czytał mi kiedyś - proszę, niech pan siada, przeczytam coś panu, mieszkał wtedy w takiej willi, on na dole, Dygat na górze - taki fragment z Madrych ziół. To się wszystko dzieło w instytucie biologicznym i był tam uczony, który badał jakieś sprawy życia owadów. Kiedyś przyszedł wsołekę, czy na gazie, do laboratorium i zobaczył te wszystkie żuczki, które chodzą w jakimś szklanym pojemniku. I pomyślał: czekajcie, ja wam zaraz zrobię wiosnę. Zaczął zmieniać warunki, one wotkie poczuły wiosnę i zaczęły się kochać ze sobą, przeżyły te upojenia, a potem trzask, kilka ruchów rąk, ciepłota wewnątrz się zmienia i już nic. I on sobie pomyślał: no tak, jak to można życiem sterować. To był bardzo fajny fragment. Ja mówię: to wspaniałe, panie Wojciechu, świetne to jest, czy to panu puszczą? - Jak to, czy mi puszczą, ja się nie sprzedam. - Po czym wyszły Madre ziola, on dał mi książkę, czytam, nie ma tej sceny. Idę do niego, mówię: panie Wojciechu, ale tej wspaniałej sceny tutaj nie ma. A on na mnie spojrzął z góry i mówi: - No, jak pan wydorosłoje, to pan zrozumie, że największą sztuką artyety jest estuka rezygnacji. - Oczywiście, to co mówił do mnie, było chęcią ukrycia faktu, że zkamali go pewnie bez większego opora. Po prostu normalnie mu to wyrzucono.

JT: Odbierali więc krytyczne sygnały czytelnioze. W tym samym okresie, po ukazaniu się Madrych ziół, na

wieczorze autorskim Żukrowskiego powiedziałem jako młody student, że o ile podoba mi się wczesniejsza jego twórczość, to Madre zioła mi się nie podobają. Wobec tego on napisał mi na dedykację Madrych ziół: "Do podłożenia pod nogę kulawego stołu..."

ZK: Pamiętam tamte rozmowy, kręciłem się koło "Zeszytów Wrocławskich". To był ten Olimp: Kowalska, Mikulski. Do Kowalskiej chodziłem także z maszynopisami.

JT: Kowalską odwiedzałem od 1948 roku. Trzeba powiedzieć, że ona mi wtedy radziła czytać Rilkego.

ZK: Mnie też dawała różne rady. W pewnej chwili postanowili z Mikulskim wydrukować fragment tej mojej pierwszej powieści akowskiej. I potem mi to oddali, powiedzieli, że niestety nic z tego nie będzie. Mimo, że zdecydowali przedtem, że tak. Ale to wszystko składa się na jeden obraz. Słuchało się ich rozmów i te rozmowy były takie: były to po prostu rozmowy o wykonywaniu zawodu. Że trzeba z czegoś żyć. Że przecież to potwa. Że, być może, już zawsze tak będzie. W Rosji już trwa lat czterdzieści, nie, trzydzieści wtedy.

JT: Czy to była świadomość katastroficzna?

ZK: W pewnym sensie tak. To znaczy, że trzeba się w tym urządzić, bo to jest świat, który będzie trwał i inny świat nie będzie nam dany. Chodzi o urządzenie się tak, aby się najmniej ześwinić. To nie jest wcale obojętne. Pomyśl sobie, że na przykład zamykają cię w łagrze na Kółmie i mówią ci, że będziesz siedział do końca życia. I ty w to wierzysz, bo nie masz powodu nie wierzyć. Trzysta kilometrów do najbliższej wioski, nie masz powodu nie wierzyć. I teraz ty się w tej rzeczywistości musisz jakoś urządzić. Więc musisz wejść w jakieś stosunki z nadzorcą, jakoś się urządzić wobec kuchni, jakoś sobie załatwić, żebyś dostawał marchewkę czasami świeżą, żebyś szkorbutu nie dostał, i tak dalej. Czyli wchodzi się w nieustające kompromisy.

JT: Rozumiem. Tylko, że ja wtedy słuchałem wykładów Kotta i on miał do tego stosunek nie urzędniczy, ale apologetyczny. Mógł się naszyć wyjącznie w Trembeckim, ale on mówił także o etyce socjalistycznej; mówił, że miłość socjalistyczna na wai, to zetempowlec z zetempówką na śianie... Żarty na miarę.

ZK: Tak się złożyło, że znalazłem się w konserwatorium Kotta na temat pozytywizmu, jako najmłodszy w tym gronie, oprócz mnie przychodzili tam starsi koledzy, Ziomek, Sandler, i jeszcze kilku, był i Pietrasz-

ko chyba, i Hernas. Było nas coś sześciu. Bo on chciał napisać o Orzeszkowej i jak zwykle chciał to zrobić naszymi rękami, ponieważ nie chciało mu się czytać tych potwornych wczesnych powieści Orzeszkowej, których było trzysta. Więc myśmy mieli je ozytać i referować, a on potem miał napisać błyskotliwy socrealistyczny esej. Ale przy tej okazji myśmy mnóstwo gadali. Ja miałem taką opinię kogoś, z którego nic pewnie nie będzie, bo jednak coś w "Dziś i Jutro" wydrukowałem... Ja mu dałem tę swoją powieść, on ją przeczytał. Dał mi ten maszynopis i mówi: - Masz tu, Zbyszek, słuchaj, ale bądź spokojny, w tym ustroju to nie wyjdzie. - Odpowiedziałem: - No, to nie, to ja poczekał, panie profesorze. - Ktoś tam się zaśmiał półgębkiem i ucichł, Sandler i inni spojrzeli na mnie ze zgrozą, a Kott, który w gruncie rzeczy lubił coś takiego, potem mi tylko powiedział: - No, ty się zastanów, co mówisz. - Na jednym z takich konwersatoriów Kott się jednak zdenerwował i powiedział: - Takie frazesy to dla was. A mnie dajcie spokój. My tu dobrze wiemy, co mamy robić. - Coś w tym rodzaju. Potem w 56 roku była taka historia: Żółkiewski przyjechał do Wrocławia, zaliśmy z Żółkiewskim, i Kott wtedy był, byliśmy gdzieś w Knajpie, pililiśmy jakis alkohol, i zaliśmy przez Swidnicką. Pamiętam dokładnie, to było około Opery, nagle Żółkiewski mówi do nas: - To wyście kleczeli przed tymi ołtarzami, myśmy przez cały czas wiedzieli, co mamy robić i działaliśmy tylko tak, żebyśmy my żyli i żebyście wy mogli żyć. - Ja mówię - Zaraz, zaraz, panie profesorze, ale kto to intonował wtedy pieśni przed tymi ołtarzami? - I Żółkiewski zamilkł. Mówię o tym wszystkim jako o przyczynkach do świadomości. Urządzić się, a co to znaczy urządzić się? Co lepszy w tym sensie, żeby jeździć za granicę, tak jak Wyka. A czemu Wyka był taki, jaki był? Wyka, który był mądrym człowiekiem przecież, zawsze, przez cały czas. Bo Kott to jeet Kott, on jest mądry, ale jeet to na innej zasadzie, wiesz, on jeet taki konik polny. Natomiast Wyka to była ta solidność obłopska, wiedza, baza etyczna, a czemu to robił? Dlatego, że był przekonany, że przyjdzie nam w tym życiu, więc musimy w jakiś sposób się urządzić. My wszyscy, ja i ta moja młodzież, którą nozę. I jeszcze tamci, i tamci, i tamci. Trzeba w ogóle to jakoś zrobić, ktoś to musi zrobić, jeśli ja nie zrobię, to przyjdzie tu taki, już stoi i czeka, zawsze czeka.

JT: A wiary żadnej nie było?

ZK: Ja myślę, że nie było. Myślę, że nie było i być nie mogło. Inny jeszcze był wypadek Żółkiewskiego,

który miał temperament działacza politycznego i walczył jeszcze o coś innego. Walczył również o karierę polityczną. Ale nie zapominaj, że on wtedy był jednak odsunięty. Jeden z tych, którzy zrobili wtedy tę robotę w "Kuznicy", ale do dalszego etapu to już nie on. Bo... przecież wtedy oni wszyscy runęli w historię literatury. Dlaczego? Nie musieli. To też dobrze o nich świadczy, w pewnym sensie.

JT: Uruchommy jednak przykłady przeciwne. Jednocześnie byli przecież ludzie, których odsuwano, przedstawiali wykładac. Trzeci t.c. historii filozofii Tatar-kiewicza rozprowadzono poza obiegami księgarskim, bo marksizmowi-leninizmowi poświęcił w nim tylko kilka stron... Mnie wspomniano wtedy przyjaźń ze Zdzińskiem Najderem, który był asystentem Tatar-kiewicza.

ZK: Ale to tylko potwierdza, co ja mówię. Bo to była alternatywa wyłącznie, jeśli ktoś się chociaż zdecydował, zobacz, jak niewielu się na to zdecydowało. Szalenie niewielu. Kleiner został usunięty siłą. Zobacz, jak ich było mało. A ci, mieli pewne szanse uczestnictwa, bo tamci, jakie mieli? A następne pokolenie? To już nas dotyczy o, to nie była kwestia cynizmu. Że po prostu, jeżeli a przykład mieszkaś, bo ja wiem, w państwie tatarskim, to kiedy idziesz na dwór, musisz mówić po tatarsku, prawda? Jest to kwestia języka. Było to pisanie i mówienie językiem, który uważaliśmy niejako za urzędowy. Język, którym się musi mówić, jeżeli się chce brać w tym udział. Cała terminologia. Przecież każdy z nas w pewnej chwili próbował się w to wpasować. Napisać pracę historycznoliteracką metodą marksistowską. Tym bardziej, że to było stosunkowo najłatwiejsze, bo w historii literatury tą metodą można było w niektórych wypadkach coś cząstkowego, jakiegoś wyniki osiągnąć.

Każdy z nas coś takiego próbował. Ja na przykład pisałem dla "Dziś i Jutro", mój flirt z tym piśmie trwał trzy miesiące. Ale napisałem taki ośrołowy artykuł, czołowy, bo na całą czołówkę, pierwszą stronę, Batalia o tereźniejszość, gdzie z zapalem absolutnym udowadniałem, że mogą funkcjonować różne światopoglądy w literaturze socjalistycznej. Można powiedzieć, że zrobiłem to z głupoty, i to prawda, bo wiadomo, że nie mogą... Napisałem to po jakiejś dyskusji na ich zamówienie. Ale to świadczy, że wielu ludzi tak myślało, że coś tu da się zrobić. Ale trzeba w to wejść.

JT: Twój przykład jest uczciwszy, bo u Żółkiewskiego czy Kotta widzę rozdziew między ich ideologią a rzeczywistością o wiele tragiczniejszy, bo taki Żółkiewski naprawdę wierzył w Pana Boga Marksa...

ZK: Przedtem tak, ale w latach stalinowskich, myślę, że już nie. Wtedy napisał tę książkę o Mickiewiczu, okropną, koszmarną zupełnie. To, co pisał Kott o Oświeceniu było bezsensowne zupełnie, przede wszystkim z tego nie zostało; cienia, tam nie ma ani jednej strony z ich rozpraw historycznoliterackich; które by miały dzisiaj jakąkolwiek przydatność. A Mikulski sobie dukał. Ale nie wiem, czy pamiętasz, że jak było trzeba, to Mikulski umiał użyć urzędowego języka? On nim nie pisał; on nim mówił; i było w porządku. Nagroda państwowa. Ja przecież pamiętam Kongres Nauki. Byłem wtedy na trzecim roku i pisałem pierwsze sprawozdanie z tego Kongresu Nauki, to był 1950 rok, maj. I co oni mówili?

JT: Wyka się wtedy przyłączył do marksistów, byłem tam.

ZK: O trzecim strzelou mówił, że miał to zrobić ktoś inny, a on jest trzecim strzelcem, ale jeśli trafi; to się bardzo cieszy. Pomyśl, co to za metafora, czy trafi w tarczę... Nie o to chodzi, czy prawda, czy nieprawda; ale czy ja trafię. I trafiłem w tarczę, świetnie, mówi. I ta interpretacja romantyzmu, którą on sobie wymyślił, jako możliwie najmniej bolesna, została przyjęta. Trafiłem w tarczę... A co Mikulski wtedy mówił? Miał usta pełne frazesów socjrealistycznych. Jeszcze wróć do tej historii z tą moją powieścią akowską... Jak Kowalska mi to oddawała, spytałem dlaczego; przecież pani i pan profesor... Byłem tym bardzo załamany, nie wiem dlaczego... Wiem dlaczego. To był 49 rok i już było wiadomo, że to jest ostatnia okazja, żeby to się gdziekolwiek ukazało. To już było w Książnicy-Atlas, miało tam wyjść; Książnicę zlikwidowano w miesiąc później. W "Odrze" katowickiej miało to być drukowane i "Odrę" zamknięto. I ostatnia nadzieja, że będzie choćby fragment w "Zeszytach Wrocławskich". Więc mnie to strasznie załamało, kiedy ona mi to oddała. Pytam, dlaczego? I wtedy zaczęła mi dąrgać i zawile tkmaczyć, pokazywać jakieś kwestie stylistyczne; i tak dalej, o czym przedtem mowy nie było; w każdym razie ani jej przez myśl nie przeszło, żeby powiedzieć; dlaczego naprawdę mi to oddaje.

JT: Taki strach...

ZK: Nie, nie taki prymitywny strach, że ktoś mi co zrobi, tylko; że po prostu wypadnę z udziału; z gry, a kiedy się wypadnie z gry w stalinizmie, to się przestaje istnieć. Trzeba było żyć. I wtedy znowu zaczęły pewną rolę odgrywać wspomnienia okupacyjne; ta szkoła zaczęła się nagle przydawać.

JT: A czy tamto pokolenie miało także odruchy protestu? Wtedy? Bo ja wiem, że u różnych osób z mojego

pokolenia było z tym udziałem i tak, i inaczej, czasem decydował swoisty przypadek. Tuż po maturze w 49 roku, a przed przyjęciem na uniwersytet, zwróciłem legitymację ZMP... Ale koledzy nie przekazali jej "na dzielnicę", przyszła do mnie moja przyjaciółka z liceum, Mysza, wtedy jej jeszcze nie znałem, i zaczęła mi wyperswadowywać mój gest, że my musimy mieć wykształconych ludzi przeciw nim. Uległem.

ZK: Ja myślę, że oni nie mieli odruchów protestu. Ale dlaczego nie mieli? A twój gest protestu? Po pierwsze, krótkotrwały. A wycofałeś się dlaczego? Mimo, że byłeś taki młody, wiedziałeś, że jakos trzeba żyć, po prostu trzeba się dostać na studia. Przekonał cię. Właściwie jest to to samo. Ja miałem historię, która miała bardzo duże skutki dla mojego dalszego życia. Po znanym ci kuzynie marksistowskim w 1949 roku chodzili koło nas, bo byliśmy czółówką roku, i w pewnej chwili Sandler odbył ze mną taką rozmowę. Pamiętam, spacerowaliśmy po Szwalskiej, i on tak łagodnie tłumaczył, bo on był łagodnym i miłym człowiekiem, ale był, kim był. I mówił: słuchaj Zbyszek, my wiemy /ciągle przez my/, że jesteś zdolny, że chociażbyś został na uniwersytecie, teraz będą asystentury, możesz ją dostać, tę asystenturę, bierzemy ciebie pod uwagę, już i profesor, i wszystko. Trzeba by jednak, żebyś się zapisał do ZMP, ja rzuciłem, tyś tam pisał w "Dziś i Jutro", a e wiem przecież, że przestajesz z nimi mieć kontakt, wiesz, ja ci powiem, ZMP to nie jest partia, nie chodzi o to, żeby mieć już takie zdecydowane poglądy. Możesz sobie jeszcze dojrzewać, tak mi tłumaczył, że sobie żadnej drogi nie zamykam, że ZMP to jest tylko ZMP, i tak dalej. I ja mu obiecałem dać odpowiedź po trzech dniach. I po dwóch dniach prosi mnie na bok Nueia Borkowska, obecnie Goriazcko i mówi: słuchaj Zbyszek, jestem wydelegowana do Czeska Hernasa, Staszka Pietraszki, i chyba Romka Sobala... Bo właśnie nas pięciore ma szansę otrzymać asystentury i myśmy postanowili jednak wstąpić do ZMP, i prosimy cię, żebyś zrobił to samo. Po prostu będziemy razem i damy sobie radę. I tak dalej. Ja nie wiem, co się wtedy stało. Ja się nagle zdecydowałem, że nie. - Wyście się już zdecydowali?! - mówię. Może to dlatego, że oni bezze mnie. Nie wiem, to był jakiś impuls. Mówię: to w takim razie ja nie. - Poszedłem natychmiast do Sandlera i powiedziałem: - wiesz, Samuel, ja bardzo chcę zostać na uniwersytecie, jeśli dostanę tę asystenturę, będę się bardzo cieszył, ale bez tego warunku. - On zrobił taki gest i oczywiście nic z tego nie wyszło. Oni w tydzień czy dwa później zostali asystentami i losy ich potoczyły się tak, jak

... pewnie potoczyłyby się moje losy. Byłbym dzisiaj pewnie jak Czesiek profesorem, czy jak Staszek... ale już wiem, ile bym przegrał w ogóle w życiu. Szalenie się cieszę, że tak się nie stało.

JT: Tak jak ja żałuję owego przypadku i swojej nie dość zdecydowanej postawy.

ZK: Nie, twoja sytuacja była inna. Tyś musiał. Ja, gdybym miał taką sytuację jak ty, gdyby chodziło o to, żeby się w ogóle dostać na studia, prawdopodobnie zrobiłbym to samo. Gdyby oni mi z kolei grozili, że ja studiów nie skończę, to też nie wiem, co bym zrobił. A tutaj groziło mi tylko to, że nie stanie się to, czego najgoręcej wtedy pragnąłem, bo wtedy moim celem była praca naukowa na uniwersytecie. Ale studia skończyę i jakoś sobie dam radę. To był oczywiście przypadek, że oni się spotkali i zdecydowali beze mnie, bo mnie wtedy musiało nie być. Być może, że gdybyśmy się spotkali i w piątkę rozmawiali, to ja bym razem z nimi się zgłosił. Bo niby dlaczego nie? Najlepsi chłopcy i dziewczyny z tego roku, możemy razem coś zrobić, no, to wstaple.

JT: To jest typ problemów psychologicznych, które, jak myślę, ty uprawiasz w swojej prozie.

ZK: Tak, taki jakiś moment. Może nie jest przypadkowy, ale może jest przypadkowy, jest pewna prawidłowość, która rządzi przypadkami, nie wiem. Jestem przekonany, że u wszystkich właściwie działała już ideologia, bo każdy z nich był na tyle wykształcony i świadomy, że wiedział, że to, co pisze teraz, jest po prostu o coś niebo gorsze od tego, co pisał kiedyś. Nie ma cudów. Jest niemożliwa, żeby na przykład Brandys nie wiedział, że czwarty tom cyklu Człowiek nie umiera jest o coś niebo gorszy od pierwszego. A Uczta Baltazara była gorszą książką od Adama Ważda i Breza musiał to wiedzieć. A niektórzy po prostu nie byli w stanie nic z siebie wyrzucić pomimo deklaracji. Popatrz, Andrzejewski nie był w stanie. No, to jakieś tam publicystyki, Partia i twórczość pisarza, bez znaczenia, Wojna skuteczna, czyli taka jakaś powiastka, nic, żadna proza mu nie wyszła. Zobacz dalej - Dygat, poamiętasz jego Gorące uczynki drukowane w "Gazecie Robotniczej", powieść socrealistyczną, którą przerwał po 87-ym odcinku, bo nie mógł skończyć, i wyjechał do Warszawy, nie był w stanie. A ci, co byli w stanie, to wypływali z siebie takie rzeczy. Ale przecież mieli świadomość, my się nie dajmy nabrać, oni musieli wiedzieć. Ale to nie był cynizm, to po prostu danina, taka jest moja praca, ja tak zarabiam na życie.

JT: Ja taką daninę nazywam jednak cynizmem. Ale są i inne przypadki, casus Borowskiego. Borowski mógł przecieżyć pisać rozmaite rzeczy na pół oddechu, ale on pisał na pełny oddech i nagle - trzask!

ZK: Dla mnie przykład Borowskiego jest właśnie klasyczny. To znaczy...

JT: Siebie chociaż przekonać...

ZK: To raz. Dwa: doświadczenie okupacyjne, w tym wypadku niesłychanie ważne, wiadomo dlaczego. W związku z tym uczucie, że wszystko jest puste, wypalone, i że musimy zrobić zupełnie inny świat. I trzy. Jest oto propozycja, proszę bardzo, zupełnie nowy świat. Rzuca się w to głowę i nagle widzi, że w gruncie rzeczy jest znowu jakby w żagrze. I wtedy otwiera gaz. Bo on miał za sobą obóz, to wszystko, co znamy z jego proszy i co zostanie w literaturze światowej jako świadectwo. On to miał. A, powiedzmy, Brandys tego nie miał, wszystko przebiegało tak samo, tylko łagodnie. Ten pisał. U Dygata i Anárzejewskiego gorzej, bo w ogóle twórczość się skończyła. U Żukrowskiego gorzej, bo twórczość się skończyła. Dni klęski. Potem już miał tylko bąyski. Świetny tomik w 67 roku, Szoseściarz, który świadczy o tym, jakim mógłby być pisarzem. Dwa znakomite opowiadania. Jakim byłby z akomitym pisarzem, gdyby się to nie zwichnęło od razu. On to okupił niesłychanie ciężko. Brandys nie, bo to inny typ pisarstwa.

JT: Ale w związku z tym wszystkim taki problem: czy oni nie mieli świadomości, że całym swoim postępowaniem, i tym rozdartym akcesem ideologicznym ciągną jednocześnie w tym kierunku, za sobą, całe następne pokolenie?

ZK: Sądzę, że oni nie tylko wiedzieli, że ciągną całe pokolenie, oni je ciągnęli, ponieważ uważali, że powinni się w tym świecie urządzić razem ze wszystkimi. Wtedy nie ma winy, wszyscy się tak urządzamy, a skoro wszyscy, to znaczy, że to jest norma.

JT: To bierzesz w cudzysłowie, czy bierzesz to jako świadomość czystą?

ZK: Jako czystą świadomość. Był tu także pewien rodzaj miąsji. Bo my to jednak robimy jakby troszeczkę łagodniej, jakby lepiej...

JT: Na dnie wiara, że w tej ideologii jest coś ważnego...

ZK: Nie, w ideologii nic nie ma, tylko po prostu trzeba żyć, wszyscy muszą żyć. A prócz tego można tu się urządzić, na przykład Wyks, który w tym czasie jeździł na Zachód przez cały czas, Kott, oni wszyscy

'mieli kontakt ze światem; prawda? Tam różne rzeczy; jak wiadomo... Przecież oni się tam rzucali jak zwierzęta zżaknione na tę literaturę; na świat w ogóle cały; prawda?

JT: Czy coś by korygowało taki pogląd? Bo ja uważam; że świadomość tych pisarzy była u większości pod spodem antyradziecka; życzyliby sobie państwa o większej niezależności politycznej; jednocześnie w ideologię jakoś uwierzyli. Uważasz; że pragmatycznie?

ZK: Uważam; że pragmatycznie. Po prostu nie wierzę w tak daleko posuniętą głupotę. Chyba; że ideologię rozumieć szalenie ogólnie; że mogłoby istnieć państwo socjalistyczne praworządne; europejskie; w tym wszystkim co ta nazwa implikuje; demokratyczne; wielopartyjne.

JT: Taka ideologia czy wiara zakłada szalony rozdziew pomiędzy myślą a rzeczywistością! To nie zostało ukazane w literaturze...

ZK: To jest w ogóle straszliwy błąd; jedna ze strasznych luk naszej literatury powojennej; która sprawia; że cały jej rozwój jest w ogóle chory i kaleki. Bo jak są pewne dziury; pewne puste miejsca w całym obszarze historii i świadomości narodowej; to tego się nie da uzupełnić mechanicznie. To nie znaczy; że dziś się napisze siedem książek; z których jedna będzie o Katyniu; druga będzie... i już jest wszystko fajnie. Nie; nie; cała literatura jest chora; łącznie z emigracyjną; która z kolei nie ma naszych doświadczeń; chociaż ma z kolei inną wiedzę. Cała literatura została okaleczona właśnie przez to; że jej stosunek do historii był stosunkiem od razu zdeformowanym. Cała literatura rozrachunkowa; przecież to jest tragiczne - Andrzejewski; System przez duże S; Historia jako bóstwo; jako bóg; który w gruncie rzeczy niszczy ludzi. To po nas przeszło; drugi walec historii; przedtem wojna; a teraz to. W porządku; Brandys; Matka Królów. Wszyscy oni po prostu starali się udowodnić; że mają czyste ręce. Natomiast literatura wtedy by tylko stanęła na wysokości zadania; gdyby się zajęła tymi; którzy mieli brudne ręce. Nie ma u nas ani jednej książki o ludziach; którzy mieli brudne ręce; którzy to robili; i to nie w ten sposób; jak robili Brandysowie; czy tam inni; czy przyszcaci; ale robili to własnymi rękami; strzelali; mordowali; torturowali...

JT: Bo powiedzenie w literaturze obrachunkowej czegokolwiek prawdziwego wymagało mówienia całej prawdy. Wymagało zajęcia się najnowszą historią Pole-

'ki, a oni kiedy mówili "system", to już był system uniku...

ZK: Tak, zgadzam się...

JZ: I on trwa, według mnie do dzisiejszego dnia...

ZK: Zaprosiłem przed dwoma miesiącami Tadeusza Konwickiego na swoje seminarium w szkole teatralnej, na wydziale wiedzy o teatrze. I oczywiście jeden ze studentów spytał o to, o ten okres. I Tadeusz mówi: skuchajcie, to jest teraz taka pornografia, że teraz się nas wszystkich, kontestatorów, pyta, a czemu wy byliście stalinistami? To jest pornografia, szukanie niezdrowej sensacji. Tak było i koniec, wiadomo, można sobie przeczytać w podręcznikach, ale w ogóle nie ma o czym mówić, to są właśnie sprawy nasze, któreśmy w swoim sumieniu... tego... koniec, nie ma o czym mówić. Nawet tego typu ludzie nie umieją sobie tego zracjonalizować i traktują to jako rzeź wstydliwą.

JT: Tak jak Ważyk. Ignazio Silone powiedział, że Ważyk określił tamten swój okres innym słowem: zwarłowaniem. I że jak nie mówi intelektualista.

ZK: Intelektualista szuka motywów...

JT: Muszę ci powiedzieć, że kiedy prowadziłem wieczór Ważyka w styczniu 1978 roku, w wypełnionej szczególnie młodzieżowej sali w warszawskich "Hybrydach", to na pytanie, które padło z sali, Ważyk odpowiedział coś zupełnie podobnego: oszalałem.

ZK: Dobrze, a jak wytłumaczyć casus Słonimskiego, który funkcjonuje jako wzór moralności, natomiast ten jego artykuł w "Trybunie Ludu" o Miłoszu, czytałeś? To był 51 rok. Już był tutaj, w Anglii nie mógłby tego napisać.

JT: Nie pamiętam tego artykułu.

ZK: Nikt o nim nie wie. Wiesz, jak to wyszło? Teraz, jak chcieliśmy wręczyć legitymację Miłoszowi i chcieliśmy stwierdzić, jak to było z jego członkostwem, czy został wyrzucony... Zaczęły urzędniczką szperać w archiwum Związku Literatów. I okazało się, że z archiwum wynika, że Miłosz nigdy nie był członkiem Związku, że w ogóle nie ma pisarza o tym nazwisku i nigdy nie było. Nigdy. Ponieważ zostały usunięte wszystkie dokumenty i nawet z protokołów zebrań zarządu widocznie zostały usunięte fragmenty o Miłoszu, bo go przecież wyrzucono. Putrament go wtedy przecież wyrzucił ze Związku. Na pewno. Musieliśmy więc wziąć oświadczenie od członków Związku z tamtego okresu, stwierdzające, że on był członkiem Związku i został usunię-

ty. Ponieważ archiwum zostało wyczyszczone.

JT: Jak u Orwella, pisze historii...

ZK: Dokładnie. Nie było w ogóle takiego człowieka w Polsce nigdy, jak wynika z archiwum. W trakcie tych poszukiwań jedna z bibliotekarek przychodzi do mnie i mówi: proszę pana, jestem wstrząsnęta. - Co się stało? - Bo ja w tych wszystkich teczkach, starych dokumentach, znalazłam to. - I daje mi wycinek z "Trybuny Ludu". Czytam. Jest to artykuł Słonimskiego tak banalny, że czegoś równie obrzydliwego na ten temat nie czytałam nigdy. To nawet wszystkie Nim będzie zapomniały i tym podobne są łagodną piosenką. - Byłeś już przed wojną zdrajcą i podświadomie sprzyjałeś prawicy, a teraz służysz tym, którzy spalili Warszawę, służysz gestapowcom i hitlerowcom. - "ten sposób, dokładnie. Antoni Słonimski. I ta dziewczyna odnalazła wtedy odpowiedź Mikołaja w "Kulturze" paryskiej, odpowiedź wspaniałą. Zaczyna się: drogi Antoni, pozwól, że nie będę pisał językiem, którego ty używasz, ponieważ nie potrafię, a prócz tego mam zbyt wiele szacunku dla ciebie takiego, którym byłeś, i chcę teraz w odpowiedzi tylko zastanowić się, jak to się mogło stać, że dzisiaj jesteś tym, kim jesteś. I ożył esej, który jest już jakby pierwszą zapowiedzią Zniewolonego umysłu". Znakomita analiza, jak Skamandryta mógł stać się takim pieskiem stalinowskim.

JT: Ex oriente lux...

ZK: Znowu tutaj wchodzi ta sprawa języka. On po prostu wykonał to, co się robi w tym systemie. Jak ktoś zrobi coś takiego jak Mikołaj, to każdy musi się odciać i naszczekać. A schemat jest jasny: po tamtej stronie prawica i faszyzm, po tej stronie postępowanie i komunizm, i koniec. Słonimski wykonał właściwie tylko nieumiejętnie, zbyt gorliwie to wszystko. I potem funkcjonował przez cały czas jako wzór moralny.

JT: Tak, właśnie to. Zawsze.

ZK: Nie wiedziałem o tym artykule. Miałem tylko, i mam, wycięty, jego wiersz o Bierucie, no, ale w końcu, wzór moralny mógł taki wierszyk napisać.

JT: Pamiętasz, co napisał Iwaszkiewicz o Bierucie? "Bo kiedy ty, prezydencie, już dobrze wiedziałeś, że paszkiem oczy minionej piękności urokiem!"

ZK: Ale dzisiaj to brzmi inaczej, pomyśl, że dzisiaj to jest bardzo dobry dystych. Bo Bierut już wiedział.

JT: Ha, on rzeczywiście już wiedział... Trzeba

przynad Iwaszkiewiczowi, że nie ukrywał tego wiersza. Lini wstydził się i zdejmował. Ważyk zdejmował swojego Stalina, swoją Beckę, a Iwaszkiewicza list przedrukował do kęsa. Mówił mi ktoś, że M. Kozłowski usmiechnął się gorzko, gdy dowiedział się o artykule Kotta z tego okresu prasie niemu: - to Janek też na mnie napisał?

ZK: No masz oś los, dwaj emigranci polityczni. To był język, oni po prostu wykonywali rytualne gesty.

JT: Czy nie dotarły do Ciebie tu podświadomości tego narodu, o długiej już tradycji, która kazała patrzeć podejrzliwie nawet na Wielką Emigrację, bo oni jednak tam byli swobodnie, choć była Polakami, a tu cały pokolenie po powstaniu listopadowym zostało zniszczone... To, co Kurwid opowiadał Krasinskiemu, a Krasinski opisał w liście do Delfiny. A Lewitowicz się podpalił... Wyjechał, a może to żarty gest, może to i zakwadrę być? Niech ciępa z nami, nie?

ZK: Myślisz, że nie. Że w zasadzie każdy prawie by to zrobił. Z nich. To była świadomość naboru i to gorzszego naboru, bo w czasie naboru można było wyjechać. A to był nabor porwany z okupacją. Inny typ terrorku, ale niewątpliwie terrork. My w tej chwili mówimy o głodzie i tak dalej, ale przypomnij sobie, jak wtedy było. Były te karzki na weso, przecież sklepy były puste, knajpy pełne tylko taniej wódki. Ciągłe się mówi teraz, że było mnóstwo jedzenia. Nieprawda. W okresie stalinizmu nie było żadnego mnóstwa jedzenia, był często głód. Na drugim roku studiów był taki okres, gdy jedynym moim posiłkiem w ciągu dnia był obiad w stołówce akademickiej.

JT: Było też, tylko że rynek prywatny, wymiana, drobna wytwórczość, to jeszcze funkcjonowało. To potem zostało celowo zniszczone, zostały zniszczone sklepy i tak dalej. Kiedy mówisz o tej świadomości, to oczywiście społeczeństwo to nie jest tylko kultura. Społeczeństwo było bombardowane faktami różnego typu...

ZK: Życia codziennego...

ZK: I aresztowań w zakładach pracy ludzi, którzy znikali, i tłoku w tramwajach, i w ogóle koszmarnego codziennego życia. Był nacisk w każdym punkcie. W czasie okupacji była wiara, że jest to przejściowe, bo to było przejściowe, wojna musiała się skończyć. I atomizacja nie było tej wiary w stalinizm, choć okazało się równie krótkie jak wojna. Krótkie... pięć lat, tyleż prawie, co wojna, może trochę dłużej, ale nie było tej świadomości stanu wyjątkowego. To był stan normalny, pokój na świecie, w nową wojnę nikt naprawdę nie wierzył.

JT: A teraz spróbuj mi odpowiedzieć, jeśli tamci się tylko urządzali; to dlaczego ja wierzyłem?

ZK: A teraz to mówimy o sytuacji młodzieży. To jest zupełnie inna sprawa. Ta uczciwsza część młodzieży swój udział roznosiła bardziej autentycznie. Dla części młodzieży kwestia udziału była kwestią szalenie osobistą. Przecież nie będą wchodził w życie jakby z góry z niego rezygnując. Ale skoro to chcą zrobić, to muszą wstąpić do tego kościoła. Muszę uwierzyć. Ponieważ wtedy to będzie miało jakiś sens. Ale uwierzyłeś nie dlatego, że cię fakty przekonały, bo fakty nie mogły cię przekonać; bo ich nie było. Nie było lepiej; nie było cudownia, nie było wspaniale; nie było rajy ani sojuszu... Przekonała cię ideologia.

JT: O, to jest ważne.

ZK: Przekonała cię ideologia, razem z tym jej szalenie prymitywnym, ale równocześnie szalenie demagogicznym, skutecznym chwytam, że to co nie, to jest kwestia wstępnych sił, że wszystko jest w przyszłości, że to będzie, obietniki, cacanki; z których się składa cała ideologia. Ja też usiłowałem się znaleźć od tej strony; z tym, że trudno mi było przyjąć ideologię dlatego, że akurat byłem wychowany w środowisku katolickim. U mnie to było mocne; na pierwszym roku jeszcze byłem w takiej organizacji, Juventus christiana się nazywała. Rozgonili ją natychmiast; naszego duszpasterza akademickiego wzięli na UB i po dwóch latach wyszedł bez nębów; i w ogóle zaraz potem umarł. Stąd był mój ten flirt z "Dzisiaj i Jutro" i z PAX-em. Potem zacząłem pisać prace o Godebskim, jakieś tam wstępy, rozprawy, starałem się stosować metodę marksistowską, może się uda jakoś w to wejść. I tak to szło, każdy z nas szukał. Spora część młodzieży dała się przekonać albo ideologii wbrew doświadczeniu, albo...

JT: Przerwę ci. To ważne, co mówisz, że rozdzielasz, że nie mieliśmy żadnego pokrycia w doświadczeniu, bo w końcu widzieliśmy fakty. I to jest między innymi wpływ czystej ideologii. Podświadomie daliśmy się także kupować, bo mówiono, że: "wy przodujecie"...

ZK: Oczywiście, że wszystko w waszych rękach, jest złe, ale to wy zrobicie, że będzie cudownie, bo macie ten oręż w rękę; i walczycie. Daliśmy się kupić, oczywiście, ale jakże było nie dać się kupić.

JT: Muszę ci powiedzieć; że jeśli w różnych okresach pisałem dla siebie więcej czy mniej, to wtedy wszystko właściwie wyszło w mnie, to co ważne. Jeszcze pisałem intymne liryki i posłałem to Annie

Kamieńskiej, do "Wsi". Ona odpowiada, że w dobie socjalizmu o takich odzieniach indywidualnych to już się nie pisze, coś takiego. Zginął mi ten list.

ZK: Ja zacząłem od tej powieści akowskiej, a potem przez dziesięć lat nie pisałem żadnej presy, historia literatury i krytyka, ponieważ nie potrafiłem, a próbowałem. Nowa moja rzecz działa się w Polsce, współcześnie, w środowisku akademickim, napisałem kilkadziesiąt stron rękopisu, naprawdę dużo, i próbowałem, ale po prostu nie byłem w stanie. Nie mogłem.

JT: To dobrze.

ZK: Nie wiem, czy dobrze, bo próbowałem, ja może jednak... Bardzo chciałem pisać i być drukowanym, jak każdy z nas.

JT: Ktoś chce ukraść, ale nie ma chęci, nie wychodzi, to o czymś świadczy...

ZK: Fakt, żeśmy przestali pisać właśnie w tym okresie zapewne o czymś świadczy. I to też jest jakby zwiczniony start, bo potem, po dziesięciu latach, to już wszystko jest jakoś inaczej.

JT: Nasze pokolenie, tanto pokolenie urodzone po 1910 roku - Andrzejewski, Rudnicki, ale było jeszcze starsze pokolenie, to były naprawdę szozwane lisy, Dąbrowska, Nałkowska... One też się na swój sposób przyłączały.

ZK: Co się dziwić, kiedy się zdawało ludziom, że jest znowu zabor rosyjski. Wypadek tych dwu pań był wypadkiem dwu pań, które były normalnie wychowane w zaborze rosyjskim. I które wiedziały, o co się dzieje. One to już znały. Była cudowna przygoda z niepodległością i tyle. Koło się zamknęło i trzeba robić to samo. Wtedy też trzeba było rozmawiać z Rosjanami, z urzędnikami. Na książkach też było, że są dozwolone cenzurą. Może one chciały doprowadzić do takiej swobody literatury, jaka była za zaboru rosyjskiego. Żeby zamiast Rosjanie napisać Septentriónowie i koniec.

JT: Jaki wpływ na to urządzanie się, które w pewnym sensie trwa do dnia dzisiejszego, ma tradycja niewoli narodu polskiego? Niepodległość dla pewnych ludzi była krótka. To dla naszego pokolenia była aktualnością, czymś, w czym żeśmy się urodzili, i pozostała palącym mitem...

ZK: Czyli czymś oczywistym...

JT: Ale dzisiaj mamy daleką perspektywę historyczną i widzimy, że odwrótnie, to był wyjątek, ta nie-

podległość. I prawopodobała im była nasza historia, na
gest poddania się naszej liberatorskiej interwencji...

ZK: I tak ogromny wpływ. Tym bardziej, że...
nie z nich miało największe/odwiedzenie...
horze rosyjskim. Wiedzieli dokąd...
Rosjanami. Casus Iwaszkiewicza...
turysta, a dlaczego, stał...
piorwsza, to on miał...
w tym Kijowie do 1916 roku to była...
Rosja. I tak ówczesna...
wśród Rosjan.

JF: Ta literatura...
życie z Rosjanami?

ZK: To nie jest takie proste. I...
dotyczący...
czytaczem. Otóż rzecz zabawa, że tam...
był ten...
Diatko, że...
Ukrainie, na Kijowszczyźnie, a...
syjskiej był po to, aby...
system prawny...
tradycje i poczucie...
Przebieg...
my, o których Rosjanie...
się liczyć, że jednak...
do Kongresówki. To nie była...
to się...
zabrane...
macierza, czyli...
było inaczej, klasyczne...
cześnie jest na...
grób innej...
nili samobójstwo...
mogł...
pobrać.

JF: To już tematy dla Korieckiego...

ZK: Właśnie. Ale...
rzeczy największa...
zagroźcie... - to...
końca polski...
samo...
centra, samorząd, z...
więcej...
i w Odessie, to...
pół...
i tak dalej. A...
Kongresówce...
dalej, ale...
cz...

Jasni polskiemu teatru. Przecież najlepsze okresy warszawskiego teatru to były dwa! Rosjanie. Teatr, który był tylko po polsku! Każdy Rosjanin, który tu-
taj był, mówił albo trochę, albo dobrze po polsku.
Rosja miała z jednej strony kompleks, z drugiej po-
gardę dla tej Polski. Z kompleksem bierze cię pogarda.
Ta szkoda kulturalna jest szalenie ważna dla
oceny historii tutaj.

JK: Można by dorzucić temat z historii i litera-
tury; czy prąd wykształcił pozytywizm warszawski?

JK: Tak.

JK: Pozytywizm warszawski miał w swoich baszchach i
literatura powarna skutyk; skąd odczynnosc, przeci-
w romantyzmowi, jako nie estetyczna; która nie wie, że to
jest druga strona.

JK: To było pytanie dla socrealizmu politycznego
Goffina i innych, a tak to było, czyli realizm
poziomy skądinąd powojennej problematyce społecznej. To
wtedy pozytywizm i oświecenie, czyli cały nurt racjo-
nalistyczny w endecyzmie, jak to się wtedy mówiło;
był socrealizm wczymś różnym. A najbliższym wczymś
był pozytywizm.

JK: No; przystawione do wczymś. Bo na tym już
wtedy od jasnoscie zaczęto zasnoscione, że jest jakby
antypozytywizm, jeśli rozumieć pozytywizm wąsko.
Wład Mierza sprawy powstania, mogli, że są naj-
ważniejsze sprawy; czy się przystawione, czy pozostać
patryście. Wład Mierza jest to także, czy być ta-
kim Władem, czy wczymś jak Heczeki... Romanty-
zmem. Socrealizm w pierwszym okresie by się od tego
odróżniał. Na tym potem wykształcił się literatura prole-
tariacka. która była parietalność romantyczna; choć
i pozytywizmowa, że mówili o sytuacji społecznej.
Ale odwoływał się do radykalnych nurtów romantyzmu,
była konspiracyjna, narodziła życie. Ten konglomerat
rewolucyjno-romantyczny przedzielił się w dwu-
dziestolecie, choćby w Broniewskiego: "senty",
"baroni polscy w latach", "pęd dziejów lokomotywo".
Wtedy, po wojnie, już i Salin będąc maszynistą. W tej
literaturze słychać jakby westchnienia inteligentkiej
wład w stosunku do tych, którzy poświęcali się jako
bojówkarze; konspiracyjni. Czy po wojnie i baroni
inteligentka nie chciała się wykażać, także trochę z
powodu kompleksów wład; to była chyba normalnie, a tu
ogłoszono, że Polka Lidowa to wczymś tanych
poświęceń.

JK: A czyby spojrzeć na to od innej strony? Naród
w przeważającej części, inteligentka niemal w całości

sa antyrosyjskie, katolickie i antykomunistyczne. Nimał w czułości. Nie mają żadnego kompleksu winy wobec proletariatu, ponieważ uważają, że komunizm nie ma nic wspólnego z dawną ideą socjalistyczną. Ze z obwilą rozważania PPS, czyli tak swanego zjednoczenia, czyli faktycznie likwidacji PPS, czyli socjalistyczna znikła. Nie ma myśli socjalistycznej. Naród w znakomitej większości, i jak sądził cała inteligencja, odróżniała socjalizm od komunizmu. Wiadomo, że nie ma socjalizmu, a więc nie ma prawdziwej lewicy, jest komunizm. Kategoria komunizmu w Polsce od dwadziestego roku, od wojny polsko-bolszewickiej funkcjonowała zawsze nie jako kategoria spokrecona, tylko polityczna. Komuniści to nie był ten, kto przegnie, żeby wszystko było wspólne i żeby idee Marksa, Engelsa, Lenina i tak dalej, zostały zrealizowane, tylko komuniści to był po prostu członek pewnej społeczności, która ma cele polityczne, a przede wszystkim agent państwa, które jest wrogiem moarar-twem. Ten stereotyp funkcjonował. I kiedy przyszło to państwo razem ze swoimi agentami, zlikwidowało PPS, zamknęło Wyższego w klasztorze, uderzyło w to, co dla tego narodu było najważniejsze, dla jego 95%, to wtedy, w 49 czy 50 roku sytuacja nagle zrobiła się jasna. Rządzą komuniści, czyli Sowioi, czyli Rosjanie. Nie ma to nic wspólnego z Polską.

I rzeczywistość nie miało. Przymyśnijcie sobie nas, studentów humanistyki, jak wtedy byli jednak w gruncie rzeczy wytrzymali, że nam to w ogóle nie trzęsło wszystko. Co mieliśmy w książkach, a co widzieliśmy na ulicy. Przecież to wszystko, co przyszło do nas, nie miało nic wspólnego ani z polską tradycją, ani z polską kulturą, cały styl życia publicznego był absolutnie obcy wszystkiemu, cośmy znali. Z literatury. Z kultury. Cała nasza wiedza o świecie nie miała nic wspólnego z tym, co przyszło. Z tymi wiecami, na których się sądziko profesorów, wyrzucano się ich, prawda? Nie było tego nigdzie, ani w naszych książkach, ani w bibliotekach, ani w doświadczeniach, ani w opowiadaniach rodziców, w niczym tego nie było, nigdy. Było to absolutnie obce i wszyscy to traktowali jako inwazję, jako wojnę światów Welles, po prostu inwazję z innej planety.

JT: A jednak kupowało się pewno gazety zr de'ra monetę. Dlaczego?

ZK: To tak jak u Witkacego. Przyjdą ci Chińczycy, to po pewnym czasie ludzie zaczynają malować na żółto, bo jednak muszą funkcjonować. Chodzi o to, aby nie być tak okrutnym jak Chińczyk, ale tę twarz żółtawą przynajmniej trzeba mieć.

Ji? A kategoria rozpaczy? Tej rozpaczy, której istnienie w owym czasie podejrzewałbym u siebie; mianowicie, że im szybciej nastanie to, w co wierzę, tym prędzej skończą się moje wątpliwości. Wobec tego z rozpaczy trzeba są...!

ZK: To jest bardzo ważne, co mówisz. Bo te wątpliwości gdzieś tam były przez cały czas i taka stała wiara. Przypadek mi pewnie wspomnienie: obserwacja takiego człowieka; jakim był Kamil Giżycki. To w ogóle jest cud, że ten człowiek nie znalazł się w więzieniu UB i że go nie wykonano. Jak wiesz, był to adiutant barona Ungerna, szalonego szalonego barona, dowódcy azjatyckiej konnej dywizji, z którą Rosja sowiecka walczyła hodując do dwudziestego trzeciego roku. Napisał książkę Przez Urianchaj i Mongolie, wydaną w Ossolineum w 1929 roku, gdzie dokładnie to wszystko opisał; więc nawet nie mógł liczyć, na to, że ktoś o tym nie wie. Przez tego napisał cykl powieści dla młodzieży; bardzo przed wojną czytany: Przez kaje i góry, o dwóch chłopcach, którzy uciekają przed bolszewikami w 20 roku na Wschód; właśnie tym samym szlakiem. Więc on potem znalazł się w Polsce, ale działka żył na podróże; ruszył do Afryki i w Liberii miał plantacje. Przejechał do Polski, sprzedawał Wedlowi kakao ze swojej plantacji i wydawał tu książki; głównie antykomunistyczne. Kupił sobie mieszkanie pod lwowem dom; tereny w Łiwsku, i tak część roku spędzał w Polsce; ale w gm. nie rzeczy siedział w Liberii u siebie. Miał kontakty z MSZ-atom; bo tam równocześnie badali możliwość stworzenia polskiej kolonii. I kiedy tu przyjechał w 39 roku, tak się złożyło, że został, i w czasie wojny był oficerem AK, miał bardzo ciekawą biografię, bo również i w kontrwywiadzie AK pracował. No; i proszę cię, 45 rok i przychodził to wszystko, co co przyшло. Co on ma teraz zrobić i jak się zachować wobec stalinizmu? Było to jemu absolutnie obce; co więcej, on wszystko wiedział, jak tego rodzaju ludzie. On mi tłumaczył panie Zbyszku, ja to wszystko dokładnie wiedziałem, ja pana mogę z góry opowiedzieć, jak to się skończy; jak się skończy tamto... - I rzeczywiście...! My teraz także wioły. Drugi element jego postawy: ponieważ nie mogę z różnych przyczyn wleć przez zieloną granicę, co może być zrobić, gdyby to było możliwe, wobec tego jeśli mnie nie zamkną, muszę po prostu żyć. Jestem pisarzem; więc muszę żyć z tego; na szczęście posiadam pewien egzotyczny temat: Afrykę; zwierzęta, pisanie dla dzieci. Będę wykonywał tę część mojego zawodu; która jest stosunkowo najmniej zakodowana. A która może mi dać pieniądze. Chcę mimo tego nie mieć pieniędzy; to bajki, czasem coś w radni, a tak to

wieczory autorskie. Ale mu pozwalano. Pomyśl teraz, ilu takich było: inżynierów, adwokatów, uczonych, fizyków, matematyków, biologów, ludzi, którzy dokładnie wiedzieli, co się dzieje. Mieli do tego w całości absolutnie negatywny stosunek. Jednocześnie zakładali, że muszą żyć i wykonywać swój zawód. A pisarz?

JT: Jednocześnie mogli uważać, że powstrzyma to społeczeństwo od jeszcze większego zniszczenia.

ZK: Tak, coś musi funkcjonować. Niech czytają bajki afrykańskie, a nie te z Kozmy, niech się rozwija nauka, prozę bardzo. Zobacz, ile wtedy ucieszek. Tu do historii literatury, tu do bajek dla dzieci, szukanie ciągle takich terenów, na których można uprawiać zawód w sposób najmniej szkodliwy...

/z powodu defektu brak tu około siedmiu minut nagrania na taśmie/

Komuniści mieli taką szkołę i taką taktykę propagandy, że nasze lata 45-49 nie są niczym dziwnym. Oni umieli to robić tak, że służyli im nawet najbardziej prawicowi konserwatyści, kiedy byli potrzebni. Mieli przecież takie bogactwo masek.

JT: Myślę nad jedną jeszcze sprawą. Co dzisiaj byłoby kontynuacją stalinizmu? Trzeba o tym mówić, bo kultura tym się różni od polityki, że musi być w niej dążność do całej prawdy, bo inaczej każda kultura choruje.

ZK: Oczywiście, że tak. Ośrodki emigracyjne mają absolutny sens tak długo, jak długo będzie w nich można wydawać książki autorów mieszkających w kraju, które tutaj nie będą mogły się ukazać. Tak samo, jak chcemy doprowadzić do tego, żeby ten drugi obieg literatury w kraju był po prostu uzupełnieniem pierwszego, oficjalnego. Żeby raczej polityczne zaczęły mieć wpływ tylko na sprawy techniczno-formalne, gdzie się co ukáže, kto wyda. Bo do tej pory emigracyjne ośrodki tworzyły jakby drugi nurt polskiej literatury, ale ten drugi nurt razem z tym pierwszym, krajowym, nie składał się na jedną normalną literaturę.

Rozmawialiśmy o systemie, jak jest z nim. Zmienił się w 56 roku, co było ogromną sprawą, ale pozostał. Odamięty troszeczkę, żeby się zrobiło nieco miejsca, i tu się zjawia "Solidarność" jako całkowite obce ciało, które jest śmiertelnym zagrożeniem tego systemu. I tłumaczące sobie wszystko, co się dzieje w kraju, próba sprokowania przez system sytuacji, w którejś ude im się zlikwidować "Solidarność". Wszystko: łącznie z dezorganizacją rynku, łącznie z funkcjonowaniem władzy niższego i średniego szczebla, łącznie z za-

blokowaniem demonstracji w Warszawie, wszystko. Uważam, że są to elementy tej właśnie walki. Poniował system znakomicie sobie zdaje sprawę z tego, że to ciążo; to jest po prostu antyciężo. I że ono może doprowadzić do zmiany struktury, a ten system nie może istnieć w innych warunkach niż te, które przedtem były. Nie może. On się nie zdemokratyzuje, ponieważ jest z natury rzeczy antydemokratyczny. Jeżeli tak dalej pójdzie, to muszą być nowe wybory do Sejmu. Oczywiście "Solidarność" nie jest partią, ale będzie miała swoich kandydatów na posłów, bo będą wysuwani kandydaci w każdym najmniejszym okręgu wyborczym. Kandydat popierany przez "Solidarność" na pewno wygra. I co będzie, Sejm wtedy przecież będzie!

JT: Musieliby Sejm wymazać z Konstytucji.

ZE: Ale, Jacku, oni o tym myślą, oni o tym myślą od początku, od pierwszej chwili. I wszystko, co się teraz dzieje, jest wynikiem tej świadomości.

JT: Oczekuję się, że rają jeszcze te dwa i pół roku!

ZK: I trzeba wykorzystać ten czas na likwidację "Solidarności".

JT: Spotkałem się z opinią, że to może dobrze, że jest jeszcze dwa i pół roku do wyborów do Sejmu.

ZK: Bo teraz musiałoby dojść do konfrontacji. A jeżeli nam wszystkim uda się umocnić, wtedy będzie już naprawdę nowa jakość. Sejm na przykład zdymisjonuje rząd. Po prostu. Trzeba będzie rekomendować pana Olszowskiego na premiera, a tu nic, upada.

JT: Wraczamy w czasy, które są bardzo dziwne i prawdziwa walka nie jest za nami, tylko przed nami...

ZK: Przed nami. Oni sobie z tego zdają sprawę. To Rosjanie sobie z tego zdają sprawę. Rosjanie wiedzą, że nie chodzi o losy systemu w Polsce, tylko o losy ich systemu w ogóle. I dlatego sprawa jest strasznie dramatyczna. Cała potęga tego imperium stoi przeciwko "Solidarności". Mówiąc najkrócej. I przeciwko temu, co sobą reprezentujemy... Bo jeśli oni tylko poczują, że mogą, to zrobią to natychmiast. Nie ma żadnej wątpliwości. W taki albo inny sposób. W tej chwili nie mogą...

JT: "Solidarność" jest także apelem do zrekonstruowania prawdy o przeszłości.

ZK: O czym więc marzę: o szczegółowych, dokładnych pamiętnikach tych właśnie, którzy nie mieli postawy uchronienia się od zła systemu. Którzy byli gotowi to

'zrobić.' Z różnych przyczyn. Marzę o książkach, opowieściach, wspomnieniach, o próbie rekonstrukcji. Dopiero wtedy więcej zrozumiemy, bo my dotąd tylko wiemy, dlaczego każdy był w porządku. Ale dlaczego wszystko było nie w porządku? Otóż dlatego, że pewna ilość ludzi była nie w porządku. Dlaczego? Jak to było? To opisanie jest podstawową sprawą, od której może się zacząć jakiegokolwiek zdrowe funkcjonowanie polskiej literatury, świadomości literackiej i świadomości historycznej, od początku do końca. Jeszcze w 56 roku pisałem o Andrzejewskim i o Matce Królów Brandysa, właśnie o tym, o problemie czystych ręk, i kto wreszcie napisze o brudnych?

Jest to normalny kalendarz^X, z którego można się dowiedzieć, że 2 kwietnia słońce wschodzi o 4:54, a 3 sierpnia wypada Lidia i Augusta. Ponadto jest to książka /nawet dość gruba, ponad 200-stronicowa/, która nawiązuje do bogatej tradycji kalendarzy-magazynów, publikacji uniwersalnych, które mogły zaspokajać potrzeby czytelników całej rodziny przez okrągły rok. Antorytet tartych kalendarzy był wysoki, jeśli dowoiz Asesora Miekiewicz chwalił zapewniając, że jego żarokiki "w kalendarzu można wydrukować". Ale w Kalendarzu Entuzjastów nie ma żarokików! Nie ma też przepisów kulinarnych, recepty na wywabianie plam z atramentu, ani żadnej w ogóle porady praktycznej! Redakcja jednak zapewnia, że nie jest to kalendarz specjalistyczny, przeznaczony dla jednej kategorii odbiorców; przeciwnie, ma to być kalendarz uniwersalny, "zwykły przedmiot oodziennego użytku".

Tę wskazówkę, wraz z zapewnieniem o znacznym stopniu dowolności przy wyborze tematów, i wraz z samą formą kalendarza uznaję za wybieg, w istocie bowiem mamy do czynienia z koleżką tendencyjną: rozmaitość tematów, luźna kompozycja wyzyskująca /nie zawsze/ protektat dat kalendarzowych, z pozoru więc groch z kapustą, a naprawdę rzecz przekrysziana. Tablice poszczególnych tygodni oddzielone są trzema stronami, te strony wypełniają krótkie /przeważnie kilkudziesięciowierszowe/ notatki albo napisane przez redaktorów, albo przytoczone z innych publikacji. Rozmaitość tematów, różnorodność źródeł były, jak sądzę, ambicją redaktorów. Głębiej jednak doszukać się można zamiaru, by tak skacząc z tematu na temat, tak demonstrując dygresyjną swobodę, nawzajem do siebie tej samej idei dydaktycznej, być tendencyjnym. Zainteresować, dostarczyć ciekawych informacji, owszem, ale nad tym góruje cel wychowawczy: pragnienie ukształtowania czytelnika tolerancyjnego, otwartego na wielość kultur, żywożliwego wobec zjawisk dla nas egzotycznych, czytelnika, w którym nad pogardą dla odmienności przeważa chęć jej zrozumienia.

X/ 1984. Kalendarz Entuzjastów. Redaktor - Franciszek Sendeńwój. Oficyna Wydawnicza "P.S." Warszawa.

Nie jest to idea trudna do pojęcia, ale bardzo trudna do propagowania. W Polsce, można by sądzić, bez szans. Historia tak się zachowuje, jakby chciała z nas zrobić najbardziej megalomański, najbardziej zamknięty w poczuciu wyższości naród na świecie. Osiągnąwszy pewną równowagę między pogardą dla Wschodu: bo niższy cywilizacyjnie, bo przywykła do jarzma, a pogardą dla Zachodu: bo naiwny, bo niczego nie doświadczył i niczego nie rozumie, robimy z ksenofobii onotę, powołując się /nie bez historycznej racji, niestety/ na jej przydatność dla zachowania zagrożonej tożsamości narodowej. Na kompleksy narodu małego i podbitego z tym sposobem może się wadać tytułowy entuzjizm naszego kalendarza. Rzecz jednak w tym, że nawiązując w tym tytule do Entuzjastów i Entuzjastek z epoki paskiewiczowskiej, redaktorzy nie postąpili tak, jak entuzjastom wypadało; dopuścili, aby nad entuzjazmem górowała myśl krytyczna. Ona to podważa zarzucie nawet do eksponowanej w tytule postawy: "Entuzjizm zapaleńców, np. nazistów, budzi podziw wielu ludzi ze względu na emanującą zeń energię i samowyrzeczenie." Znamy z historii emocje zbiorowe wywołujące niewrażliwość na ból, a nawet na zadawanie śmierci. /.../ Entuzjastów powstrzymać można tylko siłą, a w przeciwnym wypadku użyją siły przeciwko innym." Przytaczając przecież nie przypadkiem - te słowa Bertranda Russella /nie przypadkiem snowa ożęsto w Kalendarzu cytowanego/ redaktorzy zdają się ostrzeżać: Uwaga z tym entuzjazmem!

Na początku czytamy jedną maksymę: "Najpierw trzeba walczyć o inny sposób walczenia". Kalendarz, jak rozumiem, słożony jest zgodnie z tą maksymą, ma pokazywać inny sposób: walki? Może nie walki, ale czegoś mniej militarnego, ogólniejszego: postrzeżenia świata. Jako manifestacja postawy otwartej wobec ludzkiej wiary i zachowań na Kalendarz sens polemiczny, przeciwstawia się komunistycznemu monopolowi na prawdę, a także innym monopolistom prawdy. Zakwestionować ten monopol łatwo; trudniej zachęcić czytelników, aby wysłać opozycyjnie, nie myśleli nadal totalitarnie, żeby zdali sobie sprawę, iż nie wystarczy zmieniać znaki wartości, aby wyjść poza schemat myślenia oficjalnego.

Najbardziej akcją antymonopolowej poddaje się historia. Stale jeszcze siłę oddziaływania ma to wszystko, czego brak w legalnej historiografii. Stale jeszcze opinia publiczna ścięra się z władzą o przemilczenie i kłamstwa; trwa nadal polemika; częściowo tylko zwerbalizowana; o datę Katynia /a sytuacja ta w Kalendarzu odbiła się w takiej sprzeczności: na s. 64 mowa jest o mordzie katyńskim w r. 1940, ale na s. 27 wspomina się Władysława Sebyzę, który "zm. 1941 w Katyniu"; źródłem

tego błędu jest z pewnością „ubliwienie oficjalne”. Na wielkie czytelnice zainteresowanie historią nową, łatwo było redaktorom odpowiedzieć, ale trzeba przyznać, że unikali w tej dziedzinie tematów banalnych. Dobrze poddają się krytycyzmowi, porównawczemu przedstawieniu kwestie prawno-nastrojowej: pod tym względem Polacy są pluralistami; bo każdy prawie system wydaje im się lepszy, a przynajmniej ciekawszy od tego tu.

Dwa są natomiast punkty niewrażliwe w programie dydaktycznym redaktorów: tolerancja religijna i tolerancja narodowa. Jakże cennie radzą z kwestiami, które z reguły wywołują odruch niechęci?

Publikacje otwiera fragment kazania Ojca Świętego na Jasnej Górze; cytaty z Jana Pawła II są zresztą stałym elementem kompozycyjnym. Pod datami dziejnymi skrupulatnie odnotowano wszystkie święta katolickie; przytocza się katolickich pisarzy; zamieszczono żywoty świętych; wiadomości z historii Kościoła itp.; stała z katolickiego punktu widzenia. A jednak, wbrew pierwszemu wrażeniu; nie jest to kalendarz entuzjastów katolickich /albo entuzjastycznych katolików/. Czytelnik nastrojony ortodoksyjnie inicjalnym cytatem z Jana Pawła II winien pamiętać, że papież jest w Polsce autorytetem nie tylko dla katolików, także dla innowierców, a nawet „innowyślicieli”. Tak więc obecność Jana Pawła II na wielu stronach Kalendarza nie świadczy wcale o jego katolickiej wyjątkowości. Notki odnoszące się do wiary katolickiej są; jeśli wolno sądzić; prawowierne, pisząc jednak na inne tematy autorzy notek nie czują się skrepowani katolickim punktem widzenia. I tak np. pod tytułem Gatunkowy szowinizm znajdujemy polemikę z tymi koncepcjami, które przyznają człowiekowi prawo do sądowania zwierzętom cierpienia i śmierci. W notce nie wspomina się nawet o katolickim doktrynalnym uzasadnieniu wyższości człowieka nad wszystkimi stworzeniami, choć w tym; co można by nazwać filozofią współczesnego stosunku do zwierząt; jest to problem istotny, inaczej /przychylniej dla zwierząt/ niż w kościele katolickim rozwiązywany przez protestantów. Notka o szowinizmie gatunkowym jest więc dobrym przykładem swobody redaktorów; zarówno wobec nauki Kościoła; jak i wobec politycznej wyjątkowości; bo całkiem apolityczny temat stosunku do zwierząt podjęli z pobudek etycznych; czy nawet z tzw. potrzeby serca.

Pod datami kalendarzowymi odnotowany jest „dzień modlitw w intencji Ojca św.” /16 III/, ale także „buddyjskie święto Wesak /narodziny Buddy/” /8 IV/; także „ogłoszenie Konfesji Angielskiej” /25 VI/. W notatkach tych katolicyzm nie ma wyjątkowości; znaleźć można informacje z historii wyznań protestanckich i

prawosławia; sporo i z sympatią pisze się o judaizmie i buddyzmie. W którychś miejscach /na s. 65/ wiadomość o ekscesach towarzyszących rekatolicyzacji Śląska w XVII w. utwierdza czytelnika w przekonaniu, że splatając różnorodną wstęgę religijną redaktorzy postępowali z premedytacją. Nie zmierzali do synkretyzmu religijnego, nie uprawiali ulubionego przez "Argumenty" religioznawstwa porównawczego, prowadząc czytelnika pośrednio do wniosku, że ludzie mają prawo wierzyć na swój sposób.

Intencja propagowania tołokowości, wyraźnie patronująca informacjom o religiach świata, wyraża się także w notkach o mniejszościach narodowych w Polsce /tu seria informacji o historii żydów w Polsce/, oraz o polskich mniejszościach na obczyźnie /sprostowań należy wiadomość o Polakach w Związku Radzieckim ze s. 64-65; najwięcej ich miejsca na Białorusi, drugie pod względem liczebności miejsce ma Polonia na Ukrainie, a dopiero trzecie Polonia litewska/.

Kalendarz jest świadectwem, jak wiele można powiedzieć przez zestaw małych notek, przez wybór fragmentów historii, kawałków życia, odcinków /bo są i takie/ z różnych poziomów rzeczywistości. Czasami jednak odnosi się wrażenie, że redaktorom robi się w tej kalendarzowej formie za ciasno, że krapują ich ograniczone do pół strony możliwości. Autor notki o alchemii /s. 161-162/ charakteryzuje z ironią płaski ahistoryzm współczesnej cywilizacji naukowej, żeby "zwrócić uwagę, jak nierozsądnie jest opierać się całkowicie na tzw. "światym rozsądku". Potem jednak rezygnuje z wyjaśnienia "paradoksu alchemii" i sam sobie przerywa sceptyczną uwagę o "wiedzy kalendarzowej". Ujawniając zniecierpliwienie ograniczoną pojemnością intelektualną kalendarza, okazuje raptem dysztans wobec niemałej przecież roboty własnej i kolegów z zespołu redakcyjnego.

Leżenie własnej roboty okazali też redaktorzy przebawiając Kalendarz Entuzjastów spisu rzeczy, indeksu, jakiegokolwiek przewodnika po rozmaitej materii wypełniającej kartkę. Jakby to był kalendarz z którego zrywa się i wyrzuca kartki! Te książkę można albo czytać ołówkiem od początku do końca, albo przeglądać. Bardzo trudno do niej wrócić, najzupełniej w potrzaskie, coś odszukać. Pod tym względem uważnie, że chodzi o prawdziwy kalendarz, zabawę z formą kalendarza posunęli redaktorzy za daleko. Nie jest to przecież przedmiot jednorocznego użytku.

SZKIC ZE SKAZĄ

We wstępie do pracy poświęconej stosunkom Kościół - Państwo w Polsce w latach 1944-1956 x/ Andrzej Nowicz zauważa, że "kwestia stosunków Kościół - Państwo w okresie PRL nie posiada zbyt wielu pozycji traktujących o wzajemnych stosunkach Kościoła i państwa"xx/. Pominięszy tautologiczną formę zdania, zawarta w nim obserwacja należy uznać za prawdziwą. Większość Polaków uważa Kościół katolicki za podstawową, najtrwalszą instytucję życia narodowego, ale niewiele o niej wie, a jeśli chce się czegoś dowiedzieć, to nie bardzo ma skąd i jak!

Różne są przyczyny takiego stanu rzeczy, nie najmniej ważną z nich są trudności w dotarciu do materiałów archiwalnych. Nie ma jednak racji Andrzej Nowicz, gdy zastrzega się, że jemu chodzi o trudności z dotarciem do "materiałów strony państwowej". Z powodów oczywistych Kościół strzeże swych archiwów nie mniej pilnie niż KC P PR, udostępnia je z rzadka i tylko osobom zaufanym

Tym większa odpowiedzialność spoczywa na autorze, który podjął się opracowania "szkicu zagadnienia" o stosunkach państwo-Kościół. Czytelnik ma prawo oczekiwać od niego jasnej i czytelnej konstrukcji pracy, uzasadnionej merytorycznie i metodologicznie. Jest to wymóg ważny przede wszystkim ze względów dydaktycznych. Można bowiem zakładać, że większość czytelników Szkicu zagadnienia weźmie książkę do ręki, przeczyta ją i uzna, że dowiedziała się już rzeczy najważniejszych; dalej tematu drążyć nie będzie ze względu na brak czasu i inne zainteresowania.

Po drugie, czytelnik ma prawo oczekiwać, że zostaną mu przedstawione najważniejsze fakty z dziedziny stosunków Kościół-państwo i że będą dla niego jasne kryteria ich doboru, a podane interpretacje zaliczać się będą do tych, co do których w środowisku specjalistów panuje pewna zgoda. Jeśli zaś w danej kwestii

x/ Andrzej Nowicz: Stosunki Kościół - Państwo w Polsce w latach 1944-1956. Szkic zagadnienia. Wydawnictwo Głocny. Poznań 1984.

xx/ Wszędzie, gdzie nie zaznaczono inaczej, cytaty pochodzą z omawianej pracy.

sgiczy takiej nie ma, to autor zaznaczy dlaczego zdecydował się na taki a nie inny wybór.

Po trzecie, czytelnik tej książki od jej autora nie oczekuje nowych badań źródłowych, rewelacji, sensacji i odkryć, lecz wycisnąć z istniejącej bazy źródłowo-bibliograficznej tego, co najważniejsze, i podania ekstraktów w przystępnej formie!

Warunki takie nie obowiązują w publicystyce, w piśmarstwie politycznym, które odwołuje się do historii. Mają jednak zastosowanie przy ocenie prac historycznych, także popularyzatorskich. Podtytuł "szkielet sągędnienia" scharakteryzuje. Ponadto Andrzej Nowicki historykom państwowo-partyjnym zarzeka najzupełniej eduznie - że pisną bardziej "hrozury agitacyjne - liczące nielkiedy setki stron - niż rzetelne prace naukowe, historyczne". Słowo się rzekło, kobyłka u pkota.

Niestety, praca Andrzeja Nowickiego nie spełnia żadnego z podanych wyżej wymogów.

Zasobnicy od wykorzystanej bazy źródłowo-bibliograficznej. Jest ona w ogóle bardzo niewielka, a w omawianej pracy kompromitująca wąska wobec szczipłej przecież ilościowo literatury przedmiotu. Brak tu prac podstawowych, co odbija się w sposób widoczny i niekorzystny na toku i treści wykładu. Najważniejsze braki to:

1. Peter Rainis, Stefan Wyszyński, Prymas Polski. Tom I: Oficyna Postów i Malarzy, Londyn 1979 /cyt. dalej jako Prymas Polski/.

Praca podstawowa ze względu na obficie cytowane j e d y n i e w tej pracy ujawnione źródła, udostępnione autorowi przez Kościół. Praca zawiera: korespondencje przedstawicieli Episkopatu z rządem; korespondencje biskupów ordynariuszy z Prymasem i sekretariatem Episkopatu; korespondencje biskupów ordynariuszy z władzami lokalnymi; protokoły z posiedzeń Konferencji i Rady Głównej Episkopatu; protokoły /sporządzone przez stronę kościelną/ z rozmów z przedstawicielami administracji państwowej.

2. Andrzej Micewski, Kardynał Wyszyński, Prymas i Mąż Stann, Editions du Dialogue, Paris 1982 /cyt. dalej jako Prymas i Mąż Stann/. Uzasadnienie: jak wyżej.

3. Listy pasterskie Episkopatu Polski 1945-1974. Editions du Dialogue, Paris 1975, oraz: Listy Pasterskie Prymasa Polski 1946-1974. Editions du Dialogue, Paris 1975. Podstawowe wydawnictwo źródłowe.

Brak też w "materiałach wykorzystanych" szeregu wartościowych pozycji z "Naszej Przyszłości" i

"Ateneum Kapitańskiego".

Młodośćatki bibliograficzne odbiły się na treści pracy; doborze faktów i ich interpretacjach. Natomiast podejrzewam, że polityczne sympatie autora miały wpływ na konstrukcję broszury.

Autor podzielił omawiany okres na trzy podokresy: "początek drogi" /lata 1944-1946/, "otwarta walka" /lata 1947-1955/ z wyróżnieniem dwóch cesur: porozumienia z kwietnia 1950 oraz aresztowania Prymasa w wrześniu 1953/; oraz "przełom październikowy" /1956/. Jest to podział słuszny i sensowny.

Dużą wadą jest natomiast całkowite pominięcie kontekstu międzynarodowego i smian wewnątrz bloku radzieckiego /poważenie Komintorna, "zimna wojna"/, które wpływały na sytuację Kościoła w Polsce /bardzo ważny czynnik przecięcie normalnej komunikacji między Episkopatem i Prymasem a Stolicą Apostolską/. Autor nie wspomina w ogóle o problemie Watykanu i papieżstwa /poza krótkie wzmianki w "Dzienniku Zachodnich"/, który był momentem kluczowym dla stosunków Kościół-państwo, i cały czas wywierał na nie poważny wpływ. Nie ma ani słowa o papieskiej skomunikacji wobec osób należących do partii komunistycznej i do popierających je /lipiec 1949/. Takie władz na papieża i próby znowu nia więzi między Stolicą Świętą a Episkopatem, które były stałym motywem działań władzy, nie doczekały się najmniejszej wzmianki. I przecież wierność hierarchów papieżowi bywała w omawianym okresie jednym z podstawowych problemów w stosunkach państwo-Kościół. Specjalnie tego nie ukrywano. Po bardzo ostro krytykowanym przez prasę komunistyczną i PAX-owską wywiadzie Prymasa dla "Tygodnika Powszechnego" z 16 grudnia 1951 r. prowadzący z imienia PZPR politykę wobec Kościoła Franciszek Mazur w rozmowie z biskupem Klepaczem stwierdził: "Gdyby tam nie było o papieżu inaczej byśmy podeszli do całej sprawy" /Prymas i Mał Stany, s. 77; cytuje wg przedruku fotokopistowego o zmienionym formacie i paginacji/.

Mowca nie tylko traktuje w swej pracy Kościół jako zjawisko czysto lokalne, a nie powszechne, czyli katolickie /oczywiście chodzi mi o potraktowanie historyczne a nie doktrynalne/, ale także władze komunistyczne w Polsce jako autokratyczne, choć dodaje sakramentalne zastrzeżenia o ich podległości. Chodzi jednak nie o deklarację, ale o narrację historyczną. Jeśli nawet odrzucić rewelacje Świętych o tym, że sekretarz KC PZPR Mazur i minister Wojski byli agentami NKWD, jako nie zasługujące w pełni na wiarę ze względu na charakter źródeł /choć wielce prawdopodobne/, to wydaje się niewątpliwe, że o aresztowaniu Prymasa zdecydowano w Moskwie. Ponadto chronologiczna analiza ataków prasowych poprzedzających uderze-

nia policyjne wykazuje, że odpowiednie decyzje w sprawie Kościół w Polsce zapadały na Kremlu /tak było na przykład z artykułem Makarenki w "Prawdzie" z 17 lipca 1951; Prymas Polski, s. 448-449; Prymas i Mał Stann, s. 167.

Przyjęta przez Nowioza "optyka lokalna" rzutuje na konstrukcję pracy i jej treść, z wyraźną krzywdą dla prawdy historycznej i czytelnika.

Wspomniany wpływ sympatii politycznych na konstrukcję pracy objawia się w nadmiernym wyeksponowaniu dziejów i roli Stronnictwa Pracy - polskiej odmiany chrześcijańskiej demokracji. Andrzej Nowioz poświęca Stronnictwu tyle miejsca w szeszypym objętościowo saskicu, i przywiązuje do niego taką wagę, że czytelnik odnosi wrażenie, iż w latach czterdziestych była to jedna z najważniejszych spraw w stosunkach Kościół-państwo. A tak po prostu nie było.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Stronnictwo Pracy jest obecnie w Polsce formacją, jak najniechętniej zapominaną. Powodem jest między innymi to, że wielu jego wybitnych przedstawicieli wyginęło w stalinowskich więzieniach; a tmi po październiku 1959 nie zdążyli, pomim starań, podjąć szerzej działalności publicznej. Współcześnie główną rolę w środowiskach katolików świeckich odgrywają kregi niechętnie chadeckiej formule /"Tygodnik Powszechny", "Znak", "Więź", KIK-i/. Co więcej, próby założeń partii chrześcijańsko-demokratycznej w warunkach socjalizmu realnego wiodły do całkiem posuniętej i przez to kompromitującej współpracy z władzą ni /przyrpadek Janusza Zabłockiego i PZKS/. Wszystkie te czynniki sprawiły, że chadecki trakt wana jest obecnie z mizszaniem niechęci i lekceważenia.

Ten stan rzeczy powinien jak najszybciej ulec zmianie i są omy, że tak właśnie się dzieje. Wywiady Wiesława Ciołkowskiego i Czesława Strzeszczyńskiego dla "Przeglądu Katolickiego" oraz seria publikacji w Chrześcijaństwie w Świecie /lata 1981-83/ są dobrą zapowiedzią. Stronnictwo Pracy ma olbrzymie zasługi dla Kościoła i narodu. Należy tę tradycję przywrócić historycznej pamięci Polaków; nie należy jednak historię i stosunków Kościół-państwo zamieniać w historię Stronnictwa Pracy. Skrzywdza to proporcje i dezorientuje czytelników.

Także pod względem merytorycznym praca Andrzeja Nowioza rci się od usterek. Tytułem przykładu wymienimy niektóre z nich:

1. Nie jest prawdą, że Manifest PWKN "zapowiadał utrzymanie w mocy Konstytucji marcowej z 1921 roku". Stosowny fragment Manifestu brzmi: "Podstawowe za-

żołenia konstytucji z 17 marca 1921 r.: obowiązującą będą aż do zwolania /.../ Sejmu Ustawodawczego /.../.

O to, czy obowiązując w Polsce konstytucja marcowa, czy też jej "podstawowe założenia" i oto, co jest, a co nie jest "podstawowym założeniem" toczyła się w latach czterdziestych walka. Brało w niej udział nie tylko PSL, ale i katolicy /por. np. "Tygodnik Powszechny", nr 25 z 1945 roku/. Najwyższą instancją orzekającą co jest "podstawowym założeniem" pozostali jednak komuniści /por. ks. Karoliera Działocha, Janusz Trzciniński: Zagrożenie obywatelstwa Konstytucji marcowej w Polsce Ludowej 1944-1952, Wrocław 1977/. Manifest PWWL sąpowiadał stan prawno-ustrojowej i konstytucyjnej próżni w Polsce, co było dla ZSRR i komunistów bardzo wygodne.

2. Konkordat został zerwany przez Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej 12 września 1945 roku; uszczelniano ten krok tym, że Watykan mianował podczas wojny niemieckich administratorów niektórych polskich diecezji. Nowicz stwierdza, że podane powody zerwania były nieuszczelnione, ponieważ jurysdykcji kościelnej tych administratorów podlegali wyłącznie Niemcy. Jest to argument prawdziwy w stosunku do administratora tak zwanego Warteholanda. Jeśli chodzi o mianowanie gdańskiego biskupa Spiewka administratorem pelpińskiego, to argumentacja Watykanu oraz polskiej hierarchii, że krok ten nie był złamaniem IX punktu Konkordatu, była odmienna /por.: Dr Stefan Wyszyński: Pius XII a Polska, "Ateneum Kapitańskie", T.VI, 1946, s. 30-31/.

3. Nie można, jak czynił to Nowicz, określać "Tygodnika Warszawskiego" jako "piśma zbliżonego profilem do krakowskiego "Tygodnika Powszechnego". O podobnym profilu można mówić jedynie z tej racji, że oba piśma były katolickie i redagowane przez katolików. Ale różnice były ni mniej istotne. Piśmo warszawskie było o wiele bardziej upolitycznione niż krakowskie, robili je ludzie o odmiennej tradycji ideowej wewnątrz polskiego katolicyzmu, związani z nurtem oświeceniowym i częściowo narodowo-demokratycznym. Część tych środowisk chciała odegrać aktywną rolę polityczną. Zapewne taka właśnie, bardziej śmiała i radykalna w dziedzinie politycznej linia "Tygodnika Warszawskiego", zdecydowała o likwidacji piśma przez komunistów i o aresztowaniu redakcji.

4. Jeśli chodzi o dywersyjną, rozłamową i prokomunistyczną grupę "wojewodów" w Stronnictwie Pracy, to stwierdzenie, że "nie miała ona nigdy nic wspólnego z ideologią chrześcijańsko-społeczną - wręcz przeciwnie - stała wobec niej w jawnej opozycji" wydaje się zbyt daleko posunięte. Prawdą jest, że niektóre osobistości

w tej grupie miały związki z neopogańską "Zadrugą"; ale starały się jej idee w swoisty sposób chrześcijańszczyć. Sam Pelczak był; jak o tym zresztą wspomina Nowicki, działaczem Stronnictwa do rozdania w 1942 roku /w tym przedstawicielem w Politycznej Komisji Porozumiewawczej/, trudno więc twierdzić, że z ideologią chrześcijańską - społeczną nie miał nic wspólnego. Sprawy te omawia obszernie praca doktora Jacka Majchrzowskiego /Główna politycznych ugrupowań katolickich/, której wydanie zapowiada wiersze emigracyjne "Księża".

5) O negocjacjach między grupami katolickimi /wreszcie 1946/ w sprawie utworzenia przed wyborami do Sejmu w 1947 roku katolickiej partii politycznej pisze Nowicki następująco: "W tym czasie Bolesław Piasecki prowadząc rozmowy z przedstawicielami Stronnictwa Łewy, starał się wpłynąć SP do wyborów /oczywiście stroniąc od pusiakotyypów do urny w "Bloku"/. Jego zamiarem, czy może raczej zamiarem jego mocodawców, było powołanie partii katolików, która uznana przez Episkopat Polski miałaby, według zapewnień Piaseckiego, zagwarantowane przez PRR dopuszczenie do wyborów. W całej tej konstrukcji politycznej, budowanej na wąskiej kładce, istniał mały problem. Bowiem Bolesław Piasecki kładł połowy miejsce w zarządzie głównym nowego organizmu politycznego dla grupy »Dzisiaj i Jutro«, Stronnictwo Łewy odrzuciło kolejną próbę ubiegawstwa o wzięcie".

A oto opis wydarzeń podany przez Andrzeja Micewskiego: "/.../ środowiska katolickie stanęły w okresie przed pierwszymi powojennymi wyborami do sejmu w 1947 roku wobec możliwości utworzenia katolickiego stronnictwa politycznego. Partia chciała zezwolic na jego powstanie, z pewnością w celu osłabienia opozycyjnego PSL. Piasecki oczywiście palił się do tego projektu. Stronnictwo miało obejmować osobistości katolickie z dawnego SP; z "Tygodnika Wawerszawskiego", z grupy "Dzisiaj i Jutro", z krakowskiego "Tygodnika Powazecznego"; i wreszcie katolickich współpracowników piisma "Odra". Rozmowy prowadzone w celu powołania stronnictwa były trudne; ponieważ przedstawiciele ugrupowań nie mogli osiągnąć porozumienia co do propozycji reprezentacji. W szczególności grupa chrześcijańsko-demokratyczna chciała mieć goście, to znaczy minimum 50 procent + 1 miejsce we władzach."

Kardynał Hlond, początkowo żywioły wobec koncepcji stronnictwa, po naradzie Komisji Rady Głównej Episkopatu, powiadomił zainteresowanych działaczy w październiku 1946 r.; że nie widzi możliwości powstania stronnictwa katolickiego. W ten sposób sprawa została pogrzebana, co zresztą później wszyscy,

każdy z innych powodów; uznali za bardzo szczęśliwy obrót sprawy /Współzadanie czy nie kłamać; libella; Paryż 1978 s. 29/. Nie przesądzam tutaj kto ma rację: Micewski, który sympatią do chadecji nie paża, czy też Nowicz, który paża. Istotne różnice sprowadzają się do dwóch punktów: 1. czy rokowania były dwustronne czy wielostronne; 2. kto zakończył całą sprawę - SP czy Prymas.

6. Nie jest prawdą, że 1946 rok przyniósł początek poważnej propagandowej walki z Kościołem i hierarchią kościelną. Prasowe incydenty zdarzały się, ale linia zasadnicza była umiarkowana i spokojna. Charakterystyczny dla niej był wywiad Bieruta udzielony Ksaweremu Pruszyńskiemu /20 listopada 1946/. Nowicz o nim nie wspomina w ogóle; choć był to głośny fakt polityczny, który wywołał ożywione reakcje środowisk katolickich.

7. Andrzej Nowicz nie pisze o takiej płaszczyźnie konfliktu Kościoła z państwem jaką było nowe, zniacyzowane prawo małżeńskie. Dziś ta sprawa może wydawać się mało ważna, ale ówczesnie była niezwykle istotna dla Kościoła. Głos w tej sprawie zabierali najwybitniejsi hi 'archowie z kardynałem Adamem Sapiechą, i i publicyści L .olicoy /"Tygodnik Powszechny" nr 5, 13, 19, 20, 22 z 1945 roku, także "Tygodnik Warszawski"/. Po ogłoszeniu nowego prawa małżeńskiego głos zabrakł: Episkopat wydając Uroędzie w sprawie małżeńskiej /7 grudnia 1945/. Był to pierwszy poważny i publiczny konflikt Kościoła z państwem.

8. Z zupełne niezrozumiałych powodów Andrzej Nowicz nie wspomina ani słowem o jednym z najważniejszych dokumentów ustrojowych polskiego katolicyzmu, o Katolickich postulatach konstytucyjnych uchwalonych przez Episkopat i opublikowanych w prasie /"Tygodnik Powszechny" 1947 nr 16/. Był to dokument prekursorski, wyprzedzający, moim zdaniem, niektóre sformułowania Vaticanum II. W swoich postulatach konstytucyjnych Episkopat Polski nie ograniczył się do żądania zabezpieczenia praw Kościoła, ale przyjął za zasadnicze kryterium oceny ustroju prawa człowieka i obywatela /choć sformułowania te nie zostały użyte/. Linia ta została z całą stanowczością, choć w sformułowaniach z natury rzeczy bardziej oględnych, podtrzymana w środku nocy stalinowskiej; w postulatach konstytucyjnych Episkopatu z 11 lutego 1952; zdjętych przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego" /Prymas Polski, s. 466-478/. O postulatach konstytucyjnych Episkopatu z 1952 też nie ma u Nowicza żadnej wzmianki, choć należą one do omawianego przezeń tematu.

9. Nowicz pomija milczeniem szereg ustępstw Prymasa i Episkopatu wobec władz, dokonanych pod naciskiem w latach 1950-1954, zarówno przed aresztowaniem kardynała Wyszyńskiego, jak i po nim. Jest to niezrozumiałe. O tych ustępstwach i kompromisach piszą zupełnie otwarcie historycy obdarzeni zaufaniem hierarchii /Raina, Mioewski/, i dopuszczani do archiwów kościelnych.

Chodzi o takie posunięcia, jak: deklaracja w sprawie pokoju międzynarodowego i tzw. Apel Sztokholmski; deklaracja z okazji II światowego Kongresu Pokoju /Prymas i Mał Stann, s. 10/, deklaracja z okazji wyborów do Sejmu w 1952 roku /Prymas Polski, s. 479-480; Prymas i Mał Stann, s. 20/. Nowicz nie wspomina też o oświadczeniu Episkopatu z 28 września 1953 po aresztowaniu Prymasa i o ślubowaniu Episkopatu na wierność PRL /"Słowo Powszechne" z 18 października 1953/.

Nie należy się obawiać, że przypomnienie tych spraw rzuca cień na Kościół i biskupów. Do aresztowania Prymasa Kościół siedział na ustępstwa pod bardzo silną presją /choć były to ustępstwa dające się obronić z punktu widzenia doktryny katolickiej/, a pośrednio w rozmowach z rządem /Piasecki/ doradzali ustępstwa przed zastosowaniem przez władze nacisków w postaci represji /Współrządzić czy nie klęmac, s. 48-52/. Jednakże taktyka Prymasa była inna: ustępstwa bez nacisków wikałyby Kościół w dwuznaczną, moralnie grą, a tak było jasne, że dokonywano ich, by uniknąć większego zła. Gdy władze doszły do punktu, poza który Kościół nie mógł się posunąć /dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych/ Episkopat powiedział: non possumus, nie możemy.

Jeśli chodzi o stanowczo za daleko posunięte ustępstwa Episkopatu po aresztowaniu Prymasa, to sam kardynał Wyszyński zrozumiał motywy troski o Kościół, jakie kierowały biskupami. Znalazło to wyraz w akcie symbolicznym: podczas audjencji u papieża w maju 1957 r. po jednej stronie Prymasa stał więziony i nęczony biskup Baraniak, po drugiej - biskupi Choromański i Klepacz, którzy kierowali Episkopatem po uwieszeniu kardynała /Prymas i Mał Stann, s. 35/. Ale nawet, gdyby tak nie było naprawdę to obowiązkiem historyka jest napisać o tych trudnych i bolesnych sprawach.

10. Nie ma w Szkicu zagadnienia wzmianki o tak istotnym fakcie z dziedziny stosunków państwo-Kościół jak wydanie w sierpniu 1949 r. dekretu o ochronie wolności sumienia i wyznania z antykościelnym artykułem 4 /"Kto nadużywa wolności wyznania, odmawiając

„udostępnienia obrzędu lub czynności religijnych z powodu działalności lub poglądów politycznych, społecznych albo naukowych - podlega karze więzienia do lat pięciu"/, który był bezpośrednią reakcją władz na ekskomunikę Piusa XII z lipca tego roku!

Wyminenkiem dzieł się usterek pracy Nowicza. Można bym dodać drugie tyle, poczynając od sprawy podstawowych /jednostronna prezentacja ponowżnienia z kwietnia 1950/ po drobniejsze /nieodnotowanie wydania ustawy o Urzędzie d/c Wyznań z art. 4 oprotestowanym przez Episkopat 12 września 1990 r./! Nie o mrozenie zastrzeżeń chodzi jednak w tej recenzji!

Opublikowanie pracy Andrzeja Nowicza przez wydawnictwo niezależne uważam za duży błąd. W publicystyce politycznej możliwa jest nawet daleko posunięta dowolność w traktowaniu historii, choć zewszę lepiej tego unikać. Określanie historii Polski, zwłaszcza jej dziejów najnowszych, jest wisłkim zadaniem niezależnych historyków i wydawnictw. Tu powinna obowiązywać rzetelność najwyższej próby. Praca historyczna wydana niezależnie musi być jak żona Cezara - bez skazy! Niestety Andrzej Nowicz sboczyk z ciernistej ścieżki historycznej cnoty!

L.D.

Niefortunny przypadek sprawił, iż w czasie pisania tych uwag na marginesie książki Macieja Poleskiego x/ dowiedziałem się o aresztowaniu autora. Powiększył więc grono ludzi, o których traktuje ta oto myśl St. J. Leca: "Wielu z tych, co wyprzedzili swój czas, musieli nań czekać nie w najwygodniejszych pomieszczeniach." Życząc Poleskiemu ryciej zmiany pomieszczenia na znacznie wygodniejsze chciałbym zwrócić uwagę, że i jemu nieobca jest umiejętność charakteryzowania sytuacji przy pomocy wielkiego skrótu myślowego. W swojej książce tak oto formuluje podstawowy, jak się wydaje, dylemat współczesnej Polski: "Żyjemy w kraju, w którym społeczeństwo nie może, niestety, wybrać sobie władzy. Ale władza też nie może sobie wybrać innego społeczeństwa." Właśnie w fakcie, iż społeczeństwo zaistniało po raz kolejny na arenie historycznej, i coraz bardziej się krystalizuje w samostanny, autonomiczny organizm - wbrew nieustannie, od lat czterdziestu, ponawianym przez system staraniom do rozwiązania tego społeczeństwa w zatamizowaną miazgę - upatruje Poleski podstawowe przesłanki do niepesymistycznego prognozowania przyszłości.

W swej publicystyce zwraca przede wszystkim uwagę na społeczny kontekst tego, co dzieje się w Polsce. To ważna cecha, nadająca myśleniu autora kierunek antymitologiczny, powleczalnym nawet - pragmatyczny, a w każdym razie przyczyniająca się do tego, że teksty pozbawione są emocjonalnej tromtadacji. W zamykającym tomik szkicu Program i organizacja /marzec '83/ powiada wprost, iż dążenie do Polski niepodległej i demokratycznej to za dużo jak na doraźny postulat i za mało jak na czytelny dla normalnego Polaka program. Po to, żeby program taki był realny i znalazł rezonans społeczny, muszą znaleźć się w nim sposoby działań umożliwiające budowanie niezależnie od uwarunkowań politycznych samorządnych inicjatyw i organizacji społecznych. I tego właśnie m.in. społeczeństwo oczekuje - jak, zgodnie z prawem /lub może obok prawa/, organizować się do takich działań, w tym również do rewindykacyjnej walki związkowej. Postulat ten został przez

x/ Maciej Poleski: Wolność w obozie. Wydawnictwo CWA, Warszawa 1984.

Poleskiego precyzyjnie sformułowany w artykule opublikowanym w "Krytyce" /1984 nr 17/: "Natury systemu zmienić nie można. Na razie obalić go się nie da. /.../ Należy dążyć do zmiany systemu przez wymianę jego instytucji. Tylko oszczędne cele polityczne pozwolą wyważyć nowe obszary wolności. /.../ Dotąd niezależne instytucje walczyły o wielkie zmiany w ramach systemu. Proponuje odmienną taktykę. Walczymy o tysiące małych zmian, nie troszcząc się o to, czy zmieszcza się one w ramach". A więc chodzi nie tyle o "żądanie wolności, o znalezienie sposobu na wolnościową samorealizację." Brzmiałoby to dość płaśko i mało porywająco, gdyby Poleski tego pragmatycznego postulatu nie uzupełnił dwoma niezwykle istotnymi elementami. Pierwszy z nich dotyczy takiego budowania stanu świadomości społecznej, aby można było mówić o powszechnej zmianie Polaków w dążeniu do konkretnych celów oszczędnych, które powinny w przyszłości /niekiedy przecież daty nie jest w stanie podać/ skłonić się w postacią niepodległej i demokratycznej państwowości. Czyli niezbędne jest tworzenie nowej wyobraźni społecznej, pozwalającej przewidywać niemałą zapewne ilość lat w przyszłej kondycji psychicznej, nie mówiąc już o fizycznej. Jest to więc propozycja zajęcia czynnej, a nie bierności i tylko obronnej postawy wobec systemu. Społeczeństwo, w którym dominuje poczucie bezsilności skazane jest na klęskę. To prawda. Poczucie siły trzeba jednak również budować. Nie jest to proste, bowiem nawet do niezależnych inicjatyw społecznych przenikają zarazki sowytyzmu. Należy do nich tendencja do spychania konkretnej pracy w dół, a konkretnych decyzji w górę.

Natomiast drugi element dotyczy sposobu prowadzenia gry z władzą, również gry politycznej. "Solidarność" - rozumiana przez Poleskiego przede wszystkim jako ruch społeczny, opierający się jedynie na gęstym archipelagu społecznych inicjatyw i działań - powinna usprawnić swą organizację i ośrodki decyzyjne tak, by umieć naskakować aparat władzy, a nie musieć dostawać się do kolejnych jego posunięć. Wiąże się to z pilną koniecznością wyciągnięcia nauk z błędów popełnionego przed 13 grudnia, kiedy to Związek zupełnie nie był przygotowany do konfrontacji. Wynika z tego m.in. konieczność dopracowania się normalnej i rezerwowej sieci łączności wewnątrz każdej zorganizowanej grupy, a także umiejętność wariantowego planowania akcji politycznych.

I znowu w myśleniu Poleskiego wraca tendencja pragmatyczna: "Trzeba rozgrywać kolejne partie a nie

frustrować się brakiem generalnego zwycięstwa." Wiele zależy zatem od umiejętności dynamicznego trwania między klęską a zwycięstwem. A do tego nie przyczynia się licytacja na słowa, nader często spotykana w propozycjach programowych /przede wszystkim grup o orientacji hurra-niepodległościowej/, prezentowanych w nieoficjalnym obiegu.

Owa polska "wojna ograniczona" między władzą i społeczeństwem toczy się, według Poleskiego, w sytuacji skrajnie spolaryzowanej. I tak rzeczywiście jest. Warto by się jednak zastanowić, czy spolaryzowane widzenie nie prowadzi do nadmiernych uproszczeń, i czy nie ogranicza pola naszych społecznych działań? Jeżeli Poleski mówi o "milczeniu morza", mając na myśli odmowę społeczną wobec propozycji przyjęcia warunków stawianych przez władzę pod presją elity, to nie powinno się to przejawiać tylko w działalności na zewnątrz systemu, prowadzonej przez elitarnie z konieczności grupy związkowej opozycji, ale również w zachowaniach, postawach i działalności tysięcy ludzi funkcjonujących w ramach systemu, w jego instytucjach. Może i im trzeba powiedzieć co i jak mają robić, jak się zachowywać, a w każdym razie może warto przekazywać w ich stronę jakiegoś impulsy i bodźce? Po prostu nie jestem pewien, czy skrajna polaryzacja, której konsekwencją jest zanik jakiegokolwiek komunikacji jest aż tak polityzacja z n i e korzystna jak to się na pozór wydaje. Nie ma chyba żadnego powodu, aby oprócz niezbędnego wywierania nacisku na system z zewnątrz, nie starać się szukać sposobów wywierania takiego nacisku i od wewnątrz, co jest sprawą co najmniej równie, jeśli nie bardziej, skomplikowaną. Umiejętność szukania i znajdowania sojuszników i sympatyków należy również do umiejętności prowadzenia gry politycznej.

Wydobyłem tylko jeden wątek z rozważań Poleskiego. Jest on najmocniej rozbudowany w jego publicystyce /obejmującej artykuły powstałe od 1978 r./, ale przecież nie jedyny. Autor mówi sporo o uwarunkowaniach i perspektywach "chozowych" i europejskich polskiego dyktanda. Są to jednak wątki potraktowane wrywkowo i daleko im do jakiegóż poważniejszej analizy, co zresztą nie było chyba ambicją Poleskiego. Przesłania je przesztą owa piękna przenikliwość społeczna, która pozwoliła Poleskiemu już w 1978 r. zanotować fakt wejścia na scenę historyczną nowego pokolenia Polaków. Zjawisko to nie zostało przerwane. Ten proces trwa. Podejrzewam, że z jego konsekwencji nawet i teraz nie potrafimy sobie jeszcze zdać sprawy. Powiem - żeby znów powołać się na Leona - "nie każdy potrafi tańczyć do muzyki przyszłości".

W.A.

Powstanie Warszawskie obrosło już nie tylko w legendę, ale i w wielką górę książek naukowych, beletrystycznych, wspomnieniowych. Jest wśród nich wiele pozycji cennych i bardzo cennych. Książka Władysława Bartoszewskiego x/ nawet na bogatym tle dotychczasowej literatury o Powstaniu jest pozycją o niezwykłej wadze.

Bartoszewski w swojej pracy hołduje starej, skromnej maksymie wielkich historyków: najpierw fakty, a dopiero potem interpretacje, komentarze, oceny. O fakty, o ich ujawnianie, o niefałszowanie walczy Bartoszewski całym swoim życiem. Szacunek dla nich dokumentowały wszystkie jego poprzednie książki, wśród nich pionierskie, fundamentalne prace, takie jak: Warszawski pierścień śmierci czy 1859 dni Warszawy.

Dni walczącej stolicy są także książką faktograficzną, przekazującą uczciwie wiedzę o zdarzeniach historycznych, które określa się wspólnym mianem: Powstanie Warszawskie.

Ale jest ta książka zarazem czymś innym i czymś więcej, niż popularyzacją wiedzy o Powstaniu.

Książka - jak informuje Słowo od wydawcy i co pamiętamy z niedawnych lat - powstała jako cykl po kronikarsku pomyślanych aukcji radiowych, nadanych w programie III Polskiego Radia w dniach od 30 lipca do 4 października pamiętnego roku 1981. Powstała na zamówienie społeczeństwa, pragnącego pełnej wiedzy o faktach z dziejów najnowszych. Wolna jest od doktrynalnej oceny, jaka towarzyszyła w mniejszym lub większym stopniu wiążęcości poprzednio wydanych prac o Powstaniu Warszawskim, nawet najbardziej rzeczowych i uczciwych. Wolna jest od owego przesłania ocenającego Powstanie jako wynik "błędnych koncepcji politycznych". Nie ma w niej mowy o "lekkomyślności przywódców" ani o "błędach politycznych i wojskowych popełnionych przez krajowe ekspozytury londyńskiej emigracji" /których to określeń nie zabrakło nawet u Krichmajera/.

x/ Władysław Bartoszewski: Dni walczącej stolicy. Kronika Powstania Warszawskiego. "Aneks" Londyn. Wydawnictwo Krag. Warszawa 1984.

Bartoszewski zwięźle uprzytamia sytuację ostatnich dni lipca 1944 r. w Warszawie. Sytuację, w której cofający się Niemcy, po rozbiciu ich obrony przez wojska radzieckie, przygotowują się do tworzenia nowej linii obrony na Wiśle. Choć użyć do tego celu ludności stolicy; warszawiacy bojkotują ich zarządzania. Dowództwo Armii Krajowej nie chce i - jak to wielokrotnie udowodniano - nie może przy istniejącej presji społecznej "stać z bronią u nogi". Tym bardziej, że - jak pisze Bartoszewski - "odgłosowi dział radzieckich spod Otwocka i Radzymina towarzyszy krzepiący głos radiostacji im. Tadeusza Kościuszki, która 30 lipca ostro-krotnie nadała apel do Powstania, poparty niewątpliwie racjonalnymi argumentami:

Wojska radzieckie gwałtownie zbliżają się do Pragi. Nadchodzą, aby przynieść nam wolność. Niemcy wyparci z Pragi będą usiłovali się bronić w Warszawie. Żeńcą zniszczyć wszystko. W Białymstoku burzyli wszystko przez sześć dni. Wymordowali tysiące naszych braci. Uczyńmy, co tylko w naszej mocy, by nie zdołali powtórzyć tego samego w Warszawie.

Ludu Warszawy! Do Broni! Niech cała ludność stanie murem wokół Krajowej Rady Narodowej; wokół warszawskiej armii podziemnej. Uderzcie na Niemców! Udaremnijcie ich plany zburzenia budowli publicznych. Pomóżcie Czerwonej Armii w przeprawie przez Wisłę, przesyłajcie wiadomości, pokazujcie drogi. Milion ludności Warszawy niech stanie się milionem żołnierzy, którzy wypędzą Niemców najeźdźców i zdobędą wolność.

Te słowa przesyłane z prawego brzegu Wisły przez radiostację armii polskiej walczącej przy boku Armii Czerwonej "dostosowane były wyjątkowo do rzeczywistych nastrojów ludności miasta, a w szczególności do nastrojów młodzieży", która uważała, że oczekiwanie na stosowny moment do walki trwa zbyt długo. Dopełniły też ciągu przesłanek przemawiających za wybuchem Powstania. Przesłanek, wśród których była tak ważna jak ta, że Niemcy mogą uczynić z miasta teren walk, podczas których musi ono ulec zniszczeniu. Oczywiście, liczone na dalszą, szybką akcję armii radzieckiej, co nie nastąpiło. Powstańcy zostali sami, bez wsparcia. Z perspektywy kłękł pisała w Przypadkach ożłowieka myślącego Maria Dąbrowska, że była to sytuacja, w której każdy wybór musiał być zły; w której za każdą decyzję będzie się potępionym. Zarówno za decyzję o podjęciu walki, jak i o jej zaniechaniu.

Bartoszewski uprzytamia tę sytuację ostro, ale - podobnie jak Dąbrowska - nie kwestionuje racji Powstania. On je jak i sam przebieg walk powstańczych, r e l a c j o n u j e.

Relacja to przy tym bardzo specjalna. Ramę konstrukcyjną książki stanowi diariusz faktów przedstawionych kolejno, w ciągu 63 dni Powstania, faktów najważniejszych, wybranych z obfitej literatury przedmiotu i własnego doświadczenia pisarza-uczestnika. Ale niewyłącznie Dni walczącej stolicy polega na tym, że ten diariusz faktograficzny książki popularno-naukowej dopełniony został głosami żywych ludzi, którzy brali udział w Powstaniu i przywożani zostali jako świadkowie tamtych 63 dni. Te głosy nie tylko przydają książce barwy i życia; nie tylko decydują o jej swoistej gatunkowej odrębności. Sprawiają też, że "historia", że przeszłość ukazuje się w niej jako autentyczne "wczoraj" dzisiejszych ludzi Warszawy. Oczywiście dzieje się tak dlatego, że ten pomysł konstrukcyjny realizuje Bartoszewski konsekwentnie i znakomicie, że wprowadza w ciąg swojej kroniki "znaczące", "ważne" osoby. Że daje istotne tyciorysy uwiarogodniające tamten odległy czas.

Oto przedstawia autor realia pierwszego dnia Powstania, odtwarza Warszawę w niezwykłym dniu 1 sierpnia 1944 roku. W fakturę związku wykładu kronikarza wmontowuje wypowiedzi trzech współczesnych wybitnych ludzi Warszawy dzisiejszej: Zdzisława Sierpińskiego, Stefana Kisielewskiego i Aleksandra Gieysztor. Ci trzej uczestnicy Powstania rekonstruują w zwykłej gawędzie swój dzień pierwszego sierpnia 1944 roku. Sierpiński, wówczas żołnierz AK, opowiada o przypadkowym, nieplanowanym starciu swojej drużyny z żołnierzami Wehrmachtu, którzy zaatakowali okłopców spieszących na zbiórkę na Żoliborzu. Stefan Kisielewski odtwarza przedzieranie się przez centrum miasta na punkt zborny grupy radiowej przy Delegaturze Rządu, w której pracował. Aleksander Gieysztor, wówczas kierownik Wydziału Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK relacjonuje działania, które podejmował przy boku komendanta okręgu Warszawy-miasta. Powstaje bardzo konkretna, a zarazem różnorodna stylistycznie opowieść o pierwszym dniu Powstania. W rozdziałach relacjonujących ostatnie etapy walk i dzieje przedzierania się kararami z otoczonych i zniszczonych dzielnic miasta przywołuje na świadków tych przejść m.in. Jerzego Stawińskiego i Jana Józefa Lipskiego.

W całym szeregu kronikarsko zapisywanych dni, oprócz relacji świadków i obok nich, przytaczane są odczyty, rozkazy, ogłoszenia, wycinki z ówczesnej prasy. Także nieznane w krajowej literaturze przedmiotu teksty depezy i listów ówczesnych mężów stanu: Churchilla, Stalina. I także materiały z obozu wroga, tj. "dziennik działań niemieckiej 9-tej armii". Wmontowywane są także liczne fragmenty wspomnień już przedtem publiko-

wanych; teksty poetyckie bardzo różnego charakteru: od piosenek i okolicznościowych wierszy, pisanych przez walczących, po wielkie, "kanoniczne" teksty wybitnych poetów: Baczyńskiego, Słonimskiego, Wierzyńskiego, w których utrwalone zostały bohaterstwo i ofiara powstańców.

W tej różnorodności zapisów przychylnych ku normie odcywnego, mówionego języka inteligencji, w świadomości przyjętej perspektywie poznawczej, wychodzącej do przeżycia i doświadczenia pojedynczych, konkretnych ludzi uczestniczących w Powstaniu, książka Bartoszewskiego - w sposób dość niezwykły - spotyka się z Pamiętnikiem z Powstania Warszawskiego Mirona Białoszewskiego. Jest jakby jego dopełnieniem. Epos Białoszewskiego w całości skupiony na cywilnym przeżyciu Powstania, oglądanego od strony zohronów, piwnic, przenoszonych z miejsca na miejsce tobołków z niezbędnym do życia "mieniem"; tu znajduje swoje uzupełnienie; niejako swoją "drugą stronę", stronę wojenną, żołnierskiego przeżycia tych 63 dni. Żołnierskiego, bo książka Bartoszewskiego /takie jest jej założenie/ pokazuje przede wszystkim Warszawę walczącą. Choć zapisuje także martyrologię cywilnej ludności stolicy.

Wyżania się z niej, oprócz wiedzy o faktach i zdaniach, formacja ludzi biorących udział w Powstaniu, ich ethos; ethos Warszawy walczącej, zakorzeniony w modelu życia ofiarnego, życia dla spraw ponadindywidualnych; dla wartości społecznych, narodowych. Warszawa zniewolonej; stłamszonej; nijakiej przeciwstawia ta książka odwagę, ofiarność i solidarność ludzi walczących.

I.M.

Starszaniem nie znanego szerzej warszawskiego Wydawnictwa Copyright 10 /dotąd wydawało ono już kilkanaście pozycji, przeważnie niewielkich przedruków/ ukazała się książeczka Ursyna Radomskiego pt. Czerwiec 1976. Protest i propaganda x/. Opracowanie, liczące 45 stron ścisłego druku /ok. 90 s. znormalizowanego maszynopisu/, wychodzi od dość szczerego opisu przebiegu wydarzeń z czerwca 1976 roku i ich następstw politycznych i społecznych. W relacji tej, obok informacji wiele razy już publikowanych, odnajdujemy też fakty mniej znane /choćby przykłady konkretnych kroków podejmowanych przez administrację centralną i niektórych ośrodków wielkomiejskich na wypadek zamieszek jako odezwu na próbę drastycznego podniesienia cen/.

Ta względnie obszerna część /ponad 1/3 całości tekstu/ wprowadza czytelnika w podstawowy, jak sądzę, nurt rozważań, obejmując nim prezentację i analizę reakcji władz na wybuch społecznego niezadowolenia wywołanego decyzjami cenowymi. Reakcję najwyższego kierownictwa dobrze skreślają wyjątki wystąpienia Edwarda Gierka i Edwarda Bartaucha w trakcie telekonferencji z I sekretarzem województwa. Oto fragment tej przytoczonej w opracowaniu instruktażowej wypowiedzi I sekretarza KC, określającej kierunek i formy projektowanej kampanii propagandowej:

"Trzeba z wczorajszego dnia wyciągnąć własne wnioski. To nie była kłótnia. Ale nie mogliśmy także powiedzieć, że to było nasze zwycięstwo. Uważam, że trzeba będzie w ciągu dnia jutrzejszego i w poniedziałek odbyć we wszystkich województwach masowo wiece, wiece na kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Nawet sto i więcej tysięcy. Muszą to być wieca złożone z ludzi dobranych, żeby brali w nich udział także bezpartyjni. Żeby na wiecu, w oparciu o przygotowany materiał, mogli towarzysze powiedzieć o słuszności naszej decyzji i propozycji, abyście mogli powiedzieć, że nie popieracie metod chuligaństwa i metod narzucania ogromnej większości klasy robotniczej i narodu woli niewielkich grup" /s. 19/.

Babiuch zaś zadanie doprecyzował, nadając zarazem obowiązujący ton i kształt wszystkim późniejszym pro-

x/ Ursyn Radomski: Czerwiec 1976. Protest i propaganda. Wydawnictwo Copyright 10, Warszawa 1984.

pagandowym interpretacjom wydarzeń.

"Hydarmeria pokazały nam - mówił - że naród zachował pełną postawę /.../ Chodzi więc na obecnym etapie o to, żeby woporaższe wypadki przekuć w poparcie dla pierwszego sekretarza, dla partii, dla Komitetu Centralnego, dla rządu i prezesa Rady Ministrów" /j.w./.

Celem propagandowym kampanii miało być: satem wytworzenie w opinii społecznej odpowiedniego, odmiennego od rzeczywistości, obrazu wydarzeń, i wdrukowanie w świadomość ludzi używanych skojarzeń na temat ich przebiegu. Autor słusznie też nie pomija oczywistego bezpośredniego międzywzrostowego politycznego kontekstu tej akcji; z miejscowicie zbliżającej się konferencji przywódców europejskich partii komunistycznych w Berlinie Wschodnim, która rozpoczynała się 29 czerwca.

Materiał magazyniety z "Krytyki Ludu" /edycje z dni 25 VI - 3 VII 1976/ posłużył za egzemplifikację konkretnego produktu propagandowego, powstałego w wyniku realizacji tych dyrektyw. Prezentacji tej dokonał autor ściśle, grupując odpowiednio materiały, według jednak może niebądź jednoznacznie sprecyzowanych kryteriów. Z doniesień PRL-owskich; komentarzy i publikystyki wybrał gwroby i sforsutowania najczęściej używane przez mówców występujących na wiecach; manifestacjach i masówkach oraz w uchwalyonych wtedy rezolucjach. Wszystkie te nierzaz wielotysięczne zgromadzenia odbywały się z jednej strony pod hasłem potępienia nielicznych grup wiohryscielu i chuliganów; pragnących zakłócić - naturalnie bez powodzenia! - i przebieg konsultacji społecznej w sprawie cen; i zdyscyplinowaną wydajną pracę; z drugiej - jako wyraz poparcia decyzji partii i rządu oraz dla Edwarda Gierka osobiście /w mniejszym stopniu - dla Piotra Jaroszewicza/.

Z kolei autor przeszedł do analizy bardziej szczerzej: Poprzez tę, jak ją nazywa, może nieco na wyrost; anatomię kampanii ukazał m.in. sposób w jaki propaganda partyjna usiłowała rozwiązać istotny a zawiły problem. Chodziło mianowicie o wywołanie w społeczeństwie wrażenia, że konflikt; którego było świadkiem; nie był starozem między robotnikami a partią; jej rzekomą emanacją przeciw; lecz między klasą robotniczą i partią z jednej strony, a nieodpowiedzialnymi; izolowanymi grupami; przeważnie marginesu społecznego; przeciw którym teraz właśnie kieruje się szluszny gniew ludu - z drugiej. Przedstawiona w tekście analiza w sposób jasny odsłania mechanizm nakłamywania zarówno przebiegu i prawdziwych rozmiarów; jak i rzeczywistej wymowy zdarzeń.

Jednym z podstawowych zadań kampanii; poza już wspomnianymi; było przeprowadzenie ściślej edukacji społecznej. Społeczeństwo miało pojąć; iż uczestnicy

protestów są godni "moralnej pogardy i potępienia" i że stawiają się poza nawias zjednoczonego wokół partii narodu. Owo edukowanie za pomocą języka propagandy /rojącego się od kwalifikujących przymiotników, eufemizmów i stosowania specjalnego szyku wyrazów/, zdaniem autora służyła osiągnięciu celu jeszcze ważniejszego - kreacji pseudoreczywistości.

Zamykające opracowanie wnioski syntetyczne są może mniej udaną jego osiągnięciem; zgromadzony materiał i dokonana na jego podstawie analiza dawały możliwości bardziej wnikliwych ocen. Oto np. wątpliwa jest dla mnie opinia, że: "Poszukiwanie się językiem w celu kreowania pseudoreczywistości dowodzi osęściowego oderwania się władzy od realnego świata" /s. 45/. Tworzenie pseudoreczywistości jest - jak się wydaje - po prostu cechą komunistycznej /choć nie tylko/ odmiany totalitarnego widzenia świata, przy czym służy osłabieniu rzeczywistym i konkretnym celom - utrzymaniu i wzmocnieniu władzy. Nie stanowi zatem dowodu "oderwania się" od realnego świata. Dzierżyciele władzy dobrze wiedzieli, czym może grozić wprowadzenie podwyżki cen, i zupełnie dobrze, lepiej niż my dziś, znali skalę i natężenie sprzeciwu.

Opracowanie Radomskiego nawiązuje /trudno powieścić/, na ile śmiało /do tego rodzaju pisarstwa, które z powodzeniem uprawia Marek Tarniewski, a także inni autorzy /np. E. Podolska, Z. Imielnioki: Spisek przeciwko prawdzie, czyli techniki przemocy propagandowej, "Krytyka" nr 12/. Tekst utrzymany jest na ogół w konwencji beznamiętnej, bezstronnej relacji i analizy; niekiedy jednak autor wykracza poza narzucony sobie sposób narracji, okraszając ją wtrętami publicystycznymi, "najogólniej szusznymi", a przez to może właśnie najzwyczajniej szkodliwymi. /Cytując np. wyjątek z wystąpienia prezydenta Radomia na wiecu 30 czerwca, wygłasza autor szuszną skądinąd, pozeń najprawdziwszego oburzenia sąd, iż: "Z pewnością na wygłoszenie takiej mowy nigdy nie pozwoliłby sobie wybrany na swój urząd przez mieszkańców miasta zależny od nich prezydent" s. 30/.

Uchybieniem konstrukcyjnym /czy nawet metodologicznym/ jest prezentowanie obok siebie, jako przykładów z kampanii propagandowej, fragmentów zaleceń wspomnianej telekonferencji Gierka i też Wydziału Organizacyjnego KC, mających na celu przygotowanie akcji, oraz cytatów z "Trybuny Ludu". Przecież przynajmniej formalnie rzecz biorąc adresaci tych przekazów byli różni. Wobec uwagi należałoby więc poświęcić analizie wzajemnych relacji między przytaczanymi zaleceniami ogólnymi a kampanią prowadzoną na łamach centralnego organu partii. Szkoda też, że nie padło w tekście stwierdzenie

nie, iż w czerwcu 1976 roku nie mniejszą rolę niż prasa odegrały radio i telewizja.

W tego typu opracowaniu, jeśli ma ona mieć znaczenie trwałe niż doraźne, przydatne byłoby zamieszczenie przypisu bibliograficznego, zawierającego spis wykorzystanych źródeł. Większa staranność opracowania redakcyjnego /zarówno pod względem merytorycznym, jak i językowym/ pozwoliłaby zapewne uniknąć tych uchybień.

Wspomniane braki tej naprawdę interesującej książeczki nie odbierają jej waloru poznawczego i informacyjnego. Nie jest to publikacja, której ukazanie się prowokuje pytania o sens włożonych w jej wydanie pracy i ryzyka.

J.K.

Lista dzieł rosyjskich pisarzy dysydenckich, tworzących w Związku Radzieckim lub poza jego granicami, jest dość już bogata i coraz bardziej się wzbudza. Zawierają te książki obraz sprzeczny z oficjalnie propagowanym modelem człowieka radzieckiego i tym samym nie mogą być zaakceptowane przez państwo programowo odrzucające pluralizm. Ze względu na powód twórcy drugiego obiegu, publikujący w samizdacie i tamizdacie, starają się odzwierciedlać ów obraz życia człowieka i narodu pokazywany jednostronnie i wybiórczo przez pisarzy oficjalnych. Tylko nieliczni spośród nich, a dotyczy to w szczególności autorów należących do tzw. nurtu wilejskiego, przedstawiają prawdziwe oblicze narodu. Odsłaniają dwie jego właściwości charakterystyczne, chociaż wzajemnie się wykluczające: pustkę duchową i wyzrodnienie moralne związane z powszechną plagą pijanstwa, oraz prymitywną a reguły religijność rodzącą się z naturalnej dla człowieka tęsknoty do transcendencji, której nie są w stanie zabić najsurowszo nawet warunki egzystencji, ani masowiona ofensywa ateistyczna.

Jest sprawa naturalna, że pisarze-dysydenci podjęli tematy zabronione, koncentrując się, zwłaszcza początkowo, głównie na tematyce obywatelskiej, na losie skrzywdzonych i poniżonych, pokazując jednocześnie przestępstwa aparatu władzy i policji politycznej, terror i gnębtł epoki stalinowskiej /*Sołżenicyn ; Władimow, Grossman*/.

Wśród pisarzy niezależnych, którym uwolnili się od zakazów cenzury i autocenzury, niewątpliwie ważną rolę przypada Aleksandrowi Zinowiewowi, coraz lepiej znanemu polskiemu czytelnikowi. W 1984 roku ukazały się dwie wersje - pełna i skrócona - tomu publicystyki Zinowiewa Rosja i Zachód /tytuł oryginalny: Iz i Zachód/ oraz obszerny, stenogramy mniej więcej 1/3 całości, fragment utworu beletrystycznego Światłana a zyszkłość. Teksty te reprezentują drobną wycinkę bogatego dorobku Zinowiewa, którego dzieła mają charakter literacki, beletrystyczny /np. powieści Denne wyżyny, Zapiski nocnego stróża,

x/ Aleksander Zinowiew: Rosja i Zachód, Wydawnictwo Krag, Warszawa 1984; "Biblioteka Obserwatora Wojennego". Kraków 1984; Światłana przyszkłość, Wydawnictwo Społeczne KOS, Warszawa 1984, Essyty Edukacji Narodowej.

Przedajonek Raju, Żółty Dom/, oraz publicystyczny /np. tomy Bez limitu, Komunizm jako rzeczywistość/, będąc jednocześnie esejami socjologicznymi i traktatami filozoficznymi. Jak zauważyć jeden z krytyków emigracyjnych, Dennis wyżyny porównać można pod względem głębi i trafności ujęcia jedynie z pracami Bierdiajewa.

Zinowiew przyjmuje - podobnie hasło głosi propaganda oficjalna - że istnieje naród radziecki. W rozumieniu tego pojęcia między Zinowiewem a ideologią państwa wchodzi jednak zasadnicza różnica. Dotyczy ona skali wartościowania - dla ideologów naród radziecki, twór ponadnarodowy, jest kategorią pozytywną, nową jakości stworzoną w konkretnych warunkach ustrojowych, gdzie przynależność narodowa podporządkowana została państwowej i stała się cechą wtórną. Zrozumiałe, że takiemu ujęciu sprzeciwiają się przedstawiciele naroduwości mających silne poczucie własnej odrębności, jak na przykład Ukraińcy. "Współczesny naród rosyjski - pisze Zinowiew - to przede wszystkim naród radziecki, jądro i fundament radzieckości, najdoskonalszy przejaw socjetyzmu."

Zinowiew, podobnie jak oficjalna ideologia, posługuje się także terminem o z ł o w i e k r a d z i e c k i. Pisze: "określenie człowiek radziecki nie jest jednoznaczne. Dotyczy ono człowieka, który przyjmuje radziecki model życia, akceptuje go i podporządkowuje się jego normom". Podobnie jak termin n a r ó d r a d z i e c k i, również pojęcie człowiek radziecki rozumie Zinowiew inaczej niż oficjalna ideologia i propaganda, i wartościuje je - generalnie rzecz biorąc - ujemnie. W przypadku tego terminu, nśchalnie propagowanego przez ideologię państwową, istnieje zasadnicza sprzeczność między definicją stworzoną przez ideologów i propagandystów, a konkretną rzeczywistością historyczną. Na Zachodzie popularna stała się kacińska wersja tej nazwy - homo sovieticus, z założenia zawierająca wydiwisk negatywny i pogardliwy. Jedną ze swych ostatnich książek zatytułował Zinowiew właśnie Homo sovieticus /1982/. We wstępie do niej napisał: "Jest to książka o człowieku radzieckim jako o nowym typie człowieka, o homo sovieticusie, albo mówiąc inaczej o homosocie. Mój stosunek do tej istoty jest dwójaki: Kocham i zarazem nienawidzę, szanuję i zarazem zgorzeczę, zachwygam się i zarazem czuję przerażenie. Sam jestem homosocem i dlatego opisuję go w sposób okrutny i bezlitosny."

Nie znaczy to bynajmniej, iż dopiero w tym dziele podjął Zinowiew temat człowieka radzieckiego, czy też przedstawił go najpełniej i najbardziej wielostronnie. Wszystkie książki Zinowiewa, od Dennych wyżyn poczynając, a na poświęconym stalinizmowi kontrowersyjnym

dziele Młodości naszej rorywy kończąc, drąży ten sam temat i przynosi odpowiedź na to samo pytanie: czy jest naród radziecki, człowiek radziecki, radziecki tryb życia, socjetyzm. Są to centralne kategorie analizy, przeprowadzanej przez Zinowiewa zarówno w formie zbeletryzowanej, jak w postaci wywodu naukowego i publicystycznego - w powieściach, esajach, artykułach, wywiadach, przesłankach. Próbuje w nich autor wykryć i zinterpretować sposób organizacji tego, co tkwi w powierzchni życia, a nie zostało - bo wskutek zakazu nie mogło zostać - dostrzeżone przez literaturę oficjalną, a często także przez znawców współczesnej problematyki rosyjskiej: sowiologów, kremologów, historyków.

Książki Zinowiewa opisują codzienność poprzez ukazanie praw, które rządzą najprostszymi odruchami człowieka radzieckiego, człowieka komunistycznego państwa radzieckiego. W Świetlanej przyszłości jeden z bohaterów, znawca socjologii życia radzieckiego, powiada: "Chcąc zrozumieć, czym jest komunizm, trzeba przestudiować jego klasyczny, realnie istniejący wzorzec, a mianowicie społeczeństwo radzieckie... Aby zrozumieć społeczeństwo radzieckie właśnie jako społeczeństwo komunistyczne, trzeba je rozpatrywać z punktu widzenia jego samolętnych realiów i wartości."

Przeprowadzona przez Zinowiewa chłodna analiza społeczeństwa radzieckiego dowodzi, iż w procesie ewolucyjnym pojawiła się nowa istota, która od g a t u n k u h o m o s a p i e n s przeszła do formy h o m o s o v i e t i c u s. Ten ostatni, jak napisał Herling-Grudziński, to "człowiek o zablokowanym przez ustrój ja i zanikającym /lub doszczętnie obumarłym/ poczuciu godności i odpowiedzialności. Zuppełnie nowy gatunek w sensie prawie biologicznym."

W państwie totalitarnym władza i ustalane przez nią normy życia zbiorowego modelują stereotypy zachowań społecznych, które "sowczek" /sowieckij człowiek/ akceptuje bez sprzeciwu. "W komunizmie - pisze Zinowiew - człowiek ma stać na baczność." I h o m o s o v i e t i c u s stoi, bo w odróżnieniu od istoty zwanej h o m o o c c i d e n t a l i e nie są mu potrzebne przekonania, nie przeżywa więc dylematów wyboru. Sakralizowana władza zapewnia mu bezpieczeństwo i zwalnia od odpowiedzialności za podejmowanie decyzji. Sprawnie postępuje proces, o którym powiada jeden z bohaterów Świetlanej przyszłości: "Mnie niewiele czasu i społeczeństwo zostanie precyzyjnie podzielone na rasę panów i peów."

Homo sovieticus i naród radziecki nie żyją w próżni. Od wielu wieków uwagę historyków, myślicieli, politologów przyciąga problem stosunku Rosji do Zachodu. Dziś, w epoce radzieckiej, jest on jeszcze bardziej aktualny. Jak pisze Zinowiew - do Związku Radzieckie-

go "należy inicjetywa w światowej grze". Pisarz stara się w sposób logiczny i beznamiętny uświadomić Zachodowi tęzę, o której słuszności jest całkowicie przekonany: historyczna rola Związku Radzieckiego /czytaj - odwieczny imperializm rosyjski/ oraz radziecki system społeczny /czytaj - totalitaryzm/ to dwa podstawowe atuty dające zdecydowaną przewagę w konfrontacji z cywilizacją zachodnią. Zinowiew pisze: "Związek Radziecki występuje na arenie światowej jako jeden olbrzymi zwierzę, a Zachód jako siora wrogich sobie pomniejszych zwierząt różnego kalibru i ras. Związek Radziecki wykorzystuje tę słabość Zachodu." Trudno odmówić Zinowiewowi racji. Jednak sądzę, że jego analizy, podobnie jak książki Władimira Bukowskiego /przy okazji różniacy/ wbrew zdrowemu rozsądkowi nie trafią do wyobraźni człowieka Zachodu i nie przekażą mu ostrzeżenia. A właśnie ten brak świadomości zagrożenia ze strony komunistycznego imperium powoduje, że apokaliptyczna wizja społeczeństwa radzieckiego staje się jeszcze bardziej przerażająca.

L. S.

"WOJNOSC TO CALB ŻYCIE WSZYSTKIM LUDZI" x

W książce I powraca wiąż... Władimir Bukowski opisuje sytuację, w jakiej obywatel radziecki styka się po raz pierwszy z letnią systemą, w którym żyje. W przedszkolu pani pokazuje na mapie świata złe państwo amerykańskie i dobre państwo radzieckie. Dzieci są tu szczęśliwe, rodzice kupują swoją pociechom lody i chodzą z nimi w niedzielę do ZOO. Mała dziewczynka zaczyna wtedy płakać, bo też chciałaby mieszkać w Związku Radzieckim. Tak oto już w przedszkolu każdy poznaje swoje miejsce w platońskiej jaskini XX wieku, uczy się zapamiętać o tym, że przykurty do jednego miejsca patrzy jedynie na zdumny świat cieni, bezdeleśnych twórców ideałnych.

Życie w państwach naszego systemu zmusza do akceptacji podstawowego - niejako ontologicznego - rozdziału pomiędzy rzeczywistością działań praktycznych a światem, w którym żyje się teoretycznie. Roztańczają się wokół kolejne sfery iluzji. Show, gesty, działania, instytucje nie są nigdy tym, czym być powinny. Magia przymiotnika "socjalistyczny" zmienia treść każdego rzeczownika: w znaczenie przeciwne. Wzrost ceny podnosi automatycznie jakość towaru; a fakty, czyny i zjawiska noszą różne nazwy w zależności od tego, czy znajdują się w sferze "postępu" czy "reakcji".

Sytuacja człowieka w państwie demokracji socjalistycznej nie da się porównać w żaden sposób z opisywanym przez socjologiczną szkołę Goffmana teatrem masek i ról społecznych. W naszym gigantycznym teatrze poza maską społeczeństwa i życia społecznego zaje bowiem pustka, a pod maską społecznej roli nie ma twarzy. Ogłaszał przecież z entuzjazmem Majakowski, że "jednostka niczym, jednostka zerem". I złożyło to "nic" na ołtarzu ideał. Lecz dym ofiarny nie wzniósł się do góry. Pełza niako przy ziemi, tworzy teatr pozorów, martwych deklaracji, zwodniczych praw, fasadowych instytucji. Zaplątani w zwodniczą sieć półprawd przestajemy już wierzyć, że możliwe jest inne, autentyczne istnienie. Zapominamy powoli o życiu mniej skomplikowanym od przepisów, które je mają regulować, bo

x/ Wasilij Grosseman: Wszystko płynie... Przełożyła Olga Sijanowa. Wydawnictwo Krag. Warszawa 1984.

opartym o prostą zasadę podejmowania samodzielnych decyzji i osobistej odpowiedzialności za własne czyny. Takie właśnie, sięgające samego źródła "ja", ubezwłasnowolnienie jednostki leży u podstaw kolektywnego raję, w którym żyjemy.

Napisano już wiele powieści, rozpraw i studiów o metodach dsprawacji człowieka w państwach systemu socjalistycznego. Po raz pierwszy podjęła ten problem po śmierci Stalina tzw. literatura rozrachunkowa, kiedy ujawniono, że - nieomylny na sposób boski - przywódca popełnił zbrodnię, że państwo, które wydawało się jedynie środkiem prowadzącym do celu, samo stało się celem. Wstrząs wywołany oficjalnym ujawnieniem tych faktów sprawił jednak, że wiele spraw zostało opisanych zbyt jednostronnie i powierzone. Całą winą obarczono zwykle Stalina i kult jednostki, a lata stalinizmu, nazwane "okresem błędów i wypaczeń", pozwalały wierzyć nadal w słuszność głównej idei.

Niewielką powieść Wasilija Grossmana Wszystko płynie..., choć także napisana w latach 50-tych /1955-1963/, wyróżnia się na tle ówczesnych analiz mechanizmu rządzenia w państwie Rad. Wnikliwa analiza Grossmana sięga samej istoty systemu. Lenin i Stalin nie byli bowiem absolutnymi władcami, uciskającymi cierpiący naród, lecz stanowili raczej jego ucieleśnienie. Charakter przywódców zgadzał się z aktualnymi cechami państwa, utracamił się z istotą Rosji - odwiecznej niewolnicy. Jako jeden z pierwszych wąpi Grossman w dobre intencje Lenina, które rzekomo wypaczył okrutny samowładca Stalin. Różnice w postępowaniu obu wodzów wynikają według niego z ewolucji wcielanych ideałów, stopniowego kostnienia programu w system rządów. Niezgodę dawnych towarzyszy Lenina "Stalin niejako walczył także z Leninem i Lenina także skazywał na stracenie. A jednocześnie właśnie Stalin triumfalnie utwierdził Lenina i leninizm, podniósł i rozpostarł nad Rosją sztandar Lenina".

Analiza dziejów Rosji, cech "rosyjskiej duszy", jaką znaleźć można w powieści Grossmana, znana jest polskiemu czytelnikowi, choćby z książek wspomnianego już Bukowskiego czy Zinowiewa, które wcześniej niż Wszystko płynie... ukazały się u nas w drugim obiegu literatury. Zdawać się więc może, że powieść Grossmana pojawia się o wiele za późno, że ma jedynie wartość historyczną jako ta, która pierwsza we wnikliwy sposób pokazała istotę systemu. Lecz Wszystko płynie... to nie tylko prekursorski w swej treści traktat historyczny, nie tylko obraz zdeprawowanej przez system natury ludzkiej. Główną zaletą powieści Grossmana jest głęboka wiara w możliwość odnalezienia prawdziwego wymiaru rzeczywistości, ocalenia maleńkiej cząstki czegoś autentycznego i własnego. Wstrząsający opis "roz-

kułaczania" na Ukrainie, wyniszczonych głodem wsi, dróg do Kijowa pokrytych setkami palczających trupów, to nie groźne momenty czy fragment prokuratorskiego oskarżenia, lecz raczej tragiczna przypowieść, która winna nauczyć, że /.../ jeden sąd jest nad katem - kat swojej ofiary nie uważa za człowieka i sam przestaje być człowiekiem, w sobie człowieka zabija". Powieść Grossmana przestaje tym samym należeć do literatury rozrachunkowej w literalnym znaczeniu tego słowa, staje się raczej współczesną Ewangelią; próbą przywrócenia wartości prostym prawdom, prawdom ludzkim, o których można by powiedzieć - gdyby to słowo z hasła sztandarowych jeźdźców coś znaczyło - że są głęboko humanitarne.

Budowanie struktur alternatywnych wewnątrz totalitarnego państwa jest niezwykle trudne, gdyż to państwo narzuca metody walki, smarsza do przyjęcia procytów alternatyw, wymaga potrzebą dzielenia świata na "nasz" i "ich", koniecznością tworzenia nowych, "lepszycy" ideologii. Powieść Grossmana pokazuje inną drogę oporu; przeciwstawienia się "obiektywnym" prawom postępu i surowej woli konieczności. Drogę trudniejszą, gdyż wymagającą przemiany osobowości. Bohater Wszystko kłynie; to zwykły Iwan Grigorjewicz, który całe swoje życie spędził w kagracz tylko dlatego, że "pozostawał tym, kim był od urodzenia - człowiekiem". Historia życia zwykłego człowieka, który bez ważnego powodu padł ofiarą systemu; nie służy Grossmanowi za przykład wszechogarniającego zasięgu terroru. Los Iwana ma bowiem świadczyć, że w każdym człowieku tkwi niezniszczalne źródło wolności, twarde osierdnie "ja", którego żadna przemoc nie zniszczy nie zdoła, gdyż wolnością tą jest już samo życie.

Iwan Grigorjewicz, jak Stalker z filmu Tarkowskiego, zbudował sobie wewnętrzną "zonę", wyszedł poza system katyńskich opozycji i wzajemnego licytowania się ideami: "Myślałem dawniej, że wolność, to wolność słowa, prasy, sumienia. Ale wolność to całe życie wszystkich ludzi".

Już od pierwszego obrazu powieści naderza ewangeliczność postaci Iwana. W przedziale pociągu dojeżdżającego właśnie do Moskwy ten czwarty podróżny, siedzący z rękami na kolanach, jest postacią z innego świata. "Rękawy jego czarnej satynowej bliny kończyły się gdzieś między kockami a przegubami rąk, a białe guziki na stojącym kołnierzyku i piersi wyglądały jakoś dziecinnie, ohkopięco. Było coś zabawnego i wzruszającego zarazem w połączeniu takich białych guzików na ubraniu z siwym skroniami i epojrzeniem udrczonych, starych oczu." Takim też pozostanie do końca powieści. Lecz jego odrębność nie wynika jedynie z doświadczeń przemocierpianych lat obozu. Postać Iwana Grigorjewicza roz-

światła od wewnątrz pewność, która jest największym zagrożeniem dla systemu opartego na supremacji idei, ta pewność, że "wolność to całe życie wszystkich ludzi". Ten współczesny ewangelista potrafił odnaleźć w świecie, gdzie wszystko płynie, gdzie wedle prawa Hegla wszystko, co jest rzeczywiste, jest zarazem rozumne, twarde osierdzis: poczucie, że jest jednostką, człowiekiem poszczególnym.

O powieści Grossmana trudno pisać. Jest niezwykle prosta i tak pełna wiary w podstawowe zasady ludzkiego istnienia, że prawie nie sposób mówić o nich naszymi słowami, wyświechtanymi po tylekroć w pustych frazjach. Pozostaje tylko sama lektura i próba przekonania samego siebie, że siła i nadzieja ludzi to cóżw bardziej opętane obroty maszyny Historii, która zaprzeczając życiu, ulec musi zniszczeniu, gdyż nie ma takiego ideału, który można by zrealizować za cenę życia. I nie ma takiej konieczności, która by kazała taką cenę zapłacić. Największą wartością jest bowiem wolność, a ona właśnie jest istnieniem. Poza obszar gigantycznej inżynierii, w której głównym aktorem jest martwa wolność, rodzi się nowa rzeczywistość oparta o proste, ludzkie zasady i "obalając prawo Hegla, w epoce triumfu potęgi państwa nad wolnością rzadwieka myśliciele rosyjscy w obywatelskich wypracowaniach wyższą zasadę historii świata: »wszystko, co jest nieludzkie, jest bezsensowne i daremne«."

M. S.

SZWAJK W ŚWIECIE SOWIECKIM

Autor tej powieści x/ to jeden z przedstawicieli tzw. "trzeciej fali" emigracji rosyjskiej. Zanim zadebiutował jako pisarz pracował w kokozhcie, był stolarem, a następnie służył w wojsku w stopniu szeregowca. Sam tak ocenia własną postawę i dokonania literackie w radzieckim okresie swojej twórczości: "Byłem pisarzem radzieckim, któremu wiodło się mniej więcej dobrze /całkiem dobrze nie wiodło mi się nigdy/, zaliczany byłem do tzw. Bobajmyk, czyli listy pisarzy, których nazwiska wymieniane były niemal przez wszystkich krytyków, pisanych o osiągnięciach literatury współczesnej /.../. Pisałem o radzieckim życiu dość krytycznie, jednakże byłem wtedy absolutnie lojalny. Starałem się pisać w zgodzie z własnym sumieniem, ale nie wdkiem w to, co bezpośrednio nie wchodziło w krąg moich zainteresowań. Nie interesowałem się polityką do tego stopnia, że nawet wypadki węgierskie /wtedy mi to przysnąć teraz/ przeszły obok mnie, zupełnie się nimi nie zainteresowałem"1/. Zmiana postawy, odejście od "bezpiecznej" apolityczności następuje pod wpływem aresztowania i procesu Siniewskiego i Daniela /1965 r./, kiedy to Wojnowicz, wraz z 62 innymi pisarzami podpisał list w obronie obu aresztowanych.

W jego "legalnym" dorobku literackim są wiersze, kilka nowel i opowiadań /On mieszkał, Chcę być uczciwy, Odlagłość pół kilometra, oraz dwie powieści Przejścia, Wzrost i upadek/. Trzecia powieść Wojnowicza również miała ukazać się w obiegu oficjalnym, lecz kłopoty z cenzurą uniemożliwiły opublikowanie w wydawnictwach radzieckich książki o żołnierzu Czonkinie. Autor zdecydował się więc na druk w emigracyjnym piśmie "Grand", gdzie powieść pojawiła się w roku 1975. Pięć lat później Wojnowicz został deportowany na Zachód.

Tytułowy bohater tej książki to: "Czerwonoarmista ostatniego roku służby, Iwan Czonkin, malutki, krzywnogi, w sadartej pod pasem bluzie, w furaczerce naciągniętej na wielkie czerwone uszy i zsuwających się

x/ Włodzimierz Wojnowicz: Życie i niezwykłe sprawy żołnierza Iwana Czonkina. Przełożył Władysław Doron. Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA. B.m. 1984.

1/ Wojnowicz o sobie /w:/ The Third Wave: Russian Literature in Emigration. Ann Arbor, Michigan 1984. s. 139-140.

owijaczach". Dowódcy uważają go za półgłówka, koledzy traktują jak batalionową ofertę, pozwalają sobie na kpiny i dokuczliwe kawały. Czornkin nie buntuje się przeciwko swej doli, jest ociężały, dobroduszny, dziecinnie naiwny i szczerzy. Nie umie zrećznie skryć się za maską obłudy, pochlebstwa czy kłamstwa. Wszystkie przeciwności znosi ze stoickim spokojem, przyjmując zasady rodem z Haskzowej epopei: "Żołnierz śpi, służba się odszuguje", "Nie spiesz się z wykonaniem rozkazu, mogą go odwołać" itd., itp.

Kilka tygodni przed wybuchem wojny Czornkin zostaje wysłany do pilnowania zdezelowanego samolotu, który przymusowo lądował na kozłozowym polu. Zapomniany przez dowódców, pozostawiony bez prowiantu i wytycznych, szeregowiec Czornkin traktuje regulaminową powagę i rzeczywistą bezsensowność swojej sytuacji po chłopsku, zdroworozsądkowo. Radzi sobie więc jak przytętało na dobrego wojaka - samolot przetacza do zagrody swej przyszłej narzeczonej, a sam przenosi się do jej chałupy i zaczyna prowadzić żywot prawdziwego gospodarza. Wojnowiczowi daje to możliwość ukazania obrazu życia wieleckiej prowincji. Otrzymujemy obraz bogaty w dobrze podpatrzone szosagółki - satyryczny, a chwilami wręcz groteskowy w swojej wymowie. Sen przechodzi tam w jawę, komiczny nonsens niezauważalnie przekracza granicę tego co rzeczywiste, przypominając o istnieniu absurdalnej komunistycznej nadržeczywistości. Owa nadržeczywistość realnego komunizmu jak gdyby uprawdopadabnia wszystkie wydarzenia w powieści bez względu na stopień ich fantazyjności i założonej przez narratorka fikcyjności. Postępy sowietyzacji, zastępowanie realnej rzeczywistości nadržeczywistością hasał, transparentów, waców i przemówień eprawiają, że jesteśmy skłonni uznać każdy absurd za możliwy i prawdopodobny w tych warunkach.

Przedstawiony w powieści kozłoz "Czerwony kłos" to miniatura owej wielkiej rzeczywistości. Tu, na zapyziałej prowincji, skupiły się jak w soczewce typowe ochy, typowe absurdy systemu. Wojnowicz analizuje je w skali mikro. Wielka polityka, historia pojawiają się tu jedynie mimochodem, jako daleki pogłos tego, co dzieje się na Kremlu, a o czym dowiadujemy się ze strzępów starej gazety czytanej przez Czornkina w miejscu, gdzie każdy lubi być sam, lub z jednozdaniowych informacji narratorka. Autor przedstawia nam kozłoz, którego przewodniczący systematycznie fałszuje statystyki, aby zgadzały się z planem ustalonym przez rejkom. Życie toczy się tam leniwie, od wiecu do wiecu, na które spędza się mieszkańców, a gdy zbierają się sami, zbulwersowani wieścią o początku wojny - rozpędza się ich, by za chwilę z powrotem sprowadzić pod przymusem, bo "spontanicznością trzeba pokierować", a dyrektywy właśnie na-

nieszy. Zgodnie z zasadą "to nie pracuje ten nie je" na wiecach pikturuje się tych, którzy nie wyciągnęli się z obowiązku pracy. Nawet brak obu nóg u "inwalidy wojennego", czy też obłożna choroba nie gwarantują zwolnienia - to "brzygdzier co rano niemal się wyśleda". Kołchoz "Czerwony kłos" może też poszczycić się osiągnięciami. To właśnie z tej wsi pochodzi przodująca dojarka, która zapoczątkowała współzawodnictwo pracy, zerwała z tradycyjną metodą dojenia, po czym zajęła się działalnością propagandową. Inne poszły jej śladem, "podjęowały zobowiązania, żwą wkroczyły do kierownictwa instancji, dzieliły się doświadczeniami na łamach gazet i ozdobiały ekran". Krów zupełnie już nie miał kto doić". Innym powodem do chluby są badania miejscowego samorodnego naukowca, który eksperymentuje nad wyhodowaniem rośliny -hybrydy, o korzeniach ziemniaka i owocach pomidora, co ma zapewnąć rolnictwu radzieckiemu wyściele z kłopotów. Owa roślina ma już nawet wiele mówiącą nazwę "drog" /droga do socjalizmu/. Do ciekawszych pomysłów tego utalentowanego samouka zaliczyć należy idee powiązania kawaluchów w zaprzęg i wykorzystania ich siły w rolnictwie. Półki co jednak w kołchodzie nie stosuje się tak śmiałych metod agrotechnicznych. Rajkowi należą sposoby bardziej konserwatywne, choć również oryginalne /siemle zboża do zamarniętej ziemi/.

Ustalonego porządku pilnują tam "Ci Co Trzeba", kierując opornych, czy nieostrożnych "Tam Gdzie Trzeba" - jak owego uczenia, który strzelał z procy do nauczycielki i pechowo trafił w portret Wodza. "Gdyby wybił nauczycielce oko, może wybaczone by mu jako nieletniemu, ale on przeszedł trafił nie w oko tylko w portret, a to już był ni mniej ni więcej tylko samoch. I co się teraz dzieje z tym uczniem - nikt nie wie." Ale inni uczniowie są ostrożniejsi - na pytanie "kogo najbardziej kochasz, mamusię czy tatusia?" - odpowiadają jak przystało na pukolenia Pawilka Morozowa: Stalina.

Prace "Tych Co Trzeba" wapierszą ochotniczo liczni informatorzy, którzy piszą anonimowe donosy - nieważne, czy prawdziwe czy też nie - załatwiają w ten sposób osobiste porachunki z niewygodnymi sąsiadami. Nad tym wszystkim unosi się odór alkoholu, który w kołchodzie "Czerwony kłos" pije się w ogromnych ilościach i przy każdej okazji.

Ten ustalony błóg szczyt zburzony zostaje chwilą pojawienia się Czorkina, który początkowo uważany jest za przysłanego przez zwierzchników kontrolera, by nie powiedział - rewizora. Czorkin zachowuje się normalnie, jakby nie istniał napór nadrzeczności. Jego ociężałość, brak orientacji w układach chronią go przed supełną sowietyzacją. Nałamy, dobroduszy Czorkin we

wszystkim postępuje normalnie, po ludzku, nie bierze poprawki na okoliczności, mówi zawsze to co myśli, kieruje się swym chłopskim rozumem i poczuciem obowiązku. Te zwykłe ludzkie cechy w takich warunkach stały się czymś tak niezwykłym, że zmuszały ludzi do odkrycia się, do zrzucenia barw ochronnych 2/, do ujawnienia ludzkich uczuć. Członkin Wojnowicza to jakby Haszkowy Szwejk, postawiony wobec doświadczenia komunistycznego totalitaryzmu.

Wkrótce dobry wojak Członkin staje się sławny w okolicy, kiedy pilnując powierzonego mu samolotu, bierze do niewoli wszystkich funkcjonariuszy miejscowej komórki NKWD, chcących go aresztować wskutek donosu sąsiada. Członkin zapędza swoich aresztantów do robót polowych, przez co wydatnie przyczynia się do poprawienia położeniowej statystyki. Sława jego sięga zenitu, zaczynają o nim krążyć legendy, w których występuje już to jako wódz armii - przybyły z Chin biały generał, do którego ściągają skrzywdzeni przez władzę radziecką ludzie - już to jako heros bandy zbłądłych kryminalistów. Niektórzy sądzą, że "pod nazwiskiem Członkina kryje się sam Stalin, który niekiedy przed Niemcami. Opowiadali, że jego ochrona składa się wyłącznie z Gruzinów, a babę ma Rosjanę, prostą kobietę. Opowiadali poza tym, że Stalin, zobaczywszy jakie porządki panują w rejonie, wybuchł wielkim gniewem. Wzyna do siebie najróżniejszych naczelników i karze ich surowo za szkodnictwo."

W efekcie z frontu ściągnięty zostaje pułk Armii Czerwonej dla rozbitcia owej groźnej bandy. Członkin wraz ze swoją narzeczoną długo i skutecznie stawiają opór temu pułkowi. Lecz w końcu posterunek Członkina zostaje zdobyty. Powieść kończy się aresztowaniem naszego bohatera i odwiezieniem przez "Tych Co Trzeba".

Omawiana tu książka Wojnowicza to ważne ogniwo w dziejach prozy rosyjskiej. Książka, trudna do jednoznacznego zaklasyfikowania, nie może być pominięta przy charakterystyce tak ważnych zjawisk, jak współczesna proza wiejska. W nurcie tym gorzko-ironiczne życie i niezwykłe sprawy żołnierza Iwana Członkina znajdują miejsce zupełnie odpowiednie. A pamiętać musimy, że utwór, z jego satyryczną batalistyką, z opisem stosunków panujących w wojsku, ze swoistym typem postaci wiele wnosi do obrazu rosyjskiej epiki wojennej. Jest bowiem próbą zupełnie odmienną niż dotychczas przedstawienia ludowego bohatera na wojnie. /Interesujące byłoby tu porównanie postaci Członkina i Wasyla Tioriki-

2/ Zob.: Geoffrey Hosking: Chonkin and After /w:/ The Third Wave, op. cit., s. 147.

ina z poematu Twardowskiego./

W 1980 r. autor Życia i niezwykłych spraw Iwana Czorkina opublikował powieść Pretendent na przestol /Pretendent do tronu/. Jest to druga część losów dobrogo wojaka po odwiezieniu go w nieznane przez "Tych Co Trzeba". Przygody Czorkina są w niej równie niezwykłe jak te opisane w I części dylogii. Ale to już inna historia.

A.D.

ZWYCZAJNOŚĆ W NADZWYCZAJNOŚCI

Alina Brodzka, Janusz Szawiński i Roman Zimand zorganizowali jesienią 1981 r. sesję naukową na temat twórczości polskich pisarzy emigracyjnych oraz autorów krajowych - publikujących poza polem rażenia cenzury. "Otwieram zatem, bo czas ucieka - mówił J. Szawiński - konferencję przygotowaną w Instytucie Badań Literackich..." Słowa te - o czasie uciekającym - rzucone jakby mimochodem, miały się wkrótce okazać metaforą jakże dramatyczną. Dziś są nie tylko echem krzątania konferencyjnej /"w pięknej sali im. Lelewela"/, ale i znakiem napięcia w czasie historycznym. Era, w której publiczne debaty nad "drugim obiegiem" wydawały się czymś naturalnym i zwyczajnym; miała potrwać jeszcze tylko dwa miesiące. Nadzieje tej ery, że "już nigdy więcej" w naszym kraju nie wrócą podziały na biografie, światopoglądy, dzieła koncesjonowane i tłumaczone - podeptane. Referaty, które obiały być zbiorowym pożegnaniem schizofrenicznych stanów kultury, znalazły się niebawem w identycznej, "niezbywalnej" geopolitycznie schizofrenii. Nie było już dla nich szans druku w którejkolwiek z legalnych oficyn krajowych. Ostatecznie materiały sesji pojawiły się w trzy lata później poza krajem x/. Bez wiedzy autorów; bez charakterystycznych dla krajowych odczytów edytorskich elementów, jak nazwisko redaktora tomu, indeks osób, wysokość nakładu: bez rozklejających się grzbietów i pustych stron. Zaiste, dziwnie się prezentują znajome nazwiska, znajome retoryki polonistyczne, w tym śnieżnobiałym świetle zagranicznego papieru. Uczucie dziwności potęguje to, że protest uczonych przeciw "złej obecności" literatury dostał się do księgozbioru "śle obecnej" wiedzy o literaturze; to samo będzie udziałem świadectw recepcji tej książki - nie wyłączając niniejszej recenzji...

Jest to więc książka-palimpsest, struktura "tektoniczna". Czas literatury, którą się tu omawia, czas konferencji, i wreszcie czas publikacji tego Rekonesansu nakładają się na siebie; każdy ma inną barwę, inną intonację. Owa tektoniczność powoduje wyrażenie postaw badawczych, przenosi uwagę odbiorcy z przedmiotu na podmiot. Dzieje się to wbrew intencjom autorów. Ich celem nie była autoprezentacja, był nim opis dziedziny

x/ Literatura śle obecna. /Rekonesans./. Polonia Book Fund Ltd. London 1984.

zaniedbanej, ciemnej. "Nie bez podstaw można zakładać - zapewniał Zimand - że znajdujecie się teraz na sali dletego, że chcieliście się czegoś dowiedzieć o Tyrmandzie, a nie o Zimandzie." Zapewne. Dział jednakże, gdy sesja stała się książką, proporcje się jakby zmieniły. Ekspresja świadomości ówczesnej badaczy, ich świadomości przedgrudniowej, wydaje się nie mniej intrygująca niż tematy poruszone w referatach. Mówiąc metaforycznie: bohaterem szkicu Ziuarda o Tyrmandzie okezuje się tyleż Tyrmand, co jednak i Zimand.

Oczywiście, informacyjne, poznawcze walory tej książki są niezaprzeczone. Zwłaszcza informacyjne: myślę o rzetelnych, pierwszych uporządkowaniach dzieł w Instytucie Literackiego w Paryżu /Krzysztof Dybciak/ oraz londyńskich "Wiadomości Literackich" /Janusz Stradecki/; nieco błędnie wydają mi się opracowania poświęcone bezdebitowym periodykom krajowym /"P'us", "Zapis", "Spotkania"/. Pracą ważną, pionierską, pozyskującą odbiorcę wielkimi namietnościami badawczymi jest esej Tomasza Burka - odwołujący się do zapomnianych dzieł rozrachunkowych, które zrodził Październik 56. Przypuszczam, że - jeżeli ktośś z niezależnych oficyn w Polsce zadba o wydanie krajowe Rekonasansu - książka ta pozostanie długo jednym z cenniejszych magazynów wiedzy o utworach zakazanych. O swoistościach narracji i wymiarach metafizycznych Mojego wieku Aleksandra Wata /Klemens Szaniawski/; o światach powieściowych Józefa Mackiewicza /Jan Zieliński/, Tadeusza Konwickiego /Andrzej Werner/, Tomasza Stalińskiego /Leszek Szaruga/, Małgorzata Szpakowska/; o strukturach autobiografii uchodźczych: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Jerzego Stempowickiego /Zofia Stefanowska, Marta Wyka/; o literackich obrazach polsko-ukraińskich wojen bratobójczych w dziełach Włodzimierza Odojewskiego /Maria Janion/; o etyce oskarżenia i etyce strachu w polsko-żydowskiej twórczości Henryka Grynberga /Jan Józef Lipski/; o stylistycznych mechanizmach "literackości" w Miesiącach Kazimierza Brandysa /Marek Zaleski/; o poezji Nowej Fall, odwracającej relacje między "wysokim" i "niskim" stylem liryki politycznej /Jacek Łukasiewicz/.

A przecież, powtarzam, równie intrygującą kwestią dla czytelnika Literatury źle obecnej okazują się dziś zachowania znawców wobec tych dzieł. Oceny, postawy, nadzieje.

Zwłaszcza oceny. Jechą wyróżniającą Rekonasans jest zdecydowanie wartościujący charakter zawartych w nim prac. W porównaniu z innymi imprezami polonistyki akademickiej - jak na przykład Studia o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu /1972/ czy Literatura wobec wojny i okupacji /1976/: ta ostatnia bardzo źle widziana przez funkcjonariuszy oficjalnej krytyki - impreza badawcza

z końca 1981 r. odznacza się wyraźnie podwyższoną temperatyrą akajologiczną. Do pewnego stopnia potwierdza się tu znana teza Janusza Sławiewskiego, iż historyk literatury wartościuje przede wszystkim dzieła /unikając wartościowania konwencji pisarskich/. Wyjątkiem od tej reguły jest jedynie szkic Teresy Walas o Miazdze Jerzego Andrzejewskiego; autorka - bez dowodów badawczych - pętepia w ozambuł konwencję autotematyzmu jako "zhanelizowaną i przez nikogo już nie traktowaną serio" /s. 237/. Domyślamy się, że "przez nikogo" znaczy tu tyle, co przez Teresę Walas. Autorzy pozostałych referatów poszukują miejsca w systemie wartości literatury współczesnej nie dla systemów czy metod, lecz dla dorobków lub pojedynczych dzieł. Tak więc o Miłoszu i Gombrowiczu powiada Ljbciaak, iż są to "najlepsze pióra powojennej literatury polskiej" /s. 20/. Szaniawski mianuje Wata "jednym z najciekawszych chyba pisarzy polskich" /s. 72/, podkreślając, że - paradoksalnie! - Wata wyróżnia Mój wiek: nie napisany lecz opowiedziany Miłoszowi. Z kolei wedle Zaleskiego "intelektualnie giętka, niewysilona, jakby od niechocenia inkrustowana paradoksem, klasyczna polszczyzna Brandysa stawia go w rzędzie najlepiej piszących dziś po polsku autorów" /s. 225/; badacz traktuje wszak kryterium stylu jako dalece nie wystarczające dla pełnej akceptacji etyki Miesiący. Wreszcie Zimand uważa Dziennik 1954 Tyrmanda za "arcyciekawy i wartościowy dokument" /s. 199/. Można by wynotować więcej opinii entuzjastycznych /np. Marii Janion o Odojewskim/. Nie znaczy to przecież, iż Rekonesans stanowi antologię komplementów i zachwyków. Sporo tu ocen miazdzących. Małgorzata Szpakowska pokazuje, jak pewien wątek w Widzianym z góry Stalińskiego "ociera się o szmirę" /s. 102/; Jacek Łukaszewicz zauważa, że gdy "operetki Szpotkańskiego przeszły nagle w obieg publiczny, /.../, ich standard okazał się taki, jaki był - katastrofalny" /s. 55/; Lidia Rola wytyka epigonom, ale także i przywódcóm poezji Nowej Fali "inercyjność stosowanych środków artystycznych", "uproszczone konwencje opisu, jednoznaczne oceny, jednowymiarowość" /s. 41/; również w prozie Nowofalowców - zdaniem Teresy Walas - zapis drobiazgowych obserwacji "kończy się zazwyczaj fiaskiem" /s. 233/.

Ilustrując tezę Sławiewskiego o swoistościach akajologii badawczej - Rekonesans zarazem wyrażnia nowy element, przez Sławiewskiego pominięty. Obiektem wartościowania są tu nie tylko dzieła, ale i ich s y t u a c j a oraz wynikające z niej n o r m y o d b i o r u. "Zła obecność to również charakter odbioru - związany z obiegiem niezależnym", stwierdza Werner /s. 153/. Paradoksem recepcji dzieł drugiego obiegu było bowiem

przed Sierpniem to, że dla wtajemniczonych, dla elity czytelniczej dzieła te odznaczały się obecnością s i l n i e j s z ą, bardziej intensywną niż utwory kolportowane oficjalnie. Powodowało to deformację oceny literatury jako całości. Nie chodzi tu rzecz prosta o objętość środowisk opiniodawczych wobec leniwej masy "Domu Książki" /czekającej na przemiał/, lecz o spadek prestiżu dzieł najwybitniejszych, "tyle że" - ocenianych w porównaniu z nabywanymi w księgarniach i kioskach - było w kręgach elity bibliofilskiej, w latach gasnącej gierkowszczyzny bardziej zachłanne, głębsze, przenikające niemal każde słowo. Owoc zakazane miały smak ciekawszymi; niekiedy zakaz wydawał się ważniejszy od tekstu. Wroczyńskiego studiowało się wszak pilniej niż Biało-szewskiego; a znów w pełni legalny Lem intrygował umysły skąbiej niż nielegalny Bocheński; najlepszym zeszytom "Twórczości" czy "Tekstów" trudno było marzyć o rozpętaniu emocji równych tym wzniesionym przez paryską "Kulturę" czy "Zapise". Nawet w dorobku jednego autora spontaniczne reakcje odbiorców faworyzowały to, co pojawiała się w obiegu wywoleń. Ani Wniebowstąpienie, ani Kalendarz i klepsydra /drukowane oficjalnie/ nie zjednały, jak się zdaje, Konwickiemu tytułu sprzymierzeńców wiernych i czułych, co jego Kompleksa polski i Małą apokalipsa /drukowane nieoficjalnie/.

Otóż ten właśnie przywilej obecności intensywniej, a jednocześnie przypadkowej i rozproszonej, w gruncie rzeczy "dzikiej", ułatwiającej aplauz nie zawsze wsparły autorytetem kunsztu pisarskiego, nie jest już dla historyków literatury w 1981 r. przywilejem dobrym. Jest przywilejem sztucznym, wynaturzającym całość życia literackiego w Polsce. Nielegalność traci rację bytu. Traci więc zarówno swoją uciążliwość, jak i martyrologiczny blask uciążliwości. Przekład z kodu nielegalności na kod legalności - ogarniający wiele dziedzin życia społecznego - staje się także udziałem badaczy literatury. Wierzy się, iż odtąd sprawą ekspertów stanie się powszechny program edukacji narodowej: w szkołach, uniwersytetach, planach wydawniczych, programach związków twórczych, w popularyzacji radiowej i telewizyjnej. Znikną zarówno podziały na obiegi oficjalne i nieoficjalne, jak i "punkty dodatkowe" - przyznawane dziełom za formę oraz miejsce publikacji.

"Jest to przypadek zgoła McLuharski: tutaj środek przekazu ietotnie okazuje się przekazem" stwierdza Małgorzata Szpakowska /s. 104/. Po Sierpniu gra toczy się o to, by środek przekazu nie wyręczał już samego przekazu i nie stanowił znaku wartości zastępczej. Chodzi więc o to, by - mówiąc słowami Zaleskiego - po-
był w "salonie kultury niezależnej" /s. 224/ nie zwal-

niaż od... aksjologicznej prawdy. W tej perspektywie - snów, niestety - odchyła się od ogólnego nurtu zdanie Teresy Walas. Sens jej wywodów o Miazdze jest z grubsza rzecz biorąc taki, że choć Andrzejewski korzystał z nieproduktywnej już konwencji autotematyzmu, to jednak ocalał swój autotematyzm, gdyż dał mu tył pozacenzuralny... Dnia, gdy Miazga przeszła przez cenzurę, owe wywody bramią surrealistycznie. Na szczęście cała reszta omawianej książki jest przeciw tego rodzaju "surrealizmem" literaturoznawczym zwrócona i konsekwentnie wobec nich niepodległa.

Jest zwrócona przeciw politycznym i politykierskim kontekstom oceny literatury. Nieufność wobec polityki; niechęć do języka polityków; polemika z politycznym wartościowaniem. To nieśtychanie ważne, donośny ton całej książki. Obawiam się, że czytelnikom "bibuły" pogrudniowej, a także niektórym odbiorcom zagranicznym trudno będzie usłyszeć ten ton, a jeszcze trudniej pogodzić się z jego naturalnością. /Pomiędzy tu ewentualne odgłosy oficjalne w prasie literackiej PRL - zniewolonej aż do ośpienia wizją kultury opzcoanej już to z kasy rządu, już to z funduszy CIA./ "Mówiąc po prostu: nie organizowaliśmy sesji po to, by zrobić na złość panu Olsowskiemu, Rakowskiemu czy Siwakowi. Zupełnie nas to nie interesowało" mówił Zimund /s. 10/. Czytelnik, który zapewne to sechce potraktować jako przejaw ironii, przekona się, iż ironii w tym nie ma. Zwłaszcza wprowadzanie przeobrażeń świadomości literackiej do rezultatów "przetrasowań personalnych i frakcyjnej rozgrywki o władzę" /T. Burek, s. 175/ budzi u historyków literatury nie tylko sprzeciw, ale wręcz obrzydzenie.

"Polityka i literatura leżą na różnych płaszczyznach" pisze Jan Zieliński /s. 145/. Nie wolno pisać tych ze sobą utajkami. Prymat polityki nad literaturą to niebezpieczeństwo potężniejsze niż tylko - powszechnie "w tym temacie" przywoływany - socrealizm. Również systemy obce totalitaryzmowi potrafią wytwarzać mechanizmy politycznego zniewolenia kultury. Oto - czytamy w szkicach Rekonasansu - sprzężenie polityki z literaturą powoduje natychmiastowe, a często nieodwracalne rozpady środowisk pisarskich. Powoduje do istnienia dziwotwory "kultury izolowanej" /Stradecki o "Wiedomościach" londyńskich, s. 29/, narzuca taktykę "zwierzania szeregów", rodzi kompleksy "obłączonej twierdzy" /L. Rola, s. 38/ i w rezultacie paraliżuje wewnętrzną komunikację między "tutaj" i "tam", krajem a emigracją /Z. Stefanowska, s. 79-80/; jednym z wymownych przykładów komunikacji sparaliżowanej jest skrzywiona perspektywa oceny Małej apokalipsy, książki, zdaniem Andrzeja Wernera, zła obecnej w recepcji emigrantów. Nota bene sam Werner w swoim mądrym i świetnie napisanym szkicu o

Konwickim także ulega presji podziału na "tutaj" i "tam", podziału z gorzką zadumą analizowanego przez Stefanowską. Przytaczając kąśliwe uwagi Herlinga-Grudzińskiego o zmieszaniu "szopki" ze "szlochem" w Małaj apokalipsie, Werner - zakochany w promie Konwickiego, solidarny z tym, co krajowe - woła obrażony: "Łatwo to napisać - z Neapolu. Łatwo stałoby żądać, żeby to wszystko zostało jakoś zbilansowane i wycienione". /s. 166/. I choć powinienem etwierdzić, że badaczowi nie przystoi uleganie emocjom, którym się - badawczo - przeciwstawia, to nie mógłbym wyznać, iż znam w kraju hodaj jednego człowieka, który byłby na takie emocje całkowicie uodporniony...

Polityczność, partyjnicтво - mówią szkice recenzjowanej książki - wyzwała szowinizmy w świecie ocen i lektur. Zdaniem Stradeckiego "przykładem najbardziej wymownym jest casus Miłosza" - odtrąconego przez "Wisdomości" londyńskie /s. 31/. Polityka wciśka się do języka kultury, język prześladowanych uzależnia od języka prześladowców /L. Rola, s. 35-36/. Zacięra osobliwości postyk, faworyzuje doraźność efektu taktycznego czy propagandowego /L. Rola, s. 38; J. Łukasiewicz, s. 52-53/, przemienia refleksję nad złożonością dziejów w "antologię dowcipów" /A. Werner, s. 154/. Opór badawczy wobec wszechwładzy polityki polega między innymi na tym, by w interpretowanych utworach odnaleźć i wypuklić inne, pozapolityczne wartości. Nawet w takich utworach, które są politycznością przeszycone. Powiada na przykład Szpakowska, iż w powieściach Stalińskiego /Kisielewskiego/ "warstwa polityczna /.../ wybijała się na plan pierwszy. Czy jednak była najważniejsza? Nie sądzę. Z perspektywy wydaje się raczej zewnętrznym sztafżem, bardzo atrakcyjnym, zapewne, lecz w istocie niesamodzielnym" /s. 93/. W ujęciu czysto teoretycznym jest to rozumowanie bezdyskusyjne. Jeżeli polityka urzeczywistnia się w serii niestycznych, krótkotrwałych doraźności, a literatura poza doraźność wykracza, ergo żaden utwór literacki - godny tego miana - nie może się w polityce zanurzyć bez reszty. Musi wpleść powiadomienia polityczne w sieć innych, bardziej stabilnych wartości. Najenergiczniej poszukiwaną wartością literatury okazuje się - jednakowo cenna w sztuce, co i w nauce o sztuce słowa - n i e z a l e ż n o ś ć. Nie tylko niezależność od towarzyszy Bakowskiego, ale i od jego politycznych przeciwników. A także od mitów ka'ewiacych się pomiędzy politycznymi barykadami. "Uważam powieść Konwickiego za jeden z najbardziej niezależnych tekstów literackich w naszej powojennej literaturze" oznajmia Werner /s. 154/ i wyższej pochwały nikt z autców omawianej książki nie zna! Niezależność Konwickiego to coś

włócej niż wybór drugiego obiegu oraz drapieżność groteskowej wizji kraju pod rządami komunistów. To w równej mierze, pisze badacz, bezlitosna krytyka opozycji demokratycznej, aż do ośmieszenia jej zachowań i środków działania na wyobraźni ogółu. Imponuje zwłaszcza niezależność brawurowa, zuchwała, rozbijająca "tworzydła" narodowej wyobraźni, skłaniająca do przewertowania wszelkich hierarchicznych miejsc i figur uświęconych mitem. Niezależność w stylu Mackiewicz, który, powiada Zieliński, każdą kolejną powieścią zwracał się przeciw autorytetom tak, zdawałoby się, nietykalnym, jak Kościół katolicki, rząd Drugiej Rzeczypospolitej, AK, polityka aliantów. "Logicznym przedłużeniem tej postawy - fantazjuje Zieliński - byłaby książka krytykująca kompromisowe posunięcia przywódców »Solidarności« - być może Mackiewicz właśnie coś takiego pisze" /s. 146/.

Niezależność to warunek z w y o c z a j n o ś c i życia literackiego: jedno z najpiękniejszych marzeń Sierpnia. Lidia Rola przytacza słowa Jana Kotta, który wyznawał, że w pierwszych tekstach polskiego samizdatu najbardziej uderzyła go "ta nowa zwyczajność wydawnictw bez cenzury. Właśnie zwyczajność" /s. 37/. I jakkolwiek, zdaniem autorów Rekonesansu nie udało się literaturze bezdebitowej przed Sierpniem być "zła obecna" i "zwyczajna" jednocześnie, to przecież po Sierpniu właśnie zwyczajność stała się celem, który nabierał znamion realności. Dla historyka literatury "zwyczajność" to tyle co jawność zawodowego nodejścia do tekstu. Zwyczajnością jest więc l i t e r a c k o ś ć jako przedmiot refleksji badawczej. Chodzi o to, by twórczość niezależna mogła wyzwalać czytanie niezależne od przesądów i tumultów politycznych. O to, by w sytuacjach ekstraordynaryjnych badacz miał prawo bez wstydu powiedzieć, iż na przykład proza Odojewskiego jest godna podziwu dlatego, że jest prozą świadomą siebie, swej literackości, swego literackiego stylu" /M. Janion, s. 123/. By mógł - zgodnie z profesjonalnymi kompetencjami - uruchamiać w analizach "złej obecności" sztuki własne, "dobre obecne" w mowie polonistycznej kategorii interpretacji, takie jak czas i przestrzeń w strukturze prozy /Zieliński; Lipski/ jak zmyślenie i prawda /Zieman/; jak tradycja i nowatorstwo /Łukasiewicz/, itd.

Zwyczajność w nadzwyczajności.

Nie byłbym jednak wierny ani powinnościom recenzen-ta, ani zwłaszcza nastrojom sesji - utrwalonym w książce - gdybym się ograniczył do omówienia "rozumiejącego", bez zastrzeżeń. Autorzy nie ukrywają, iż z pospiesznie zmontowanej konferencji - ślady pośpiechu muszą niepokoić. Organizatorzy są świadomi własnych niepowodzeń. "Nie udało nam się znaleźć referenta, który zająłby się zasadnością porównania literatury doby

"Wielkiej Emigracji ze współczesną literaturą polską publikowaną na Zachodzie" mówi Zimand w Zagajeniu /s. 9/. "Mankament drugi - dodaje - to brak referatów poświęconych czy to poszczególnym pozycjom, czy całemu obszarowi tzw. literatury obozowej" /s. 10/. Nie są wolne od mankamentów także referaty, które udało się namówić. Chwalony przez mnie Burek twierdzi, iż twórczość rozrachunkowa po 1956 r. ulega charakterystycznej metamorfozie: w pewnym momencie rezygnuje z weryfikacyjnych, reporterskich obrazów współczesności i sięga do nowy metafor - swiaskozna historycznych /s. 189-190/. Lecz skoro tak, czyż nie należałoby powiedzieć, iż metafora historyczna od początku - od Października 56 - sytuuje się w polu literackich rozrachunków? Dlaczegoż to późniejsze tylko "kostiumy" i pseudonimy poetyckie wolno pojmować "rozrachunkowo", a wcześniejszych - choćby w dramatach Białoszewskiego - nie?

Marie Janion w szkicu o Odojewskim kontynuuje nurt osobistej "swycznosci" - odnajdując w języku literatury XX wieku mechanizmy języka XIX-wiecznych romantyków. Tym razem rezultat jej archeologii badawczej rodzi refleksje niewesłe: oto konflikt polsko-ukraiński jest dziś tak samo widzialny, jak widział go Malczowski w Uryj czy Słowacki w Śnie srebrnym Salomei! Wszystkiemu winien step. To step morduje braci, step laknie krwi i nagich kości. Najsmutniejsze jest to, że jeżeli znakomity gość sesji, nie polonista przecież, logik, prof. Klemens Szumlanski, potrafi zająć wobec metafizycznego Wata dystans, Maria Janion odwrotnie - z zachwytem poddaje się magii "stepowego" romantyzmu, nie wykuwając w niej urodziwego kłamstwa, które zbyt łatwo nie- sie rozgrzeszenie nam, Polakom. Przykro mi, że muszę to powiedzieć: uległ niespodziewanie narodowej magii także Jan Józef Lipski, który przecież dał tyle przykładów odważnej i szlachetnej wrażliwości na zło nacjonalizmu. Analizując stosunek Żydów do Polaków w prozie Grynberga twierdzi, iż podejrzliwość Żydów, którzy bali się w czasie okupacji, że Polacy mogą ich wydać Niemcom i ciśnieją się w pozostawionych dóbr, jest deformacją psychologii strachu. "I jest to prawdą psychologiczną, jeśli oświadczyć, Żyd, co dzień zagrożony /.../ ocenia swe zagrożenie w sposób, który obiektywnie rzecz biorąc może być niesprawiedliwy" /s. 192/. Co to znaczy "obiektywnie rzecz biorąc"? Obiektywnie rzecz biorąc było tak, że jedni z nas oddawali swe życie za pomoc Żydowi, drudzy mieli inne smartwienia, trzeci ograbiali Żydw i Polaków. I w odniesieniu do tych trzech nis mogą być niesprawiedliwe ani słowa bohaterów Grynberga, ani wstrząsający testament poetycki Zuzanny Ginczanki: "Nie zostawiam tutaj żadnego dziedzica, /Niech więc rzeczy żydow-

skie twoja dłoń wyszpera, / Chominowo, Iwliowiano, dzieło
na żonc szpicla, / Donosielałko chyża, małko foikadaj-
czora". Wiem: interpretacja lipskiego to rezultat zwię-
czenia przeklętym, poniżającym mitem Zachodu - powsze-
dnym antysemityzmem Polaków. Ale nawet w skrajnym zmęcze-
niu nie wolno, po prostu i nie wolno na mit podry odpowie-
dać mitem świetlanym.

Sądzę, że nie podobieństwa i różnice między Wielką
Emigracją a rozmaitymi formatami emigracji współczesnej
są tematem najważniejszym dziś; nie jest nim również
temat obozowy. Książka następna o literaturze nadal nie
obecnej powinna zająć się rewizją - utrwalonych w sztuce
literackiej - narodowych mitów, zwłaszcza tych, które
oddalają myśli o tym, że polakość to nie tylko martyro-
logia, ale i wina wobec innych nacji. Wszak niezależność
i prawda to jedno?

E. b.

To, co w sposób agresywny uderza czytelnika przy wstępny kontakt z Wysokimi Progi x/, to wyrazista obecność Gombrowicza - w utworze o bezpośredniej, gazetowej niemal aktualności, dotyczącym dyżurnych tematów drugiego obiegu. "Lata powieść" Mariana Miszalskiego pisana jest, jak się ktoś wyraził, Trans-Atlantykiem. Chodzi nie tylko o styl, także o niektóre idee, zresztą nie tylko o Trans-Atlantyk. I to jest właściwie najważniejsza sprawa tej książki.

Pierwsze pytanie: czy wolno? Zadał je sobie i autor, odpowiadając całkiem słusznie: "grzech to a dys-honor żaden. Przyjdzie czas, będzie pora na style inne; a teraz: co z tego, że już Gombrowicz tak pisał, skoro ja piszę?"

Gombrowicz kusił swych wielbicieli do aktualizacji ideologicznej już we wczesnych latach pięćdziesiątych. Zaraz po Październiku zostało to przypomniene przez Jana Józefa Lipskiego. Už, i Gombra /inna sprawa, że nie bez partii pris / Artur Sandauer, budując swój arsenał figur myśli i mo- dla ataku na krytykę i literaturę polską czasów st. inowskich. Bardziej dyskretne /choc i bardziej przyłgłe/ aluzje o Gombrowicza pojawiły się stopniowo niedawno i w Wariacjach pocztowych Brandycor, i w Wielkim księciu Rymkiewicza, tu i ówdzie u Konwicznego. Wszędzie - dla rohwycenia współczesnym u pojrzeniem polskiego losu w jego tragizmie i głupstwie. Wreszcie - i sam Mistrz zezwala, gdy pisze: "nie ma idiotyzmu, który by był dla ciebie niejadalny". Rysują się jednak następujące pytania. Przede wszystkim: czy rzeczywiście teraz właśnie pora, by uruchomić całe niemal instrumentarium Gombrowicza dla tak wyspecjalizowanej tematyki? Książka Miszalskiego dowodzi że jest to nie tyle pomysł na powieść polityczną, na szerzej zakrojone przekształcenie tej formy pisarskiej, ile eksperyment jednokrotny, swoisty przyszcio dla gatunku. Od w. elu lat ten rodzaj prozy znajduje się u nas, jak wiadomo, na zakręcie artystycznym, dodatkowo blokowanym przez cenzuralne zakazy wjazdu. I nie daje karuiatyka urzędowych krytyków, miotających się między "powieścią polityczną" a "powieścią o polityce". Przy zastosowaniu zasad weryzmu, przy zwierciadlanym opisie życia powstają na razie obrazy chcąc nie

x/ Marian Miszalski: Wysokie Progi. Wydawnictwo Zona. B.m. 1984.

choć fałszywe. Odonobniony przypadek Tomasza Stalińskiego nie wykracza poza rejestrację /której nie należy lekceważyć, ale jako artystę wolę Kisielea/. Próby mitologizacji lub psychoanalizy, skądinąd - np. u Andrzejewskiego - wielce zastanawiające, wskazują, jak trudno chwycić byka za rogi.

Kolejne pytanie może wyrażać obawę, czy nie mamy do czynienia z kiczem pogombrowiczowskim. Podobnie jak przy Witkacym, także i przy autorze Operetki sytuacja jakby dojrzała do pojawienia się ich wersei miękkich, gupszych, powierzchownie kokieteryjnych. Pisarze ci nigdy nie przejdą do kultury masowej, ale ich popularność, również wśród młodszej inteligencji - chciałoby się powiedzieć "kawiarnianej", gdyby nam i tego słowa nie zniszczono - może prowadzić do zbitniej poufałości, a więc i do neutralizacji tkwiącej w nich trucizny. Otóż uważna lektura utworu Miszańskiego pozwala odpowiedzieć: tym razem nie. Zarzucić mu można jednowymiarowość, w pewnych punktach - brak zgodności z Protagonistą, ale jest to próba serio; w sumie udana, zaolekwiwiająca.

Reteket fabularny Wysokich Progów stanowi droga z KC do Biura, walka o stołki partyjne, między dwiema klikami. Problem zaś, który się z tej fabułki wyłania, to status i funkcje władzy w PRL jako państwie totalitarnym. Opowieść ujęta jest w prawidła groteski wzorowanej głównie na Trans-Atlantyku; a komentarz autorski, umieszczony w rozdziałach parzyskich, wywodzi się przede wszystkim z Gombrowi zowskiego Dziennika.

Nie jest to jednak zwykła zabawa w naśladownictwo. Wprawdzie Miszański daleki jest od realizmu, ale materiał życiowy, którym się posługuje, zmusza go do modyfikowania sposobów mistrza w kierunku, ogólnie biorąc, większej brutalizacji. Rzeczywistość zdegradowana - w porównaniu z tą, którą chociaż oglądać Gombrowicz - wymaga degradacji języka, degradacji przedstawionych zachowań; wymaga, by i opowiadający sam grubo kroił. I dlatego trochę się przypomina Kaden, kiedy jako autor Matusza Bigdy wkracza w perfidne i chamskie brudy parlamentarne komuna drugiej Rzeczypospolitej, a chwilami kłania się nawet Dołęga-Mostowicz ze swoim Dyzmą, który - tak jak jeden z bohaterów Miszańskiego - rozpoczyna wielki start od mordobicia. Tyle, że Dyzma czyni to naiwnie; wmontowany mimochodem w mechanizmy karierowe tamtych czasów, podczas gdy postaci z szopki Miszańskiego chytrze obmyślają swe zagrania. Dyzma zresztą wali w pysk w autentycznym odruchu lampa, tutaj zaś czyni się symboliczne, zastępcze, prowokujące znany z Gombrowicza kańczuch interakcji.

Także i mowa bohaterów czynie w sumie z nieco innego zasobu słownego niż język Trans-Atlantyku. Nie brak wprawdzie w Wysokich Progach stylizacji sarmackich,

ale jest ich tylko tyle, byśmy pamiętali, że to rodzący nas, że o Polskę rzecz niby idzie. Natomiast bez porównania więcej tu wulgarności i bylejakości, wyrażenia knajpaskich, stubańskich, zupackich, a czasem i obkopskiej gwary. Przemieszane to gesto z aluzyjnymi ruseyzmami, głównie zaś - z nowomową, która na tym forum jest przecież naczelnym orężem.

Tylko w pewnym stopniu chodzi autorowi o pokazanie /w karykaturalnym skrzywieniu/, jak naprawdę porozumiewają się między sobą ci tam na górze. Chodzi raczej o przysposobienie ich mowy do tych gestów językowych, które będą ważne w sensie Gombrowiczowskim. Także bowiem w Wysokich Progach berguje się, także i tu tworzy się magiczne zbitki słowne, brane tym razem ze słownika ideologicznego i z językowych obsesji zasawenturowanych przeciwników, przerosnięte podolnymi grepsami frazeologii potocznej; rozmaitymi "wsie zusamen do kupy" itd. To pokrzyki "Zaryjbraćwomordęprać!" To opozycja pomiędzy "w kopyrdum kapyrdum" twarogłowych, a "dyrdum, dyrdum, hej! w kopyrdum" mięczaków, rozwikłana, oczywiście po głosowaniu, kompromisowym "w kopyrdum" tout court.

W centrum ferdydurkizmu wprowadza nas autor już samą figurą pojedynku między liberałem Mietkiem a twar-dzielem Stefanem. Dopiero pod koniec ostatecznej operacji następuje wspomniane mordobicie /zresztą rozkręcone do zespołowego/. Najpierw jest coś w rodzaju pojedynku na miny oraz brawurowa przepychanka przez Próg, z fałszywymi lansadami. Do walki dobiera się pomocników o podobnej posturze: grubego - grubym, ortodoksa - ortodoksem chce się pokonać. Jak w prawzorze: "Gdy jeden Ręką Machnie, drugi Nógę zadrze". Wykonując umowne gesty, przekrzykując się umownymi hasłami, tym razem "zmagają się w leninowskim kto kogo". I tak jak w prozie Gombrowicza, niekiedy z sukcesem inscenizowanej - jest to niezły teatr. Nie tylko na głównej scenie Biura. Gdy w podmiejskim lasku szary funkcjonariusz wjeżdżki zostaje dopuszczony do sekretu, także i tam odbywa się mała pantomima. Fiołki i sasanki najpierw są trooskliwe omijane, a dopiero po dyrektywnej rozmowie - twarod się je depce. Mały aparatczyk również i to po ważniejszym powtarza, niższość swą, wedle jego wyższości moderując. Wysokie Progi na pewno nadają się na monodram, panowie aktorzy.

Spektakularność tej groteski stanowi zarazem wskazówkę interpretacyjną. Gdy Mitek przełeci przez Próg, wykatapultowany unikiem brzuchatego Stefka, wiemy, że to teatr absurdu, że rozgrywki nie należy rozumieć dosłownie, trywialnie. Jest to w lekturze tej książki dość łatwe. Autor postruguje się bowiem popularną plotką, pozorującą, że to utwór z kluczem. Imiona wiąż-

szości bohaterów są autentyczne i łatwo np. zgadnąć, jaki to Mitek chce odebrać Stefkowi min.spr.zagr. W pewnym momencie pojawiają się i znane nazwiska, ale pisane z małej litery, traktowane nie identyfikacyjnie. Bo też nie należy dać się nabrać na zbyt prostackie wskazanie palcem tego czy innego vipa. Mówiłoby ono tylko tyle, ile nieśwież wieść gminna, podparta realiami z telewizyjnej wirtualności o ek.pie rządzącej. To znaczy - mówiliby niewiele. I nawet mogłoby to wyglądać na niezręczny rozróżnienie między elitarnością wykorzystanego Gombrowicza a szerokim zasięgiem popularnej plotki. Aluzja persona'na jest w Wysokich Procach nonszalanckie, nie walka w to, jak srbteina sofistyka opanowała w rzeczywistości naszego Mietka, ani w to, czy mroczny etos prawdziwego Stefana sięga przepaści Liesów.

Jesteśmy przecież w kręgu zabawy w fałszywy autentyk. Klucz jest tu po to, by skierować w ogóle uwagę czytelnika na wierzchuszkę, a zarazem i po to, by farsowy śmiech unieważnił rzekomą doniosłość polityczną zmian personalnych na szczycie. Niepowaga pojedynku pokazana jest przez grę najbanalniejszych stereotypów, przez pustkę programową ścierających się "linii", które różnią się głównie długością dyktanda taktycznego: czy brać za pysk krótko, straszac siedemnastą republiką, czy też wykładać ugle bardziej pokrętnie - "to rogatywka, to Matką Boską Częstochową, to użanem, to Witosem" szklíč, kłajstrować, kleić.

Przeciwstawnie bogato prezentuje się socjotechnika walki klik, skodyfikowana w terminologii cwaniackiej: wpuszczać w maliny, wieć na kogo haka, tyłem do przodu, tasować układy, walnąć Argumentem albo Sytuacją, iść w zaparte, rozdzielić - potem szurnać lub rzucić na pozarcie... No i odpowiednio do tego role: sowy, obcy i wtyki, ci, którymi się przebijamy i ci, których musimy po drodze wydusić, nazwiska znaczące i bezimienne "walczaki". Także funkcje wynikłe z wypróbowanej struktury aparatu: nomenklatura międzynarodowa i lokalna, jurysiektgenieraty, tajniacy, prowokatorzy, propagandziści. Konferencja prasowa jako narzędzie rozgrywki. Rytuał posiedzenia partyjnego jako sprawdzian podległości. Już z samego tego, jakże niepełnego, rejestru wynika, że nie jest to demaskacja "rozliczeniowa", lecz mądra próba pokazania złożoności mechanizmu i hierarchizacji jego trybów.

Legitymuje ją koncepcja władzy raczej Orwellowska niż Weberowska. W tym zakresie Miszalaki niewiele od siebie dopowiada, tyle może, że w faktycznym roku 1984 odejmuje Rokowi 1984 demonizm, a dorzuca mięsa. U nas bowiem /zostawmy na boku odrębne doświadczenie Zinowiewa/ jest pierwszym, który w zbeletryzowanej formie próbuje pokazać całość aliencyjnych procesów

apa'atu rządzącego, używając "języka z kalendarza" oraz rodzinnej rekwizytorni. Poprzednika ma do pewnego stopnia w Januszu Szpotańskim, ten jednak występował na małej scenie kabaretu.

Pamiętając przy tym o swoistości impulsu Gombrowiczewskiego. Autor wychwytuje go dobrym uchem, ale go czasem modyfikuje. Pisano, że "międrzyludzkie" prowadzi u twórcy Siuba do wykładni indywidualistycznej, że bergowanie w Kosmosie jest rodzajem onanizmu. U Mieszalskiego interakcja odnosi cię jednak przede wszystkim do socjopsychologii grupowej; gesty językowe są częściej impresyjne, zdeterminowane przez zbiorowe "my - was". Pozwala sobie autor nawet na małe niewierności. Oto np. kupa sytuacyjna nie jest tu skupiskiem bezkształtnym i labilnym, ale jest produktem chwili. Jest to raczej dynamiczna postać ewolucyjnej kłiki, prymitywna, ale nie pozbawiona Formy. Śmieszna okładka Wysokich Irogów, na której kupa daje kopa, pokazuje to jako symetrię. Także i inne chwytły gombropodobne są w tym utworze przy-stosowane do uspołecznionej zbiorowości. Taka np. kate-goria psich przemożni. W Trans-Atlantyku "a huż, hużia!" jest poczuciem indywidualnym, u Mieszalskiego - odnosi się do sfory, zgrai - jak powiedziałiby Ortega z Con-stim.

W tym socjologizmie stylistycznym, obsługującym temat ideolo, tkwi pewna oryginalność, chociaż można to odczuć jako zbyt nahalen sfunkcjonalizowanie genialnego pisarza i zarsnąć, że o ile jego dzieło jest wielowymiarowe, pulsuje "rojowiskiem procesów", o tyle pan Mieszalski prowadzi tylko jedną grę. Lecz są w tekście ważne argumenty obronne. Jednostronność oznacza tu wskazanie na totalny charakter przedstawianego mecha-nizmu. Nie ma luzów, nie ma derywatów w rzeczywistości wyodełowanej totalitarnie.

Mieszalski jest z ducha Gombrowicza, kiedy włącza o euweronne "ja" ludzkie. Tylko że ukonkretuła jego za-grzeżenie przypominające aktualną sytuację społeczną i jej historyczne determinanty, podczas gdy mistrz starał się wymykać pułapkom historii, nie dawał się - jak to się mówi - złapać za rękę.

Imponderabiliów, w których imię autor przeprowadza swoją złożliwą wiewsekcję, szukać trzeba w parzystych rozdziałach książek, rzutujących na odpowiednie frag-menty fabularnej przepychanki. Oba oglądy uz poźniają się "nielilinearne", ten drugi służyć ma podwyższeniu jakości naszej refleksji.

To znówu otreżenie przed dosłownością. Mieszalski wyjaśnia, co może oznaczać "podwójność" bądź nawet "potrójność" tego czy owego Mietka, i jak można rozu-mieć "ni Ma mnie, więc Jezdem" jakiegoś Stefana. Od

mafijnego "knucia" partyjnyu hipokrytów przechodzi do kwestii bardziej ogólnej: do zatraty tożsamości, niwelacji autentyczności jednostek, niezależnej od tego, czy czują się one podmiotem, czy też przedmiotem dziejów. Moglibyśmy dodać za Historia, że boskość jest tu niemożliwa. Proces walki o władzę w swym aspekcie ontologicznym staje się procesem dehumanizacyjnym, w aspekcie aksjologicznym jest procesem zniewolenia i zbydlenia moralnego. Wykłada się to n.in. w pojemności "wielkich metafor" tekstu: Wysokie Progi są progami Polibtura, ale równocześnie progami "mojej świadomości", progami sumienia. Krótki dystans walczących można nazwać swcistym anty-Cogito, i tak dalej.

Humanistyczny apel Miszalskiego bliżki jest podobnym w treści rozważaniom Havla, koniecznie jednak ufażuje zahaczyć się o najwyższe piętre metafizyki Gombrowiczowskiej. Niestety, nie mamy do czynienia z wywodem równie wyrefinowanym, nie jest to dyskurs wielkiego pana, który zniża się do tonu buffo. Toteż i formuły światopoglądowe nie brzmią u Miszalskiego rewelacyjnie /zarzut dotyczy właśnie ich brzmienia, nie zaś meritum sądów/. Tak się dzieje również przy pytaniu o potrzebę Boga, a w innej wersji o transcendentny Absolut, umieszony w niekończoności. Tym razem z większymi niż poprzednio pretensjami można by zauważyć, że i w tych kwestiach twórca Trans-Atlantyku nie dawał się za rękę złapać, gdy autor Wysokich Progów zbyt protodusznie deklaruje swój irracjonalizm i zbyt ostantacyjnie łąga się krzyżem świętym. Nie jest to konwencjonalne "z Bogiem" Gombrowicza - szlacheckiego epistolografa. Absolut, i to o charakterze sakralnym, jest Miszalskiemu niezbędny dla lepszego samopoczucia duchowego, stanowić ma niezależną gwarancję prostej wiary w wartości humanistyczne. Dobry on jak każde stworzenie Pańskie, a Gombrowicz dobry nie był.

Wiara ta nie pragnie oczywiście odnosić się do klik, kłębiących się u wierchołka totalitarnego systemu, tylko do jego ofiar. Stratyfikacja społeczeństwa, ujęta znówu w kategorii groteski, czyni jego ośrodkiem Albinową "magwę". Z niej wyłaniają się procesy: w dół - ku "motłochowi", a dalej ku "bydłu", i w górę - ku "ludziom", a dalej ku "świętym". Przyznać trzeba, że mimo dezynwoltury językowej ujęcie to jest znacznie bardziej wnikliwie niż podział, dokonany niegdyś przez Piotra Wierzbickiego w jego Traktacie o gnidach. Zauważa też Miszalski, że machina totalitarna pracuje z sukcesem w obu kierunkach: zbydlenie człowieka nie ma granic, "świętość" zaś można eliminować przez śmierć.

Jesteśmy wobec tego przy pytaniu, czy obraz systemu, pokazany, i to z takim szwungiem, wyłącznie od

strony sprawców, nie jest deformacją; pragnięty wie-
dziec, co autor sądzi o podmiotowości "drugiej strony".
Nie chodzi o pomnik Sierpnia. Gombrowicz drukowan-
solidarzę - to by była dopiero gęba. Chodzi o możli-
wość zrównoważenia sił. W końcu, jeśli książka wychod-
dzi w obiegu niezależnym, i jest to książka o ambicjach
politycznych, mamy prawo do pewnego normatywizmu.

wysokie Progi nie ukazują owej "drugiej strony" -
spokreślenia, narodu, ludzkości - w trybie bezpośred-
niej prezentacji. Pozwalają jednak co- nieco zrekon-
struować. Przede wszystkim przez uwydatnienie, kto mówi,
kto relacjonuje haniebną szopkę. Wprawdzie slang wal-
czących klik przytaczany jest "z pozycji wewnętrznych",
ale zostaje on poddany podwójnej negacji; po pierwsze
przez ferdydukiizm, po drugie przez dopowiedzenie saty-
ryczne. "Sznury, epelety, akselbanty z ozerwoną gwiaz-
dą", "Towarzysz Zbawca", "magmas mózgi rozwadniać",
"kto szybko w łeb wali, dwa razy wali" - tak otwarcie
cynicznych deklaracji nowomowa co siebie nie dopuszcza.
To ironia obronna tych, którzy pragną mieć dystans wo-
bec języka totalitarnego; a szerzej - wobec atakującej
wokóło propagandy. Wspomniało się już wyżej, że autor
w sposób zasadniczo podważa znaczenie partyjnych czys-
tek i przetasowań jako remedium ustrojowego; postawa
ta zbiega się z pogardą, wyrażoną przez naród w roku
1980. Ośmieszając władzę niegodną, jest Mieszalski
pryncypialny także jako prozaik; wyznaje, że nie po-
słuchał rady, żeby przenieść akcję gdzieś do mordobij-
skiego powiatu. Skuszenie, niech czynią to bezpiecznie
monografiści rozmaitych Pudrycych.

Przeprowadzona też została w powieści Mieszalskiego
rehabilitacja mitów, hodowanych przez kręgi bliskie centrum
władzy - jak "wallenrodizm" bezimiennych walczaków.
Wyśmiane są pobożne życzenia, zamulające leniwą mental-
ność nie spolaryzowanego ogółu - jak idejki, że "bydło
może zeżreć pana", że "despotia sama się zadusi".
Autor przestrzega przed tymi sojusznikami z Zachodu,
którzy dumni z wolnego wyboru podpierają się frazesem
pacyfistycznym /"lepiej żywy ozerwony..." itd./;
nazywa to dobrowolną kastracją intelektualną w przeci-
wnieństwie do przymusowej, jakiej podlega nasza zona.
Przyznaje wszakże, choć głosem niepewnym, że w syste-
mie liberalno-demokratycznym jest więcej szans na to,
by "produkcja bydła" była hamowana.

Z tym wszystkim za mało w Wysokich Progach danych
pozwalających konkretyzować siłę oporu. Sytuacja na-
szkicowana jest nieco zbyt grubą krechą, obraz jest
zbyt skrócony. Nie dostrzegamy elementów niewia-
domych, nieprzewidywalnych. Czyżby Mieszalski został
przez Gombrowicza podpuszczony? Czyżby to Forma tak ów

obraz usztywniła? Stąd i pewien fatalizm ujęcia; za małą gotowości do przekształcenia groźnego modelu świata. I pewna katwizna metafory "sowiecki żagier". Zrzuca ona odpowiedzialność na to, co zewnętrzne, i równocześnie jest jakimś rodzajem samoponiżenia. Motto z 44. psalmu w przekładzie Miłocza jeszcze ten nastrój utwierdza: "Moja zniewaga jest stale przede mną i wetyd i twarz okrywa...".

Wątpliwości powyższej nie należy jednak rozumieć jako propozycji; by autor Wyckich Próg uwanewrował się w zasadkę pod nazwą "Polak z Polakiem". Nie po to przecież sięgał do Trans-Atlantyku, nie po to Wojtkę z ojcostwa wyzuwał; aby moczawion się Ojczyzny z Syn- czyzną konkludować. Szukający Gombrowicza: będąc Polakiem, trzeba być kimś jeszcze.

M.A.P.

I DLACZEGO CIAŁE O KATYTYU - CIIII?

Powieść jako palimpsest. Powieść jako tekst wymazywany i da nowo pisany. Taki pomysł pisarski, taka reguła poetyki zdaje się rządzić coraz jawniej prozą Zyty Oryszyn. W dwu ostatnich powieściach, wydanych w obiegu niezależnym, powtarzają się - pod różnymi imionami czy przezwiskami, z nieco odmienną biografią - niemal wszyscy bohaterowie. Przede wszystkim narratorka. W obu utworach przyglądamy się kolejom jej życia, od dzieciństwa (pędzonego w Lesnym Brzegu /przejrzysta maseczka Kłodzka/ po pierwsze lata dorosłe w Warszawie, w obu - co wnikliwiejsza - obserwujemy ewolucję jej świadomości, o' naiwnej wiary narzucony przez szkołę, gazety i hasła uliczne "socjalistyczny" obraz świata po /także nieco naiwną/, podsumiętą przez środowisko i zakazane lektury, postawę antysocjalistyczną.

Nad biografią narratorki ciąży bezpowrotna nieobecność matki i przejściowa zrazu - ojca. W Czarnej iluminacji x/ ojciec w latach pięćdziesiątych trafia do więzienia, skąd wychodzi niewinny po to tylko, żeby na wieść o powstaniu poznańskim wyruszyć do Poznania i zginąć. W Madam Frankenstein xx/ ojciec wraca do domu też gdzieś około roku 1956, tyle że z radzieckiego łagru. I też rychło odchodzi z domu, niby to do jakiejś Francuzki, ale tak naprawdę to chyba umiera w domu wariatów.

Matkę zastępuje narratorka niechlujna istota, która w pierwszej powieści nazywa się Janeczka, a w drugiej Mała /= Mama Ala/. W pierwszej wersji wychodzi ponownie za mąż za Profesora, w drugiej - za ojca Krystyny. Z kolei Krystyna, której bogate w mężów i przygody życie zajmuje sporą część nowszej powieści, jest zdaje się drugim wcieleniem koleżanki Ani z Czarnej iluminacji, zapalnej /czy były inne?/ działaczki ZMP, co potem wyjechała do Włoch...

Palimpsest tym się charakteryzuje, że pod kolejnymi warstwami ma tekst najstarszy, pierwotny, dla badaczy zazwyczaj najmniejszy /dla badaczy, powiadam, bo dla Zyty Oryszyn, podobnie jak dla dawnych kopistów, naj-

x/ Zyta Oryszyn: Czarna iluminacja. Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA. Warszawa 1981. Biblioteka Pulsu.

xx/ Zyta Oryszyn: Madam Frankenstein. Wydawnictwo Przedświt. B.m. 1984.

ważli. Jeszy zapewne jest zawsze tekst ostatni, najnow-
szy/. Sięgnąłem zatem po Najadę, powieść wydaną w roku
1970 w jedynym wówczas obiegu. Rzecz dzieje się wpraw-
dzis ra wsi i główna bohaterka - Marychna - ma matkę,
ale wiele szczegółów przywodzi na myśl ostatnie po-
wieści. Przede wszystkim nie becnosć ojca /Antoniego,
jak w Czarnej iluminacji/, który w 1939, pod koniec
kampanii wrześniowej, wyruszył był do Warszawy na wez-
wanie siostry i ślad po nim zaginął. Jest tylko foto-
grafia - nieco wątpliwe świadectwo. "ni stąd ni z cwał
zobaczyła ojca. Ojca na fotografii. Choć nie mogłaby
przysiąc, że to on. Bo stał tyłem do obiektu, do obiek-
tywnego świata /.../ - i wyciągał ręce do góry, ostatni
raz zapatrzony na pewno w szary mur". A więc "na pewno"
wiadomo, że nie żyje i że zginął zapatrzony w szary
mur... Jest też dziadek Marychny, ongiś bywały w Fran-
cji, co nic nie robi, tylko stoi po środku pola i
patrzy /identyczne stany długotrwałego zapatrzania
przeży samobójcza śmierć od gazu babki Ganowskiej - zu-
pełnie jak śmierć babki Nicole w Czarnej iluminacji.
Do tego dodać trzeba we wszystkich trzech powieściach
/a zapewne i w dwóch, które przeszły między nimi:
Melodramat i Gaba-gaba czyli 23 części wielkiego skre-
tu/ całą galerię wariatek - kobiet, które przekroczyw-
szy granice szaleństwa głoszą swoje prawdy objawione.
Do granic tych zbliża się niekiedy narratorka - "wy-
czajna wariatka" - ale wraca szczęśliwie, uzbrojona w
potężną broń: Pisanie.

Szeregownie iluminujące w kwestii terapeutycznej
roli pisania jest to miejsce w Czarnej iluminacji,
gdzie narratorka, rojąca o tym, że zostanie Bohaterką,
o której w szkole uczą się od-do, trafia na pozosta-
wioną w ubikacji /typowy dla Oryszyn chwyt degradują-
cy/ książeczkę Marii Jarochońskiej Qiwara: "Ta litera-
tura jednak wychowuje. /.../ Ta literatura daje jednak
Nadzieję i OLSNIENIA! Oto: zamiast być Bohaterką -
może spokojnie PISAĆ o odwadze."

Kombinacja stałych powiązań rodzinnych z rozważa-
niami na temat Pisania prowadzi nieuchronnie ku za-
gadnieniu autobiografii. Ale nie podążamy tym tropem,
poprzestając jedynie na jego zasygnalizowaniu - dla
beznamiętnego badacza starych palimpsestów naprawdę nie
ma większego znaczenia, że pod ostatnią warstwą perga-
mnu natrafi na żywą skórę autorki.

Nie mówmy zatem o autobiografii, ale - tak jak do-
tychczas - o biografii. Jedną z jej cech najosobliw-
szych zdaje się być warientowość, wymienność. Marychna
z Najady w młodości "kłamała, że ma jakichśi braci, że
jakieśi ludzie do niej przychodzą wieczorami i nic nie

mówią, ino się jej pięknie kłaniają; i takto tam różne"; potem - pod wpływem reakcji otoczenia - stwierdza to fantazjotwórstwo, nadal wciąż zdarza się jej ujrzeć nagle najadę albo wyobrazić sobie, że żyje w cudzoziemskim mieście. Podobnie narratorka Madam Frankensztajn - zandrosiła światowej krytyczki, chciałaby być "gdzie indziej", zamieszkać swą szarą, cuchnącą rzeczywistość na kolorowy, bajeczny świat palm. Nie są to tylko oderwane od życia refleksje. Mała emilia swą biografie zależy od podmuchów historii - raz jest córką zamożnego fabrykanta, raz córką biedniaka z podolskiej wsi, potem znów córką wędźnika, w końcu córką ziemianina: "Ojciec mademoiselle Alice, podkreślając sułaste go wasa, mawiał no, to już czas najwyższy odwiedzić kochanego Schuissa, może znowu opisać jakieś cynamonowe sklepy, posłuchać ty go" /nawiasem mówiąc kiko - gdzież by tam stary szlagon jeździł do staronakonnego nauczyciela z Drohobycza/.

Dochodzący tu do kluczowej kwestii pisarstwa Zyty Oryszyn: do relacji historia - świadomość - biografia. Mówiąc w najwęższym sformułowaniu i prośbieniu: na taką biografie kształtujemy, taką sobie tworzymy, jaka jest nasza świadomość, a ta z kolei, jak wiadomo, jest uwarunkowana historycyzm. Powieści Zyty Oryszyn coraz śmielej poruszają te temata, coraz bezwzględniej odrzucają mechanizm racjonalny, ale jakby niechronologicznego proceduru pisania - słabych wariantów biografii.

Wszystko to o wyświeśle nie jest wywiedzione składnie i logicznie, tylko rozepła się pokrętnie w paradoksalną, obywatelską miazgę, której na imię: czarna iluminacja. Tytuł, który kojarzy się z erudycyjnymi uwagami o motywie "czarnego szmer" w komentarzach do rosyjskiego-nowojorskiego wydania "Kadeleztana, albo z Ciemnym świędkiem Wala. - Ważnym terminem tym określa się stan ducha pana Jeducha po odmowie paszportu /"Zupełnie jakby odwołał się dożgonny ślub w brzuchu matki będąc jeszcze w kręgu urodzenia, na złe zresztą wyjątkie. Czernocoka łona prządanie nas zrewa w garści, ja ci dam paszport, szedzieju, bandytc, siedź i pracuj dla mojego d-bra, ja ci dam masło albo mięso żreć, ja ci dam wódkę alkoholiku jeden, esperal ci w brzuch, ja ci tam prawa czkowłeka i obywatela, a życie Warszawy, a prawo i życie, to ci nie wystarczy? Klęcz i służ, małżeńskie obowiązki mi świadoz, zapadają ciemności i co z tego wynika? Wasza kolnerska, skuźalca sytuacja wynika. Trzeczony kółko olbrzymki ludzony, a ty człowieku gdzie nie podniesiesz znad łona boleści oka, tam czarna ściana płaczu przed tobą. Z takich ścian zbudowane są nasze domy - oto nasze socjalistyczne budownictwo."/.

Ale Madam Frankensztajn przynosi odmienne wytłumaczenie. O zapiskach lokalnej wariatki, tytułowej Madam Frankensztajn, mówi się tam z posornym lekocważeniem: "o, jakaś pisanina, taka czarna iluminacja". Ta ważna informacja automatyczna kieruje nas w stronę innego sensu słowa "iluminacja". Skoro wprowadziliśmy analogię do palimpsestu, możemy też wspomnieć o średniowiecznych manuskryptach - iluminowanych. Wydobędz się wówczas walor estetyczny tekstów Zyty Orszyn - ich jakość prozy iluminowanej, co przypomina krypto-grafie Janiny Kraupe-Swiderskiej. Walor estetyki brzydoty i walor prozy jako mowy wiązanej.

Bohaterka Czarnej iluminacji, która wierzyła bez zastrzeżeń we wszystko, co szkoła podawała do wierzenia, doznaje wstrząsu z chwilą destalinizacji kraju. Wstrząs ten wyraża seria - chciałoby się rzec - litanią pytań. Zwyczajnych pytań, jakie stawiamy, kiedy wali się nam jakiś świat. Jest wśród nich jedno, wybiegające w przyszłość - postawiłem je na czele tych uwag. Korzystając z prerogatyw krytyki projektującej chciałbym zamówić u Autorki nowe Dzieło. Skoro dotychczasowe warianty biografii inspirowane były przez lektury Herlinga-Grudzińskiego, Wata, Saroyana czy Schulza, niechby pojawiła się powieść, wynikająca z przetrwania i twórczej transformacji Józefa Mackiewicz, Swianiewicza i Czapskiego. Powieść, w której ojciec narratorki zginie w Katyniu, a ona sama po wprowadzeniu stanu wojennego będzie koczowniczą Zbyszka, skrzynką kontaktową, punktem poligraficznym, kolporterka, kolekcjonerka składek, pisarką, niepotrzebne skreślić. Nowa biografia nowej świadomości nowego okresu historycznego.

J.Z.

ZAPISKI CZŁOWIEKA NADZIEMSKIEGO

Adolf Rudnicki uważany jest przez wielu za jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy. W roku 1984 "Przedświt" wydał jego ostatnią książkę x/, oczywiście bez wiedzy i zgody autora. I teraz nie wiadomo - cieszyć się z tego, czy martwić.

Nie pamiętam już, czy przeczytałam, czy usłyszałam od kogoś następujące twierdzenie: nikt nie ma prawa mówić, że zupa pomidorowa jest niedobra. Może powiedzieć - ja nie lubię zupy pomidorowej. Uzupelniałbym to następującym zdaniem - t a zupa pomidorowa okropnie mi nie smakuje.

Kłopoty z tolerancją - każdy powinien móc pisać to, na co ma ochotę i tak, jak ma ochotę.

Uważam jednak, że tolerancja obejmuje także czytelników.

Jeżeli autor - jak sam o tym pisze - zamierza przedstawić fragment naszego świata, jeżeli ma nam, którzy go czytamy, dać o tym fragmencie jakieś wyobrażenie, to powinniśmy mu wierzyć! A jak wierzyć człowiekowi, który nas totalnie lekceważy? Pisze Rudnicki: "Tylko w dokumencie zawarty jest prawdziwy opis wozorajszego meczu, który tylko nieznacznie różni się od dzisiejszego" /20/. A potem: "Od wsielu lat tylko frajerzy ciężko pracowali /.../. Od lat praca przestała interesować młodych. Już w roku 1953 usłyszałem od kogoś: lepiej przejdę do ustawiaczy i decydentów" /43/. Już nawet nie o to chodzi, że wyraz "decydent" to wynalazek lat siedemdziesiątych, co każe wątpić w autentyczność przytoczonego zdania, ale sam pomysł, że tylko frajerzy w Polsce ciężko pracowali pozwala przypuścić, że obserwacje autora mają charakter wybiórczy i nie towarzyszy im najprostszą refleksją, choćby ta, że praca hutnika jest ciężka niezależnie od typu gospodarki i nastrojów społecznych.

"Prawda, komunizm, który wciąż uważam za wielką ideę, zjawia się w przededniu odkrycia bomby atomowej..." /58/.

x/ Adolf Rudnicki: Sto lat temu umarł Dostojewski.

Wydawnictwo Przedświt, Warszawa 1984.

Książka składa się z 261 not ponumerowanych przez autora. W recenzji liczby przy cytatach oznaczają numer noty.

Nie wiem, jaką datę przyjąć za datę narodzin komunizmu - czy rok 1848, czy może 1917. W każdym razie bomba atomowa to niewątpliwie rok 1945. Dla historyka z dwudziestego trzeciego wieku być może będzie to "w przededniu", ale dla nas?

Najdziwniejszą jednak rzeczą, skoro już jesteśmy przy datach, jest ta, postawiona na ostatniej stronie książki: 1980. A tymczasem Adolf Rudnicki opisuje wydarzenia z roku 1981, z wiośny i lata. I nie jest to pomyłka wydawcy; bowiem mamy jeszcze dwa postscripta /post scriptum I i post scriptum II/ - z roku 1981 i 1982. Jak to się stało, że autor z zadziwiającą jasnością zdolał przewidzieć Bydgoszcz i blokadę ronda w Warszawie? Wiem, że każdy pisarz powinien być trochę profetą; ale żeby aż do tego stopnia? Mówiąc poważnie, nie wiem dlaczego tak się stało; ale widzę jedno - jest to kolejna nieprawda tej książki; w którą każe mi się wierzyć. Podobnie jak anegdota o jakimś towarzyszu N., który podlizywał się Rosjanom i o którym mówiono w Moskwie: "Ile tej wazeliny; patrzcie, przywieźli! Po'awonki z Warszawy" /198/. Rzecz w tym, że rosyjski nie zna takiego nżycia słowa "wazelina" o jakie tu chodzi.

I może jeszcze na zakończenie coś o pisarzach: "Mamy na nasze skromne potrzeby sześć tysięcy artystów pisarzy. Tysiąc liczy sobie sam warszawski oddział literatów; tysiąc pisarzy! W skali krajowej mamy ich dwa, trzy razy tyle" /258/. Otóż cały ZLP miał 1500 członków, z tego Warszawa około 750. Za to Związek Plastyków 9000. Otóż dnie te - rnisjsza o precyzję - służą do stworzenia apokaliptycznej wizji sturków wśród ludzi, zmuazonych "przebywać razem, jadać razem, wypoczywać razem - kto to wymyślił?" /258/. Pisarzy w PRL zmuazano do milczenia; ale na pewno nie do jedzenia razem.

Nie chodzi tu o niedokładności; nie na tym przecież polega wartość literatury. Można popełnić masę gaff i napisać książkę znakomitą. Zapewne nie należy przy tym tak kategorycznie - jak to czynił Rudnicki - podkreślać autentyczność dokumentu; ale w końcu nie w tym sedno. Sprawa jest znacznie istotniejsza.

W tej książce mamy do czynienia ze światem postulowanym Adolfa Rudnickiego.

Ale nawet taki świat musi być z czegoś zbudowany. Kiedy czytam Sto lat temu umarł Dostojewski mam wrażenie, że opis rzeczywistości w części oparty jest na lekturze gazet "pierwszego obiegu", a w części na wyobrażeniach obowiązujących w środowisku tzw. lawicowej inteligencji lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

"Cały świat pisze - Polska przestała pracować. Zdanie, które pojawia się coraz częściej - przestali pracować..." /43/.

"Młodzi niekajają! O krok od granicy rzucają paszporty!" /67/. To zdanie wymienione jest wśród szwankluczy okresu 1980/81.

O strajku w Stoczni Gdańskiej: "Zaczęli, lecz nie wiedzieli co szczytnają. Nie mieli programu, nie mają go nadal. Wywijają latarką po ciemnych, chropawych ścianach tunelu, oświetlają fragment zakomu, potem przenoszą latarkę gdzie indziej. Boją się, już wiedzą, że nia tylko łoh głowa, to głowa milionów tym razem uderzy o skałę. Jedni są za sforsowaniem przeszkody, inni nakazują ostrożność" /74/. I w tym samym fragmencie:

"Odnoszę wrażenie, że jestem w roku 1917 na wiecach w Moskwie i Petersburgu, kiedy Lenin nawoływał do rad robotniczych. I przejmujemy władzę. Realizujemy te hasła na które ludzkość oczekiła" /74/. To są słowa włożone w usta jednego z piętnastki /?/, która stała u początku wydarzeń w Gdańsku."

"Mają dziesięć milionów członków. Partia kazała wielu swoim członkom wstępować do »Solidarności«.

Być tam gdzie masy, jak nakazywał Lenin" /74/.

"Partia mówi im: skorzystamy z waszej pomocy w zaprowadzeniu ładu, w wynajdywaniu właściwych ludzi na dole; uczonych fach-woów, badźcie tym, czym mieliście być - związkiem zawodowym. Lecz od zarządzania, jak dotąd pozostaniemy my".

"Kozdarty kraj wyprowadzony na ulicę. Kraj niepracujący, dyskutujący, kraj - który - przede wszystkim - zgubił się, bez zaufania do władz, nigdy tego zaufania do władz nie było za dużo w tym kraju. Zaufanie trochę na siłę do idei »Solidarności« lecz do ludzi także nis" /74/.

"Dojrzałość robotników... Ona jest właśnie wielkim osiągnięciem komunistów, na których teraz wszyscy i'ują. Od trzydziestu iluś tam lat u nas, a od 1917 roku w Rosji, widzi ona, ta klasa robotnicza, swoich wyniesionych wysoko. W każdej instytucji ktoś bliski, ktoś o podobnym zapachu. Dojrzeli, gdyż byli gotowi.

Drżycie kapitaliści wszystkich krajów!

Drżymy - wszyscy!..." /79/.

Kiedy się zastanawiam nad tym ostatnim cytatem myślę, że właściwie trudno mieć do pisarza pretensję. Każdy widzi to, co chce wiedzieć, i tak jak chce. I być może wyimaginowany świat pisarza jest mu bliższy, niż to co dzieje się naprawdę. Należy jednak zastrzec się - tę rzeczywistość wymyśliłem sam; jest moja i tylko moja; nie miejcie żalu, jeśli jest sprzeczna z waszym doświadczeniem; nie miejcie pretensji o mój strach i moja kompleksy, które posłużyły mi za spoiwo całej konstrukcji. W końcu wszelkie tworzywo

jest dobre; jeśli sprawdza się w praktyce.

Ale w tej książce niczego takiego nie znalazłem. Przeciwnie - znalazłem pychę; a to znaczy pogardę wobec mnie; ożkownika, który tę książkę czyta. Bo już nie w sferze wyobrażeń, ale w sferze faktów każe mi się wierzyc na przykład w coś takiego:

"Pierwszy sekretarz generalny Bierut umarł daleko od kraju.

Drugiego sekretarza generalnego wypędzono jak psa.

Trzeciego wykopano i opluto. Lud mówi słusznie"

/214/.

Przed Bierutem był jeszcze Gomułka. Po Bierucie Ochab. Po Ochabie znowu Gomułka. Wreszcie Gierek. To już razem pięć. Nawet jeśli odrzucić "wczesnego" Gomułkę, który był pierwszym sekretarzem tylko PPR, to i tak mamy o jednego sekretarza za dużo. A ten, którego - jeśli dobrze zrozumiałem - wypędzono jak psa - kazał strzelać na Wybrzeżu do bezbronnych ludzi. Nadto kynologiczno-historiczo-filozoficzny paralelizm - "Pierwszy prezydent Polski Gabriel Narutowicz także został zabity jak pies. Drugiego prezydenta przepędzono jak psa; trzeciego niekiedy jak pies" -- brzmi co najmniej ryzykownie. A poza tym dlaczego "także"? Wszystko to stanowi na ilustrację następującego zdania "Gdyż Polska jest obraza na Polskę. Gdyż Polska wszystko w końcu rozłoży swoim kwasem" /214/.

I bez przerwy mamy do czynienia z podobnymi konstrukcjami.

Jak wynika z drugiego Postscriptum autor miał zamiar wydać Sto lat temu umarł Dostojewski w "pierwszym obiegu". Wydawnictwo na wszelki wypadek zamknęło książkę w szufladzie. Rudnicki w związku z tym pisze: "Z boku to wiem; w recenzjach wewnętrznych wielu oceniało tę książkę. Każdy z nich bał się czegoś innego; każdy z nich przeczuwając niewyraźną sugestię; przestrzegał przed czymś innym. Gdyż gra trwa nadal. Kartki, które stanowią urodę naszego stołu powszedniego tę grę jeszcze zaostrzyły.

.... Jednakże zawsze dbam o to, żeby pozostać objaśnialcem; tylko objaśnialcem."

Może należałoby dodać - czegoś; co nigdy nie istniało.

Nie zajmuję się tym, co Adolf Rudnicki napisał o Fiodorze Dostojewskim, nie znajduję żadnej miary; którą mogłabym przyłożyć do refleksji czy też medytacji Rudnickiego o autorze Skrzywdzonych i poniżonych. Zresztą wcale nie wiem, czy taka miara istnieje - każdy, kto czyta Dostojewskiego przykłada do niego zwoją miarę i znajduje zapewne coś dla siebie; co może być niedostępne dla innych. Może; ale nie musi. Bo

Jestem przekonana, że prawdziwe odkrycia dają się wyrazić jasno.

I.L.

P.S. Mam wrażenie, że mistrz słowa powinien jednak unikać zdań w rodzaju "»Wieczna koblecość« za każdym razem - inna!" /128/. "Czas zawsze odciska swoje piętno" /131/; nie należałoby też tłumaczyć Cette obscur objet du desir jako Przedmiot ciemny żądzy, nawet gdyby nie chodziło o film Buñuela /128/. Niezłe byłoby również, gdyby mistrz ograniczył ilość wykrzykników.

PL/4 370